

KLERYKALIZM
Kiedy władza
demoralizuje

PRAWA CZŁOWIEKA
Najwyższy czas,
by przyznać je dzieciom

MUZYKA WŁASNymi SŁOWAMI
Jak to robią Małowska,
Łobodziński i Pablopavo

WINA ELIT
Upojenie i etos
człowieka kulturalnego

Kraków 23 września 2018 nr 39 (3611)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Anna Dymna Rola na całe życie



Odzyskana stołeczność

Warszawa 1915–1918



wystawa czasowa
26 września – 30 grudnia 2018

Muzeum Warszawy
Rynek Starego Miasta 28-42

muzeumwarszawy.pl/odzyskanastolecznosc

WARSAWA

STOLICA
WOLNOŚCI
1918-2018



KS. ADAM

Boniecki: *Nie tak będzie u was*

FRANCISZEK WYRAŹNIE ZGADZA SIĘ Z TWIERDZENIEM ks. Józefa Tischnera, że w życiu nie trafił na nikogo, kto by stracił wiarę po przeczytaniu Marksa i Engelsa, natomiast poznał wielu, którzy ją stracili po spotkaniu ze swoim proboszczem. Z niedawnego „Listu do Ludu Bożego” wynika, że papież widzi źródło obecnego kryzysu Kościoła w klerykalizmie. To „klerykalizm, któremu sprzyjają zarówno sami kapłani, jak i świeccy, tworzy rozłam w ciele eklesjalnym, który sprzyja i pomaga w popelnianiu wielu złych rzeczy, które teraz potępiamy. Powiedzenie NIE wobec nadużycia oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu”. Papież następnie precyzuje, jakie „złe rzeczy” ma na myśli: nadużycia seksualne, nadużycia władzy i sumienia.

Według Franciszka reforma i uzdrowienie Kościoła zależą od przezwyciężenia klerykalizmu, „który traktuje wiernych świeckich jak dzieci i zubaża tożsamość duchownych”. Mówił np. do biskupów w Chile: „Powiedzmy to jasno – świeccy nie są naszymi parobkami ani naszymi pracownikami. Nie muszą powtarzać jak papugi tego, co mówimy. Klerykalizm, nie pobudzając różnych wkładów i propozycji, stopniowo gasi ten proroczy ogień, którego świadectwo powinien dawać cały Kościół pośród swoich ludów. Klerykalizm zapomina, że widzialność i sakramentalność Kościoła przynależy do całego Ludu Bożego, a nie tylko do nielicznych wybranych i oświeconych”. I dalej: „Seminaria winny kłaść szczególny nacisk na to, aby przyszli kapłani byli w stanie służyć świętemu wiernemu Ludowi Bożemu, uznając różnorodność kultur i wyrzekając się pokusy klerykalizmu w jakiegokolwiek postaci”.

Fakt, istnieje w Kościele klerykalna mentalność duchownych. My wiemy najlepiej, co dobre dla wiernych, Kościoła i dla nas. Nam władza dana jest przez Boga. Wierny może przekazać



zać w górę jedynie informacje o swych grzechach w atmosferze poczucia winy. Dochodzą do tego zabiegi o dobra doczesne, często na granicy prawa, a na pewno na granicy przyzwoitości.

Istnieje też klerykalna mentalność świeckich, mentalność klienta instytucji kościelnej. Nie trzeba brać odpowiedzialności za Kościół, religię, poglądy. Kupuje się gotowe rozwiązania światopoglądowe, polisę ubezpieczeniową od lepiej znających zasady życia pozagregowego i... ma się to z głowy. To powoduje zwrot duchowieństwa do większego akcentowania form

urzędowego sakramentalizmu, no i ... przynosi profity finansowe (charakterystyka obu klerykalizmów według Tischnera).

Niełatwo zmieniać mentalność, zwłaszcza wtedy, kiedy sama struktura kościelnej władzy na tej mentalności była budowana od stuleci. Ale przecież nie wszędzie w Kościele panoszy się klerykalizm. Od klerykalizmu wolnych jest wiele ruchów, np. neokatechumenat. Klerykalizmem nie są dotknięte wspólnoty w krajach, w których stanowią katolicką mniejszość. Także w krajach niegdyś klerykalnych, dziś laickich, z poważnym niedoborem księży, o klerykalizmie jako problemie trudno mówić.

Kościół z pewnością pozostanie hierarchiczny. Lecz prędzej czy później piękne słowa o tym, że hierarchia jest w Kościele po to, żeby służyć, staną się ciałem, bo do tego zmusi samo życie. Ono przypomni chorym na władzę i wielkość ambicjonerom, na czym Chrystus chciał zbudować swój Kościół: „Wiedzie, że władcy narodów uciskają je, a wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie u was. Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym, na wzór Syna Człowieczego, który nie przyszedł, aby Mu służyć, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu”. ©

EUROPA LUDZI WOLNYCH. INSPIRUJĄCA MOC CHRZEŚCJAŃSTWA

XI Zjazd Gnieźnieński, piątek, 21 – niedziela, 23 września 2018 r.

Zjazd jest miejscem spotkań, których uczestnicy poprzez dyskusje, warsztaty, modlitwę i wydarzenia artystyczne wyrażają swoją odpowiedzialność za przyszłość Kościoła, ojczyzny i Europy. Zjazdy odbywają się w Gnieźnie i są organizowane przez metropolię gnieźnieńską, prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka we współpracy z organizacjami katolickimi i chrześcijańskimi, w duchu dialogu i pluralizmu. Tegoroczna edycja nosi tytuł: „Europa ludzi wolnych. Inspirująca moc chrześcijaństwa”, a wśród gości znajdują się: prof. Chantal Delsol, abp Grzegorz Ryś, ks. Manfred Deselaers, prof. Paweł Śpiewak, kard. Peter Turkson, prof. Rocco Buttiglione. W programie Zjazdu m.in. warsztaty chrześcijańskiej nadziei, koncert Stanisławy Celińskiej, wystawa „Marzenia o wolności. W setną rocznicę niepodległości”. W piątek o godz. 20 na gnieźnieńskim rynku rozpocznie się Eklezjalna Droga Wolności – nabożeństwo, podczas którego homilię wygłosi abp Grzegorz Ryś.

Szczegółowy program, a także informacje dla uczestników pod adresem: zjazd.org

„TYGODNIK POWSZECHNY” JEST JEDNYM Z PATRONÓW MEDIALNYCH ZJAZDU



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Papież ratuje Kościół
ARTUR SPORNIAK

6–11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Baśnie tysiąca i jednej linii metra
ROZMOWA Z MICHAŁEM NOWOSIELSKIM, DORADCĄ KOMUNIKACYJNYM PO

26 Przysnajmy dzieciom prawa człowieka
ANNA GOLUS

29 Nikt nam chleba nie odbiera
PIOTR WÓJCIK o imigrantach zarobkowych

■ ■ WIARA

32 Teoria ewolucji Kościoła
ARTUR SPORNIAK: Jak pogodzić wiarę z nauką

36 Puste litewskie plebanie
ROZMOWA Z DONATASEM PUSLYSEM, PUBLICYSTĄ: Kościół na Litwie przed wizytą Franciszka

38 Jak wypuścić siebie z rąk
PIOTR SIKORA: Modlitwa w niespokojnych czasach

40 „Tak” dla Franciszka
KS. JACEK PRUSAK SJ: Książki o papieżu

■ ■ ŚWIAT

42 Zmiana warty na Kapitolu
JAN SMOLEŃSKI: Listopadowe wybory uzupełniające w USA będą wyjątkowe z kilku powodów

45 Pojedynek z władzą
ANNA ŁABUSZEWSKA: Reforma emerytalna budzi coraz większy sprzeciw Rosjan



KRZYSZTOF TADEJ / FOTONOVA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 We władzy deficytów
ANNA GOC I MARCIN ŻYŁA

Pytania o relacje księży i świeckich wracają zwykle wtedy, gdy Kościołem wstrząsają skandale. Aby się wyzbyć klerykalizmu, nie wystarczą drobne zmiany.

16 Kwalifikacje nabyte
ROZMOWA Z HALINĄ BORTNOWSKĄ:
W stosunkach kościelnych rzadko się zakłada, że świecki dysponuje czymś, czego nie ma ksiądz.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
41 SZYMON HOŁOWNIA
76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■

„Dzień” bez „ciem”.
Nagroda Literacka Gdynia

Na okładce: ANNA DYMNA
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

46 Azjatycka wojna o prawosławie
ROMAN HUSARSKI

48 Mauritius kontra Imperium
WOJCIECH JAGIELSKI

51 Oskarżona Sara
MARCIN ŻYŁA o aresztowaniu aktywistki na rzecz migrantów

■ ■ NAUKA

52 Pomówmy o czymś innym
ŁUKASZ ŁAMŻA: Pleć i walka o artykuł naukowy

■ ■ HISTORIA

56 Zaołzie niezgody
JOANNA HYTREK-HRYCIUK

59 Pułapka samostanowienia
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: 80 lat temu w Monachium Londyn i Paryż ustąpiły wobec żądań Hitlera

61 Świat odbity w listach
TOMASZ FIAŁKOWSKI o korespondencji Lema i Lipskiej

■ ■ KULTURA

62 Prawdziwa baba
ROZMOWA Z ANNĄ DYMNA: Takich miejsc jak Stary Teatr się nie niszczy

67 Nad inną rzeką
DARIUSZ KOŚCIŃSKI o Festiwalu Ludzka Mozaika w Goleniowie

74 Pieski świata
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Dogman” Matteo Garrone

75 Warto zobaczyć w TV

76 Adres: Wawel 2
LEKTOR o książce „Zagram ci to kiedyś...”

■ ■ WAKACJE

78 Wina elit ROZMOWA Z MARKIEM WĘCOWSKIM: Rytualne picie wina stworzyło etos kulturalnego człowieka

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięćka (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięćka
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,

Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewicz, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-

Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotodyscy: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmieńska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



PAPIEŻ RATUJE KOŚCIÓŁ

Franciszek zapowiedział specjalne spotkanie z przewodniczącymi episkopatów w sprawie pedofilii. Czy taki szczyt wystarczy, aby zażegnać kryzys?

ARTUR SPORNIAK

ISTNIAŁO REALNE NIEBEZPIECZEŃSTWO, że Synod Biskupów poświęcony młodzieży, który będzie obradować w Watykanie już za dwa tygodnie, od 3 do 28 października, zostanie zdominowany przez problem wykorzystywania seksualnego nieletnich w Kościele. Jeden z konserwatywnych biskupów, arcybiskup Filadelfii Charles Chaput, wzywał ostatnio Franciszka, by wręcz przełożył termin Synodu. Zabrzmiało to jak ukryta groźba: „Jeśli nie przełożysz, twoi oponenci zdominują obrady!”. Chaput z urzędu pojedzie w październiku do Rzymu jako członek Rady Zwykłej Synodu Biskupów.

Szczęśliwie się złożyło, że w tych dniach (10–12 września) obradowała Rada Kardynałów (tzw. K9), wpływowe ciało doradcze papieża. Kardynałowie przyjechali doszlifować projekt dokumentu o reformie kurii rzymskiej, ale

debatowali też nad obecnym kryzysem (nie pojawili się hierarchowie oskarżani o tuszowanie pedofilii: George Pell z Australii i Francisco Javier Errázuriz z Chile). Rada Kardynałów znalazła sposób: doradziła papieżowi, by zapowiedział szczyt z udziałem przewodniczących episkopatów z całego świata na temat pedofilii. Papież wyznaczył już termin spotkania: 21–24 lutego 2019 r.

Dlaczego Franciszek chce się spotkać właśnie z przewodniczącymi episkopatów i dlaczego tak późno, dopiero za pięć miesięcy?

Na Synodzie zjawia się zapewne biskupi reprezentujący silną opozycję antyfranciszkową, która ostatnio wykorzystuje kryzys pedofilski do podkopywania pozycji papieża. Przypomnijmy, że były nuncjusz w USA abp Carlo Maria Viganò publicznie wezwał Franciszka

Papież w katedrze w Palermo na Sycylii, 15 września 2018 r.

→ do dymisji. Opozycja ta zapewne spróbuje wykorzystać także Synod do ataków na papieża. Ale od tej chwili, jeśli na Synodzie pojawi się temat pedofilii, papież będzie mógł powiedzieć: o nadużyciach seksualnych z dużą częścią z was (przewodniczący episkopatów z urzędu uczestniczą w Synodzie) będę rozmawiać poważnie niebawem.

Lutowe spotkanie nie będzie rutynowe – papież poświęci mu aż cztery dni. Zapewne będzie chciał dokładnie dowiedzieć się, co Kościoły lokalne robią, by przeciwdziałać nadużyciom. Czy jednak może ono zażegnać kryzys? Audiencja Franciszka dla prezydium amerykańskiego Episkopatu 13 września przyniosła rozczarowanie. Enigmatyczny komunikat (o „owocnej i dobrej wymianie zdań”) nie mówi

nic o ewentualnej wizytacji apostolskiej w amerykańskim Kościele, czego spodziewali się biskupi. A nieoficjalne spotkanie papieża z metropolitą Waszyngtonu kard. Donaldem Wuerlem, w raporcie z Pensylwanii oskarżanym o tuszowanie nadużyć, nie przyniosło jego dymisji.

Najwyraźniej papież nie chce sam sprzątać po biskupach. Chce ich zmobilizować do wzięcia odpowiedzialności.

Ważne jest zwłaszcza rozeznanie skali nadużyć. Wzorem może być Kościół niemiecki, który 25 września ogłosi raport z badań przeprowadzonych przez niezależny zespół naukowców w archiwach wszystkich 27 diecezji; raport dotyczy blisko 70 ostatnich lat. Z przecieków wynika, że chodzi o 3677 seksualnych nadużyć dokonanych przez przynajmniej 1670 księży

i zakonników w latach 1946–2014. Badań to zleciła sama niemiecka Konferencja Biskupów.

Czy polski Episkopat mógłby zlecić podobne badania? Na razie w najbliższym czasie będzie on mierzyć się z innym wyzwaniem – koniecznością płacenia odszkodowań ofiarom nadużyć. Właśnie ujawniono zasądzenie najwyższego w Polsce odszkodowania: Towarzystwo Chrystusowe ma zapłacić milion złotych i dożywotnią rentę kobiecie, która jako 13-latką była przez kilkanaście miesięcy przetrzymywana i gwałcona przez księdza ze zgromadzenia chrystusowców (wyrok jest nieprawomocny).

Episkopaty – w tym polski – mają niewiele czasu, by przygotować się do spotkania z papieżem. © P ARTUR SPORNIAK



Jan Paweł II jak Super Mario

PAPIEŻ, żeby dotrzeć do nieba, musi przeskakiwać kamienie i omijać pistoletowe pociski, a liczba zdobytych punktów zależy od tego, ile po drodze zbierze medalików, Biblii, kremówek i różańców. Gra komputerowa „Przygody Jana Pawła II Wielkiego”, napisana w 2017 r. z okazji festiwalu młodzieży katolickiej w Sydney, została nagrodzona w tegorocznej edycji nagród Australasian Catholic Press Association w kategorii: „najlepsze wykorzystanie mediów elektronicznych”. Prosta pięcioetapowa platformówka (Tatry, podziemne seminarium, Kraków i Wadowice, Rzym,

podróże po świecie), przywołując na myśl kultowego „Super Mario Bros.”, przygotowano z myślą o najmłodszych użytkownikach komputerów. Grę można przejść w niecałe dziesięć minut, używając tylko myszki i spacji. Zginąć się nie da: pikselowy papież co najwyżej pojekuje z bólu. Z niereprezentatywnych badań przeprowadzonych na kilkorgu dzieciach wynika, że połowa z nich pyta, dlaczego ludzik, którym kierują, najpierw nosi strój turystyczny, by w kolejnych etapach zmienić go na szatanę czarną, a następnie białą. Gra – do ściągnięcia za darmo ze strony archidiecezji w Sydney (www.sydneycatholic.org/youth/jp2game) – może więc stanowić sympatyczny wstęp do szerszej opowieści o polskim papieżu. © P MaM

Rada do przewietrzenia

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU



RADA KARDYNAŁÓW (K9) MA PIĘĆ LAT I WIELE WSKAZUJE, że jej skład wkrótce ulegnie zmianie. Franciszek powołał ją miesiąc po swym wyborze (choć stosowny dokument podpisał dopiero 28 września 2013 r.). Wypełnił w ten sposób wolę kardynałów, którzy przed konklawe umówili się, że kolegialne zarządzanie Kościołem i reforma kurii rzymskiej będą jednym z pierwszych zadań papieża, ktokolwiek nim zostanie.

K9 od razu stało się symbolem watykańskiej pierestrojki. Na ośmiu członków (po roku skład poszerzono do dziewięciu) tylko dwóch było z Europy, a jeden reprezentował kurię. Pomyśły powstające w tak zróżnicowanym, zdecentralizowanym i nieeuropejskim gronie nie wszystkim przypadają do gustu. Oskarżano papieża, że wprowadza chaos i niszczy – może po wolno, ale jednak sprawny – mechanizm. Zmiana utrwalonych latami sposobów działania – np. przez przekazanie niektórych kompetencji Watykanu episkopatowi krajowemu – budziła lęk i niepewność wśród oczekujących, że to Rzym ma rozwiązywać wszystkie problemy.

Pojawiły się też zarzuty wobec niektórych członków rady. Kard. George Pell został oskarżony o przestępstwa seksualne i czeka na wyrok australijskiego sądu; od roku nie uczestniczy w obradach K9. Kard. Errázuriz Ossa jest zamieszany w tuszowanie pedofilskiej afery w Kościele chilijskim. Nie wziął udziału w ostatnim posiedzeniu rady i prawdopodobnie zrezygnuje z członkostwa „ze względu na wiek” (skończył 85 lat). Kard. Maradiagę media oskarżają o finansowe przekręty, do których dochodziło w jego diecezji w Hondurasie.

Do dla papieża kłopotliwe sytuacje. Piąta rocznica powołania rady, a także zakończenie pierwszego etapu jej prac (konstytucja apostolska reformująca kurię jest już gotowa) mogą stać się dogodną okazją do przewietrzenia grona najbliższych doradców. © P

Rosyjska Cerkiew zrywa z Konstantynopolem

SYNOD ROSYJSKIEJ CERKWI PRAWOSŁAWNEJ, obradujący pod przewodnictwem patriarchy Cyryla I, podjął w miniony piątek kroki odwetowe wobec patriarchy ekumenicznego Bartłomieja I, który – jako zwierzchnik honorowy prawosławia – zaczął procedurę przyznawania autokefalii (niezależności) prawosławiu na Ukrainie.

Synod wypowiedział Bartłomiejowi „wspólnotę eucharystyczną”: duchownym Cerkwi rosyjskiej nie wolno otąd sprawować nabożeństw wspólnie z duchownymi Patriarchatu Ekumenicznego, a w trakcie liturgii wymieniane będą imiona wszystkich prawosławnych zwierzchników z wyjątkiem Bartłomieja. Moskwa zawiesiła też współpracę ze strukturami kościelnymi związanymi z Konstantynopolem. Metropolita Hilarion, w rosyjskiej Cerkwi odpowiedzialny za sprawy zagraniczne, powiedział, że decyzje te odpowiadają „mniej więcej zerwaniu stosunków dyplomatycznych” między państwami.

Inni przedstawiciele Cerkwi rosyjskiej zaznaczają, że nie jest to całkowite zerwanie z Konstantynopolem i dalsze decyzje zale-



D. ASTAKHOV / AP / RIA NOVOSTI / EAST NEWS

żą od tego, co robi Bartłomiej. Jest jednak mało prawdopodobne, by patriarcha ekumeniczny się wycofał: choć jego tomos (dekret) nie został jeszcze ogłoszony, decyzja najwyraźniej już zapadła – kilka dni wcześniej Patriarchat Ekumeniczny ogłosił bowiem, że Bartłomiej powołał dwóch biskupów (z USA i Kanady) na swych egzarchów (przedstawicieli) na Ukrainie; mają oni przygotować grunt pod uniezależnienie i zjednoczenie ukraińskiego prawosławia.

Tymczasem Cerkiew rosyjska uważa, że Ukraina to jej „terytorium kanoniczne”, a Bartłomiej nie ma prawa podejmować tu decyzji personalnych. Wspierają ją w tym władze Rosji: rzecznik prezydenta

Putina skrytykował powołanie egzarchów, a rzeczniczka rosyjskiego MSZ zarzuciła prezydentowi Ukrainy „grubiańskie mieszanie się w sprawy kościelne” (Petro Poroszenko od dawna zabiega o niezależność dla ukraińskiego prawosławia).

Komentując decyzję rosyjskiego Synodu, bp Eustraty (rzecznik ukraińskiej Cerkwi Kijowskiego Patriarchatu; jej niezależność nie była dotąd uznana w prawosławiu) mówił: „To nie »wojna« Greków ze Słowianami, lecz »wojna« z imperialistycznymi ambicjami Kremla”. Z kolei abp Hiob, przedstawiciel Patriarchatu Ekumenicznego przy Światowej Radzie Kościołów, powiedział, że z historycznego punktu widzenia niezależność Cerkwi rosyjskiej ma charakter „samozwańczy” (gdyż w XV w. metropolia moskiewska samowolnie oddzieliła się od metropolii kijowskiej, a w XVII w. ją sobie podporządkowała).

Na zdjęciu: Bartłomiej i Cyryl jeszcze razem, na moskiewskim Kremlu, w 2010 r.

©© WOJCIECH PIĘCIAK /
/ KNA, CENSOR.NET.UA

O sporze prawosławnych na terenie Azji piszemy też w dziale Świat (tekst ten powstał jeszcze przed decyzją rosyjskiego Synodu).

Nowy mniszy zakon

DWAJ KOLUMBIJSCY KSIĘŻA po zakończeniu nowenny otworzyli przeglądarkę internetową i poprosili Boga, by wskazał im drogę. Był rok 2013. Manuel Agudelo Marin i Hector Nagles Santa, księża z ponad 20-letnim stażem, od dawna chcieli zmienić styl życia na kontemplacyjny, ale nie odpowiadał im żaden zakon. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie Marie-Adèle Garnier. To mistyczka (zm. 1924), założycielka konwentu w Tyburn (Londyn), żeńskiej benedyktyńskiej wspólnoty żyjącej kultem Eucharystii i Najświętszego Serca Jezusa (akcentującym miłość Chrystusa do Ojca i ludzi). Skontaktowali się z mniszkami, ale te nie wiedziały, co im doradzić. Nieoczekiwanie w grudniu 2017 r. w archiwum klasztoru znalazł się 33-stronicowy tekst autorstwa Garnier: opartą na regule św. Benedykta wizję męskiego zakonu realizującego charyzmat z Tyburn. Marin i Santa w sierpniu 2018 r. przyjechali do Europy i zaczęli postulować (ich klasztor powstanie w Kolumbii). Tym samym w Kościele powstał nowy zakon mniszy. ©© MaM

Polak został opatem prezesem benedyktyńskiej kongregacji



OMC LUBIN / YOUTUBE

MAKSYMILIAN NAWARA, mnich z opactwa benedyktynów w Lubiniu, został wybrany opatem prezesem Kongregacji Zwiastowania.

Benedyktyńskie opactwa są autono-

micznymi wspólnotami, ale większość z nich zrzeszona jest w 20 kongregacjach. Rolą opata prezesa każdej kongregacji jest wizytowanie klasztorów i ożywianie ducha monastycznego. Wybierany jest na ośmioletnią kadencję.

Nowo wybrany opat Maksymilian ma 39 lat. Do zakonu wstąpił w 1998 r. W 2007 r. został wyświęcony na księdza. Od 2008 r. jest mistrzem nowicjuszy. Od 2012 r. podprzeorem opactwa. W tym samym roku został wybrany na asystenta poprzedniego opata prezesa. W 2015 r. obronił doktorat z teologii na temat syryjskich ojców Kościoła. W 2006 r. przejął prowadzenie Ośrodka Medytacji Chrześcijańskiej przy klasztorze w Lubiniu. Jest też zaangażowany w dialog międzyreligijny, zwłaszcza z buddyzmem zen. ©© PIOTR SIKORA

W SKRÓCIE

POZNAŃ – CENTRUM EUROPY.

Europa, po tym jak była tragiczną sceną dwóch wojen światowych, musi solidarnie pracować na rzecz wzajemnego zrozumienia, oddychając swymi dwoma chrześcijańskimi płucami – wschodnim i zachodnim – podkreślają biskupi Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE) w komunikacie wydanym po obradach, które odbyły się w Poznaniu w dniach 13–16 września. Przewodniczący Episkopatów Europy wyrazili solidarność z papieżem oraz wdzięczność wolontariuszom za ich bezinteresowną pracę.

JEDYNE TAKIE SPOTKANIA.

Ostatnia deska ratunku – tak o założonym 40 lat temu Stowarzyszeniu Spotkania Matżeńskie mówią założyciele, Irena i Jerzy Grzybowski. Unikutowy polski ruch rekolekcyjny w 26 ośrodkach co roku organizuje ok. 80–90 tzw. weekendów dla małżeństw i kilkadziesiąt serii Wieczorów dla Zakochanych – kursów przygotowujących do sakramentu małżeństwa.

PROF. PIOTR BŁĘDOWSKI:

„Matczyny” klientelizm PiS

PRZYNAJMNIEJ CZWÓRKA ODCHODZĄCYCH DZIECI; stałe zamieszkanie w Polsce; ukończony wiek emerytalny – to główne warunki przyznania tzw. matczynej emerytury, czyli nowego świadczenia, które planuje wprowadzić już od stycznia 2019 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości. Projekt ustawy w tej sprawie trafił niedawno do konsultacji społecznych.

Chodzi o wypłatę minimalnej emerytury, wynoszącej dziś 1029,80 zł, kobietom, które w ogóle nie pracowały bądź których składki emerytalne nie wystarczają do otrzymania takiej kwoty (w tym drugim przypadku państwo zapewni wyrównanie).

Wiek dzieci nie ma znaczenia, a o świadczenie będą się mogły ubiegać również kobiety, które czwarte dziecko urodziły przed wprowadzeniem w życie nowych przepisów. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej szacuje roczny koszt wypłat na 915 mln złotych.



LUKASZ PIECYK / REPORTER

Podoba się Panu pomysł przyznania „matczynej emerytury”?

To kolejne wprowadzone przez ten rząd świadczenie, które z pewnością trafi do grupy potrzebujących. Ale też kolejne, które każe pytać o zmieniający się kształt polskiej polityki społecznej. Staje się ona coraz mniej systemowa, a coraz bardziej selektywna. Wprowadzamy któryś już z kolei mecha-

nizm zaspokajający realne potrzeby, ale niebiorący pod uwagę istniejących już części systemu. W dodatku znowu – podobnie jak w przypadku 500 plus – nikt z polityków nie śmie z sensownością tego rozwiązania dyskutować, bo nie wypada. Tymczasem to kolejny przykład PiS-owskiego klientelizmu, czyli kupowania poparcia w zamian za opiekę ze strony państwa.

Ale są też grupy, którym może on się nie spodobać. Np. ojcowie, którzy o to nowe świadczenie mogą ubiegać się tylko w przypadkach losowych, jak śmierć matki dzieci.

„Matczyna emerytura” ma nie tylko wypełniać socjalną lukę, ale też wpływać na zachowania. Efektem może być ugruntowanie stereotypu „zarabiającego ojca” oraz matki – „piastunki domowego ogniska”.

To świadczenie niesie ze sobą ryzyko dezaktywacji kobiet?

Coraz wyraźniej widać, że głównym celem polityki społecznej PiS jest ten prokreacyjny. Tak jakby wyznacznikiem skuteczności władzy była liczba urodzeń, która zresztą nie wzrasta zgodnie z oczekiwaniami. Zapatrzeni w ten cel politycy nie biorą pod uwagę innych czynników. Np. tego, że już program 500 plus zwiększył ryzyko spadku aktywności kobiet. „Matczyna emerytura” sprawi, że to ryzyko jeszcze wzrośnie.

© P Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PROF. PIOTR BŁĘDOWSKI jest ekonomistą w Szkole Głównej Handlowej, specjalizuje się w polityce społecznej.

Sieć interesów

PARLAMENT EUROPEJSKI poparł projekt dyrektywy o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym, który budzi tyle samo nadziei w środowisku wydawców prasy, co obaw i wątpliwości pośród przedstawicieli e-biznesu i wśród internautów.

O co chodzi w dokumencie? W skrócie – o zmianę zasad publikacji online, które zwiększą odpowiedzialność właścicieli serwisów za zawartość ich witryn. Dodajmy – głównie dużych serwisów, na czele z Facebookiem i Google.

W mocno krytykowanym artykule 13. dyrektywa nakłada na gospodarzy serwisów obowiązek filtrowania materiałów publikowanych przez użytkowników pod kątem praw autorskich. Nieco mniej kontrowersji budzi artykuł 11., który przyznaje wydawcom prasowym prawa pokrew-

ne, co uprości im dochodzenie roszczeń za czerpanie korzyści majątkowych przez podmioty publikujące online należące do nich materiały.

Przeciwnicy regulacji ostrzegają przed „cenzurą w internecie” i ograniczeniem bogactwa zasobów sieci, przechodząc do porządku dziennego nad problemami, jakie tworzy nieograniczany dotąd przepisami rozwój mediów społecznościowych – na czele z epidemią fake newsów, nagminnym łamaniem praw autorskich w sieci i destrukcyjnym wpływem gigantów internetu na jakość debaty publicznej.

Zwolennicy podkreślają z kolei korzyści, lekceważąc zasadne wątpliwości co do brzmienia poszczególnych zapisów, które zdaniem krytyków pozostawiają zbyt wiele miejsca na uznanie i mogą rzeczywiście skutkować ograniczeniem dostępu do pewnych informacji. © P MAREK RAB I



JACEK TARAN

Rezydenci zostaną w kraju

WIĘKSZOŚĆ LEKARZY REZYDENTÓW podpisała zobowiązanie do przepracowania w publicznej opiece zdrowotnej dwóch z pięciu kolejnych lat po zakończeniu specjalizacji – wynika z informacji napływających do izb lekarskich. W zamian dostaną tzw. bon patriotyczny, tj. 600 zł miesięcznej podwyżki (700 zł w przypadku specjalizacji uznanych za priorytetowe). Część lekarzy skarży się, że dyrektorzy niektórych szpitali samowolnie dodali do aneksów punkty wykraczające poza porozumienie, które rezydenci wynegocjowali z rządem, np. pracę w konkretnym szpitalu. Na zdjęciu: protest rezydentów w Krakowie, 2017 r. © P MR

W SKRÓCIE

KOSZYCZEK. W elbląskim sklepie sieci Biedronka grasował skorpion – zaalarmował jeden z klientów. Po sprawdzeniu przez entomologa okazało się, że niepokój kupującego wywołał fragment rośliny – spłaszczony koszyczek kwiatowy z zawiązującymi się nasionami.

REKLAMA. W 2017 r. telewizja Polsat pilnie relacjonowała prace resortu Jarosława Gowina nad tzw. konstytucją dla nauki. Po sprawdzeniu przez OKO.press okazało się, że odbywało się to w ramach umów, na podstawie których ministerstwo wypłaciło stacji ponad 270 tys. zł.

ANTYREKLAMA. „Pamiętacie, jak nasi poprzednicy mówili: budujmy nie politykę, tylko drogi i mosty? Nie było ani dróg, ani mostów” – powiedział premier Mateusz Morawiecki na spotkaniu w Świebodzinie. Po sprawdzeniu okazało się, że w czasach rządów PO sieć autostrad wydłużyła się o ok. 900 km, a dróg ekspresowych o ponad 1,2 tys. km.

BOTY. „Gazeta Wyborcza” ujawniła dokument, z którego wynika, że w 2015 r. sztab wyborczy Andrzeja Dudy podpisał umowę ze spółką tworzącą fałszywe konta w internecie i płacił za automatyczne wpisy tzw. botów. Po sprawdzeniu okazało się, że nie była to jednak przyczyna porażki Bronisława Komorowskiego w wyborach.

LUSTRO. „To, co dzieje się w Sądzie Najwyższym, może niepokoić. Sędziowie zatracili się w walce o swoje przywileje i o swoją pozycję. Zaangażowali się w walkę polityczną i żadne słowa tego nie zmienią” – powiedziała Julia Przyłębska w wywiadzie dla pisma „Sieci”, dodając, że „pani Gersdorf zupełnie się zagubiła”. Po sprawdzeniu okazało się, że mogła mieć na myśli siebie i Trybunał Konstytucyjny pod swoim kierownictwem.

KLUB. W programie „Superwizjer” telewizja TVN pokazała Wistę Kraków jako klub de facto współzarządzany przez powiązanych ze światem przestępczym pseudokibiców. Po sprawdzeniu okazało się, że wszystko to prawda.



BOBBY YIP / REUTERS / FORUM

CYKLONY W AZJI I AMERYCE. Dziesiąty – najwyższy – stan zagrożenia wprowadziły władze Hongkongu w związku z tajfunem Mangkhut, który w miniony weekend uderzył w południe Chin. Wcześniej żywioł, o którym już wiadomo, że jest najsilniejszym tajfunem zaobserwowanym w tym roku w Azji, spustoszył Filipiny, zabijając co najmniej 59 osób. Do południowo-wschodniego wybrzeża USA dwa dni wcześniej dotarł huragan Florence. Liczba jego ofiar wzrosła już do 17. Na zdjęciu: Hongkong, 16 września 2018 r. © © MR

Prezydent Polski kontra papież z Polski



MICHAŁ OKOŃSKI

WIELE JUŻ POWIEDZIANO O SŁOWACH Andrzeja Dudy na temat „wymagowania wspólnoty, z której dla nas niewiele wynika”. Zwracano uwagę, że przemówienie głowy państwa w Leżajsku miało miejsce przed muzeum wyremontowanym za unijne pieniądze i w pobliżu klasztoru, którego rewaloryzacja była możliwa dzięki środkom z UE. Że do miasteczka wiedzie obwodnica, na którą z funduszy europejskich wydano 100 mln zł. Że łącznie z unijnej kasy Polska dostała w ciągu 14 lat ponad 152,1 mld euro, wpłacając w tym czasie 49,6 mld euro, czyli jest ponad 102 mld euro na plusie.

Wszystkie te obserwacje, jakkolwiek słuszne, czyniono jednak zgodnie z logiką, w której obecność Polski w UE tłumaczy jej opłacalność. A przecież najbardziej interesująca w słowach prezydenta jest sprzeczność z przesłaniem, które na poznańskim spotkaniu Rady Konferencji Episkopatów Europy Andrzej Duda zechciał uznać za „wciąż żywe i ważne,

aktualne i rozważane”. Przesłaniem „naszego rodaka św. Jana Pawła II”.

Jan Paweł II mówił (w polskim parlamencie, w 1999 r.) nie tylko, że „integracja Polski z UE jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską”. I wtedy, i przy wielu innych okazjach dodawał, że „doświadczenie dziejowe, jakie posiada naród polski, jego bogactwo duchowe i kulturowe mogą skutecznie przyczynić się do ogólnego dobra całej rodziny ludzkiej, zwłaszcza umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie”. Jan Paweł II nie mówił, jak Andrzej Duda, że „wspólnota jest potrzebna tutaj, w Polsce, skupiająca się na naszych sprawach” ani że „kiedy nasze sprawy zostaną rozwiązane, będziemy się zajmować sprawami europejskimi”. Mówił o Polsce, która otwiera się na Europę i wzbogaca jej tożsamość. Która może coś jej ofiarować.

Jan Paweł II wierzył w Polskę. Czy wierzy w nią jej prezydent?

© ©

Orbán i Unia: nowy artykuł 7

PAWEŁ BRAVO



PARLAMENT EUROPEJSKI ZAACEPTOWAŁ w minionym tygodniu uruchomienie przeciw Węgrom traktatowej procedury o naruszenie rządów prawa, znanej dobrze w Polsce jako „artykuł 7”. Rząd węgierski nie uznał tego aktu – twierdzi, że niewłaściwie policzono oddane w Strasburgu głosy (nie uwzględniając przy liczeniu podstawy procentowania głosów wstrzymujących się). Ale nawet jeśli uznać, że formalnie wszystko było w porządku, samo głosowanie niczym konkretnym na razie nie skutkuje – jak można się przekonać na przykładzie Polski, już od dziesięciu miesięcy poddanej formalnie tej procedurze. Droga do „sankcji”, z których najcięższą jest pozbawienie prawa głosu w Radzie Europejskiej, czyli brak wpływu na szczegóły wieloletnich ram finansowych (wymagają one bowiem pełnego konsensusu), jest daleka.

Przewidziane przez procedurę kolejne kroki – żmudny ping-pong raportów między Brukselą a stolicą Węgier lub Polski – mogą jednak posłużyć za środek nacisku na dany kraj. Czy skuteczny? Warto zauważyć, że niektóre z wprowadzonych przez Fidesz zmian są nieodwracalne w krótkim terminie. A poza tym obecna węgierska opozycja może mieć interes w tym, aby kiedyś, po pokonaniu Viktora Orbána, dostać w spadku państwo z mechanizmami, które ułatwią szybkie i sprawne przejęcie wszystkich instytucji. ©P



MAREK RABÍJ opowie
Grzegorzowi Chłascie
o marketingu politycznym

(tekst na str. 22) w środę 19 września
o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję
można odsłuchać także w podcastach na
stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM |
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na
Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



SERGEY ILLIN / VICTOR PINCHUK FOUNDATION

Kwaśniewski u Manaforta

NAZWISKO EKSPREZYDENTA RP widnieje w raporcie, który prokurator Robert Mueller sporządził w sprawie Paula Manaforta – podano w minionym tygodniu. Manafort, były szef kampanii Trumpa, oskarżony o oszustwa, właśnie przyznał się i zgodził na współpracę z Muellerem. Media spekulują, czy będzie kluczowym świadkiem w Russiagate, śledztwie nt. współpracy sztabu Trumpa z Rosją.

Wiść o współpracy Kwaśniewskiego z Manafortem polskie media podały w tonie sensacji. Tymczasem austriacka prasa już w lutym pisała, że w „stajni” Manaforta byli Kwaśniewski i Romano Prodi (były szef Komisji Europejskiej), a nieformalnym liderem grupy, zwanej Habsburg Group, był ekskanclerz Austrii Alfred Gusenbauer. Mueller już wtedy twierdził, że na zlecenie Manaforta

Habsburg Group kreowała pozytywny klimat wokół prorosyjskiego prezydenta Ukrainy Janukowycza. Trzej ekspolitycy przyznali wtedy, że lobbowali, ale mieli nie wiedzieć, iż to Manafort stał za zleceniem. Gusenbauer i Kwaśniewski przyznali, że mieli z nim kontakty. Gusenbauer przyznał, że dostawał pieniądze, lecz nie od Manaforta, ale „jakieś firmy amerykańskiej lub brytyjskiej”. Prodi bronił się, że pieniądze dostawał wprost od Gusenbauera i jako „rekompensatę” za udział w konferencjach w wielu krajach (na zdjęciu: Kwaśniewski i Janukowycz w Jałcie, 2012 r.).

Austriacka prasa spekulowała, że w transferze brudnych pieniędzy (Manafort był opłacany nielegalnie) pośredniczyły firma lobbyistyczna Mercury i European Centre for a Modern Ukraine z siedzibą w Brukseli. Dziennik „Ukraińska Prawda” twierdził, że ośrodek ten (zamknięty w 2016 r.) był „kontrolowany przez Janukowycza”. ©WP / DIE PRESSE

Trump vs Palestyńczycy: niepokój rośnie

DONALD TRUMP zdecydował o zamknięciu biura Organizacji Wyzwolenia Palestyny (oficjalnej reprezentacji Autonomii) w Waszyngtonie. Administracja prezydenta oświadczyła, że OWP „nie podjęła kroków na rzecz zbliżenia się do bezpośrednich i głębokich negocjacji z Izraelem; przeciwnie, jej kierownictwo piętowało plan pokojowy USA, którego nawet jeszcze nie zobaczyło”. Decyzja wiąże się z apelem strony palestyńskiej do trybunału w Hadze, by zajął się śledztwem w sprawie działań wojennych Izraela i rozbudowy osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu. Amerykanie zagrozili także sędziom i prokuratorom, którzy braliby udział w ewentualnym postępowaniu.

To kolejny cios w Palestyńczyków, obok m.in. przeniesienia ambasady USA do Jerozolimy i wycofania z ONZ amerykańskich funduszy na rzecz palestyńskich uchodźców. Postulaty uznania Jerozolimy za stolicę Izraela i kwestia uchodźców są dla Izraela kluczowe, a akceptacja jego stanowiska przez Trumpa nie pozostawia Palestyńczykom pola do negocjacji. Mimo obietnic „prezentu” podobnego kalibru, na razie nie dostali nic. Husam Zomlot, szef reprezentacji OWP w Stanach, stwierdził, że USA spełniają żądania Izraela i tuszują jego wojenne zbrodnie. Z kolei rząd Izraela przyjął wieści z uznaniem.

Nie wiadomo, kiedy Trump przedstawi plan pokojowy, o którym mówi od początku swej kadencji. Na razie, w 25. rocznicę porozumień z Oslo, pokoju jak nie było, tak nie ma, a decyzje prezydenta oddalają jego perspektywę.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Tel Awiwu

Mistrz Wojciech Plewiński

NIEDAWNO SKOŃCZYŁ 90 LAT. Architekt, który został profesjonalnym fotografem i jest jednym z najwszechstronniejszych mistrzów tej sztuki. Pamięta się „kociaki” w „Przekroju” i okładki tego tygodnika, ale to tylko fragment bogatego, właściwie dopiero odkrywanego dzieła. Wspomniał zdjęcia z pierwszej po Październiku ’56 wyprawy na południe, do Włoch.



ELIZA KUBIAK / MHF

Reportaże z prowincji pokazujące Polskę bez makijażu, biedną i zanurzoną w błocie. Cykl nowohuciki. Portrety starych ludzi w domu opieki. Małe sklepiki. A obok – pisarze i artyści, początki Piwnicy pod Baranami, Jazz Camping na Kalatówkach, Komeda, Polański, Skrzynecki, Kantor, Turowicz, Filipowicz, Szczepański, Szymborska, Mrozek, Has, Lem, Lipska i wielu innych. No i dokumentacja ponad 820 spektakli teatralnych. Album „Pleviński na scenie” (zdjęcia wybrał Wojciech Nowicki) miał właśnie premierę. Otwarto też wystawę w Strzelnicy na Woli Justowskiej; ten odnowiony zabytek jest teraz siedzibą Muzeum Historii Fotografii. Oraz restauracji, która skutecznie jego wspinałość przysłała.

© (P) TOMASZ FIAŁKOWSKI

W SKRÓCIE

PRZETARG. „No, to do roboty!” – dopingował warszawiaków Thomas Phifer, architekt i autor zwycięskiego projektu Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Gmach ma stanąć przy pl. Defilad, przetarg na budowę ruszył wiosną, a do ratusza wpłynęło prawie 500 pytań od potencjalnych wykonawców. Odpowiedzi na te ostatnie okazały się na tyle wyczerpujące, że ze względu na brak ofert konkurs unieważniono.

RENOWACJA. Kreatywnie do inwestycji i promocji sztuki podchodzą władze Zielonej Góry. Po zgłoszeniu przez tamtejszą konserwator konieczności zabezpieczenia przeciekającego dachu zabytkowego budynku tłoczni win dziurę załatano reprodukcją obrazu Bogumiła Hodera. Nie wiadomo, czy o wyborze zdecydował tytuł dzieła („Rana”) czy fakt, że artysta tworzy w konwencji realizmu magicznego.

AUKCJA. Lepiej wyceniono obraz Marii Jaremy. 1 003 000 zł – za taką kwotę sprzedano w minionym tygodniu jej „Formy” (1957 r.). To najwyżej wylicytowany w Polsce obraz namalowany przez kobietę. Na pierwszej w historii aukcji poświęconej sztuce polskich artystek „Siostrzeństwo. Feminizm i sztuka kobiet” można było kupić także prace Abakanowicz, Berezowskiej i Stryjeńskiej.

AKCJA. Wikipedia wezwała użytkowników do udziału w projekcie digitalizacji zniszczonych w pożarze zbiorów Muzeum Narodowego Brazylii. Internauci, którzy posiadają prywatne zdjęcia ekspozycji, mogą pomóc w stworzeniu jej wirtualnej kopii – wystarczy udostępnić swoje pliki na stronie commons.wikimedia.org.

NOWE UCHO PREZESA. Podczas koncertu laureatów I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych wicepremier i minister kultury Piotr Gliński odczytał list Jarosława Kaczyńskiego, choć prezes PiS ani nie jest członkiem rządu, ani nie dał się dotąd poznać jako meloman. Wypada zauważyć, że minister wykazał się nie lada odwagą, gdyż na koniec ośmielił się dodać kilka słów od siebie.

Jaskiniowcy z kredkami

JESZCZE NIE OCHŁONĘLIŚMY po odkryciu najstarszego sera w Europie (o czym pisaliśmy w „TP” tydzień temu), a tu nowa niespodzianka. W jaskini Blombos w RPA znaleziono ślady po najdawniejszych w historii naszego gatunku rysunkach sprzed 73 tys. lat. W tej samej jaskini odkryto już koraliki wykonane z muszelek, a w 2008 r. „pracownię malarską”, w której przygotowywano barwniki. Teraz wiemy już, do czego.

Opisane w najnowszym numerze „Nature” znalezione to skromny, czterocentymetrowy odłamek skalny, na którym ręką naszego pra-pra... (tu wstawić ok. 3 tys. „pra”) ...pra-przodka naniesiono osiem cien-



HENSHILWOOD / NATURE 2018

kich czerwono-brązowych kresek, tworzących coś w rodzaju szachownicy (na zdjęciu). Nie wiadomo, czy był to przemysłany wzór, czy tylko ślad po ostrzeniu lub testowaniu ochrowych pałeczek – bo właśnie przy pomocy „kredki” prawdopodobnie wykonano te rysunki. Istotne jest to, że mamy kolejny punkt zaczepienia w debacie na temat początków sztuki, symbolizmu, wyobraźni...

© (P) ŁUKASZ ŁAMZA

Przywileje zamiast reform

RZĄD PRZYJĄŁ USTAWĘ o zachętach do produkcji audiowizualnej. Zagraniczni twórcy będą mogli na konkurencyjnych zasadach tworzyć filmy w Polsce – zapowiedział minister Piotr Gliński. O ile przejdą tzw. test kulturowy.

Rząd uspokaja, że test oparty będzie na brytyjskich i francuskich rozwiązaniach. Nie faworyzuje on treści dotyczących naszego kraju – na równi traktowane są tematy i bohaterowie z kręgu kultury europejskiej. Wysokość dofinansowania to w sumie ok. 200 mln zł.

Producentom gier zaproponowano „redukcję podatków”. Tymczasem według ekspertów Forum Obywatelskiego Rozwoju największą bolączką polskiej branży, poza biurokracją i brakiem wykwalifikowanych pracowników, jest skomplikowany system podatkowy, którego wprowadzająca ustawa nie uprości. Tym bardziej że fiskus zmienił w tym roku interpretację dotyczącą przenoszenia praw autorskich, co pozwoliło żądać od programistów zapłaty rzekomo zaległego podatku na pięć lat wstecz.

Jak czytamy w analizie FOR, producenci gier najwyraźniej doszli do wniosku, że łatwiej wylobbują przywileje, niż zmuszą rząd PiS do rozwiązania problemów.

© MONIKA OCHĘDOWSKA



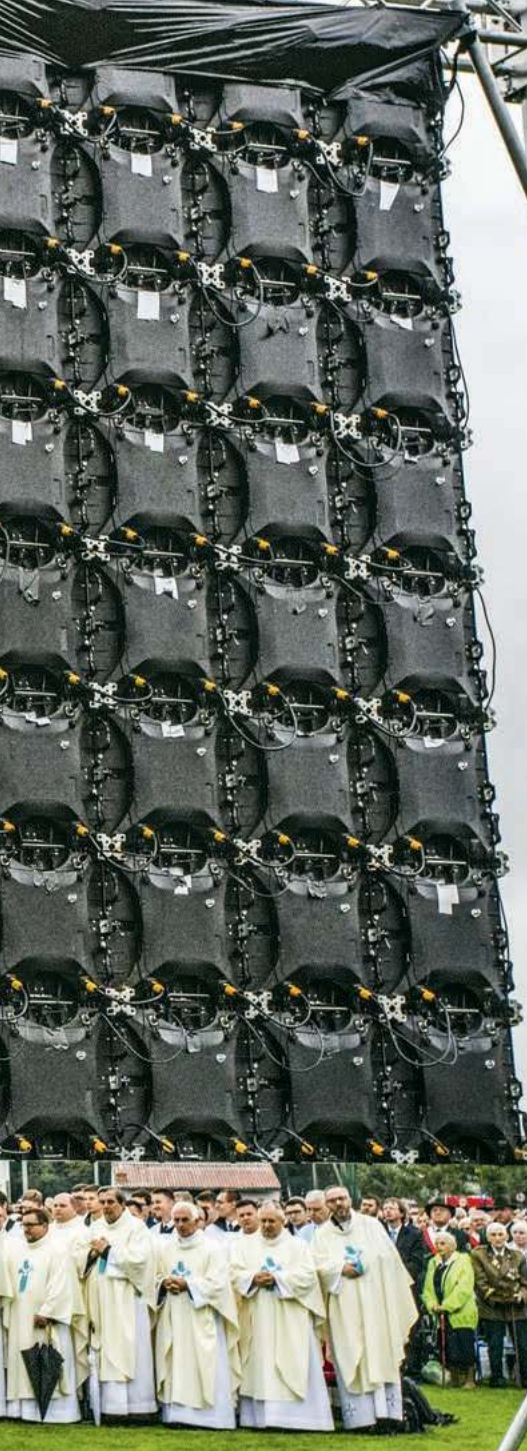
TEMAT
TYGODNIKA

Koronacja Cudownego Wizerunku Matki Bożej Bukowskiej Literackiej, Buk, wrzesień 2017 r.

WE WŁADZY DEFICYTÓW

Pytania o relacje księży i świeckich wracają zwykle wtedy, gdy Kościołem wstrząsają skandale. Aby się wyzbyć klerykalizmu, nie wystarczą drobne zmiany.

ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA



DAWID TATARKIEWICZ / EAST NEWS

– Tę historię – wspomina były kleryk – wykładowcy w seminarium opowiadali na wszystkich latach studiów. Miały integrować przyszłych księży, przekonywać, że są wyjątkowymi katolikami, innymi niż świeccy.

Choć papież powtarza, że nikogo nie ochrzczono na księdza czy biskupa, to podział na kler i laikat wciąż wzmacnia błędną wiarę: kapłanów w ponadprzeciętność, świeckich – w ich podległe miejsce w Kościele.

Każdy ma swoją miarę

O tym, jak jest groźny, mówi się coraz więcej. 15 września, Sycylia, papież Franciszek apeluje o wyzbycie się wszelkich form klerykalizmu: „Nie można żyć podwójną moralnością: jedną dla ludu Bożego, a drugą w swoim domu”.

Wcześniej, 22 sierpnia, abp Grzegorz Ryś mówi, że jedna z przyczyn grzechu pedofilii w Kościele (i tego, że jest potem ukrywany) to klerykalizm. I że klerykalizm mogą tworzyć wszystkie strony: „duchowni, którzy mogą się szybko wyrodzić w kastę, która samą siebie chroni, ale też świeccy, jeśli zostawia Kościół duchownym, nie wezmą za niego jakiegś odpowiedzialności, każdy na swoją miarę”.

Fatima, 4 września, kard. Beniamino Stella, prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa: klerykalizm, który „ograniczył wiele razy Kościół do elity”, odpowiada za problemy ze zwalczaniem nadużyć seksualnych.

Paryż, 7 września, metropolita Paryża, abp Michel Aupetit, ogłaszając, że list papieża Franciszka „Do Ludu Bożego” będzie czytany w kościołach archidiecezji paryskiej: „Chcemy powtórzyć, że nasza metropolia jest zaangażowana w ochronę nieletnich i dorosłych; zwiększamy możliwości wysłuchania osób zranionych, towarzyszenia im, pomocy i pełnej współpracy z władzami cywilnymi, żeby nigdy nie wybierać drogi milczenia, które jest oznaką współpracy ze złem”.

Kler to Kościół, Kościół to kler

Jezuita o. Waław Oszejca przyznaje, że dopiero teraz, przysłuchując się słowom Franciszka, zrozumiał, jak głęboko tkwią korzenie klerykalizmu: – Weźmy sakrament święceń: klękam przed biskupem, składając ręce w jego dłoniach. To gest wywodzący się z feudalizmu. Następnie ślubuję mu posłuszeństwo, ale biskup kwituje je milczeniem. A przecież chciałbym

wiedzieć, że ja jemu, on zaś mnie ślubuje „cześć i posłuszeństwo”. Czasem to biskup powinien iść za owcami i za prezbiterem. Posłuszeństwo? Tak, ale nie w stylu kozarowym: bacność, spoczniej, odmaszerować. Chodzi przecież o zaufanie – mówi o. Oszejca.

Zdaniem prof. Elżbiety Adamiak, teolożki z Uniwersytetu Koblenz-Landau w Niemczech, klerykalizm można rozumieć na dwa sposoby: – Po pierwsze, jako zjawisko wewnątrzkościelne, czyli relację władzy zamiast służby między duchowieństwem a świeckimi. Po drugie, jako polityczny wpływ kleru na społeczeństwo, w tym na tych, którzy nie należą do Kościoła. Nawet w tym drugim ujęciu tkwi jednak założenie: kler to Kościół, Kościół to kler.

– Z psychologicznego punktu widzenia klerykalizm jest zastępczą formą tożsamości opartą na niedojrzałości osobowej – mówi ks. Jacek Prusak, jezuita, psychoterapeuta. – Zamiast rozwoju: „jestem człowiekiem – chrześcijaninem – księdzem” mamy do czynienia z myśleniem na skróty: „urodziłem się po to, żeby być księdzem, a więc jestem kimś wyjątkowym”. Mamy więc do czynienia z pewną psychologiczną zależnością: im mniej dojrzały kleryk, ksiądz czy biskup, tym bardziej klerykalny jako duchowny i mniej autentyczny jako człowiek. Żeby być kimś w swoich oczach, musi się odróżniać, ale żeby dawało mu to satysfakcję, musi mieć przywileje. Klerykalizm jest kompensacją kompleksów i deficytów za atrybutami instytucji i władzy.

Ks. Prusak uważa, że z psychologicznego punktu widzenia klerykalizm funkcjonuje w liczbie mnogiej, bo są różne postacie niedojrzałości osobowej wśród duchownych, tak jak w każdej innej populacji: – Istnieją różne, mniej i bardziej groźne formy klerykalizmu, w zależności od tego, czy mamy do czynienia z kapłanem-narcyzem, czy kapłanem-psychopatą.

Skutki? Instrumentalne traktowanie Kościoła (także przez niewierzących, a nawet antyklerykałów) – czy to w mniejszych miejscowościach, gdzie proboszcz ma większy wpływ społeczny, więc lepiej mieć go za sobą, czy w miastach, bo przecież kiedyś przyda się jakieś zaświadczenie z parafii. Odium spadające na tych, którzy odeszli z seminarium, aby żyć jako katolicy świeccy. Powszechnie, choć teologicznie absurdalne przekonanie, że „ksiądz jest bliżej Boga”. ➔

BYŁ SOBIE CHŁOPIEC, KTÓRY BARDZO chciał zostać księdzem. Niewierzący rodzice się sprzeciwiali, ale dopiął swego. Nikt, nawet rodzina odwiedzająca go w seminarium tylko po to, by namawiać do przerwania studiów, nie mógł wpłynąć na jego powołanie. W dniu święceń jego ojciec doznał rozległego udaru, leżał na łożu śmierci. To syn udzielił mu sakramentu namaszczenia chorych. „Właśnie po to, aby zapewnić ojcu życie wieczne, zostałem księdzem”, pomyślał.

→ Wymagania świeckich, by kapłan był nie tyle spowiednikiem, przewodnikiem duchowym, lecz kimś, kto odpowie na zło świata, rozwiąże osobiste problemy i wskaże właściwą drogę. Przykłady księży, którzy kariery w Kościele nie zrobili, bo nie mieli znajomości w kurii. I sam zwrot: „kariera w Kościele”.

Ks. Paweł Rakowski, jezuita: – Pamiętam niektóre spotkania z ludźmi tuż po święceniach. Ktoś poprosił mnie o komentarz dotyczący jednego z ostatnich wydarzeń politycznych. Odpowiedziałem szczerze, że nie wiem, co o tym sądzić. Ktoś inny prosił o radę niezwiązaną z wiarą, znów odpowiedziałem, że trudno mi radzić, bo się na tym nie znam. Bolesne było to, że ci ludzie nie wracali, aby porozmawiać o wierze. Może nie spełniałem ich wyobrażeń o tym, kim jest ksiądz?

W seminariach usłyszeli

Mówią młodzi księża i byli klerycy.

– Zaczyna się w seminarium, od wieczorów czwartkowych – podniosłych mszy o nowe powołania kapłańskie. Z kazaniem podkreślającym „szczególną łaskę”, jaką Bóg obdarzył kleryków, oraz rolę, do jakiej ich powołał. „Żniwo wielkie, ale robotników mało”, „wielu jest powołanych, mało wybranych” – słyszymy w trakcie kazania. To może rodzić poczucie kastowości, elitaryzmu, sztucznego oddzielania się od ludzi.

– Pamiętam spotkanie z ojcem duchownym, podczas którego wspominał z nostalgią, jak dawniej całowano księży w rękę. „Ludzie wtedy czuli – mówił – że jesteście Jezusami na ziemi”. I radził: „jeśli spotkanie się z taką praktyką, należy najpierw się zawstydzić, a później osobę całującą pochwalić”. Część kleryków żartowała z tego, część traktowała serio.

– W seminarium mieliśmy dyżury w kuchni. Jeśli ktoś nie pozmywał albo zrobił to niedokładnie, panie sprząające robiły to za niego. Tłumaczyły: „pewnie ma inne rzeczy na głowie”, „musi czytać”, „musi pisać”. Utwierdzały nas w wyjątkowości, a niektórzy z nas z tego korzystali.

– Zdarzało się, że nim dostaliśmy sutanny, część kolegów zaczynała „nosić się” jak księża – czarne koszule, marynarki, ciemne jeansy. Bez względu na to, czy były takie wymogi seminaryjne. To dawało im poczucie, że już znaleźli się w grupie duchownych.

O. OSZAJCA:

Biskupi muszą zadbać, aby do struktur wrócili świeccy. Dopóki z parafiami będą się wiązać beneficja, dopóty nie stworzymy wspólnot.

Wychowani do samotności

Czy klerykalizm jest słowem wytrychem, uniwersalnym wyjaśnieniem, do którego musi doprowadzić każda dyskusja o problemach Kościoła – od dyskusji o jego tożsamości po przyczyny skandali związanych z pedofilią i nadużyciami władzy? W sierpniu w „Liście do Ludu Bożego” Franciszek ostrzegł przed ograniczaniem Kościoła do małych elit, struktur „bez pamięci, bez twarzy, bez ciała, w ostatecznym rachunku – bez życia”.

„Klerykalizm, któremu sprzyjają zarówno sami kapłani, jak i świeccy, tworzy rozłam w ciele eklesjalnym, który sprzyja i pomaga w popełnianiu wielu złych rzeczy, które teraz potępiamy – napisał papież. – Powiedzenie »nie« wobec nadużycia oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu”.

– Przekonuje mnie, to co mówi Franciszek. Klerykalizm rodzi się z chęci panowania nad innym człowiekiem, nad jego sumieniem – mówi ks. Mirosław Tykfer, redaktor naczelny „Przewodnika Katolickiego”. Jego zdaniem sposobem unikania tych pokus jest budowanie struktur Kościoła opartych na relacjach. – Gdyby młody facet, który idzie do seminarium, miał za sobą doświadczenie wspólnoty, nie pozwoliłby na to, aby parafialna rada duszpasterska spotykała się tylko dlatego, że ma do wykonania jakieś zadanie.

Dlaczego parafia rzadko jest domem, „wspólnotą wspólnot”, o jakiej mówi teologia posoborowa – a częściej to bardziej

internat z długim korytarzem i rzędami drzwi do pokoi; udzielne państwko, w którym proboszcza od wikarego oddziela przepaść?

Ks. Tykfer uważa, że w seminarium nie mówi się, na czym w praktyce polega budowanie relacji między księdzem a parafianami albo proboszczem a wikariuszami: – W seminariach przygotowuje się kleryków do życia w samotności. Do naszej parafii trafił kiedyś młody ksiądz, który nie miał nawet potrzeby spotykania się z nami. A to że źle zagospodarowanych relacji i z samotności bierze się potem silne nastawienie konserwatywne.

Pełni uprzedzeń

Obserwacje naczelnego „Przewodnika Katolickiego” potwierdzają wyniki badań przeprowadzonych w 2016 i 2017 r. na grupie 162 seminarzystów w czterech miastach Polski: – Moje badania ukazały homogeniczność preferencji politycznych – mówi dr Konrad Pędziwiatr, socjolog z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. – Ponad 80 proc. ankietowanych zamierzało głosować na PiS, kolejne 10 proc. na inne partie prawicowe i na ugrupowania skrajne. Żaden nie wymienił PSL, co zaskakujące, zważywszy na fakt, że większość pochodziła ze wsi i małych miast.

Badania (których głównym celem było opisanie stosunku Kościoła do kryzysu migracyjnego, muzułmanów i islamu) ujawniły również, że wiedza seminarzystów na temat islamu pochodzi głównie z mediów wzmacniających uprzedzenia. Dla 86 proc. kleryków głównym źródłem informacji na temat innych religii był internet, zwłaszcza media społecznościowe. Dwie trzecie pytanych uznało, że muzułmanom powinno się zabronić budowy meczetów w Polsce, a większość zgodziłaby się z prawnym zakazem wyznawania islamu w kraju.

Konrad Pędziwiatr: – Seminarzyści mają kłopot z podstawową poprawnością polityczną. Np. co piąty deklaruje, że nie chciałby mieszkać w sąsiedztwie imigrantów. Zdarza się otwarty rasizm. Wyniki badań pokazują, że większość z nich nie jest przygotowana do życia w różnicowanym, pluralistycznym społeczeństwie.

– W niektórych seminariach widać, że seminarzyści bardziej garmą się do kół kleryckich skupionych wokół przedsoborowej liturgii i teologii (a więc tradycjonalistów) niż grup Nowej Ewangelizacji. Nie wynika to wyłącznie z umiłowania

KS. TYKFER:

Przebudowa formacji seminaryjnej musi być radykalna. Chodzi o to, by ksiądz, oprócz lidera, stał się też partnerem w dialogu.

liturgii trydenckiej, ale z chęci wzmocnienia Kościoła opartego na kastowości i podporządkowania życia wiernych duchownym – mówi anonimowo jeden z księży.

Ksiądz, czyli władza

Według Stefana Swieżawskiego, który klerykalizm uznawał za herezję, polegał on na tym, że świeccy nie są dostatecznie zaangażowani w Kościół. Miał to zmienić Sobór Watykański II, na którym polski filozof był świeckim audytorem.

Rozwój teologii świeckich w Kościele trwał jednak krótko (patrz: rozmowa z Haliną Bortnowską). Do dziś klerykalizm księży utwierdza ich w przekonaniu, że świeccy we wspólnocie katolickiej pełnią funkcję podległą względem duchowieństwa.

– Podczas bierzmowania biskup lub prezbiter uderza wiernego w policzek. Co prawda delikatnie, ale jednak w twarz – opowiada o. Oszejka. – To również wywodzi się ze średniowiecznego rytuału ilustrującego relacje między feudałem a wasalem. Owszem, można tłumaczyć, że to symbol gotowości do obrony Chrystusa, narażania się za wiarę itd. Ale jeśli Kościół ma być wspólnotą, to chyba niezbyt chrześcijańskie.

Jest też język: – Słowo „ksiądz” nawiązuje do władzy świeckiej – wyjaśnia Elżbieta Adamiak. – Zaczęło się od wodza plemiennego, potem przeszło na księcia, z którym dzieli źródłosłów, potem na biskupów, „książąt Kościoła”, a dziś mówi się tak o prezbiterach. A bywa, że nawet o klerykach. „Ksiądz” to ktoś, kto pełni urząd, który daje mu pozycję władzy.

Paradoksy polskiego klerykalizmu odslania Jasna Góra, miejsce, które coraz silniej kojarzy się ze sprzężeniem państwa i Kościoła.

– Oddawanie tu miejsca piastującym urzędy politykom, zwłaszcza pochodzącym z jednego ugrupowania, jest niedopuszczalne – mówi prof. Adamiak. Ale dodaje jeszcze: – Przed 1989 r. Jasna Góra kojarzyła się z troską o wspólne dobro, które oceniam bardzo pozytywnie. Pokazywała też, że dążenia do wolności politycznej były w Polsce powiązane z pobożnością ludową. Innymi słowy: Jasna Góra nie musi być taka, jak jest teraz.

W obronie własnego obrazu

Ostatnie skandale związane z molestowaniem seksualnym przez duchownych przypominały, że jedną z konsekwencji

KS. PRUSAK:

Istotne jest zadbanie o to, aby relacja biskupa-ojca z księdzem-synem nie opierała się na niedojrzałości ich obu.

panowania kultury klerykalnej jest dążenie do ukrywania wszelkich nieprawidłowości w imię ochrony wizerunku Kościoła.

– Ujawnione skandale pokazują, że duchowni funkcjonowali według standardów podwójnej moralności, za którymi stało przekonanie, że skoro bardziej są narażeni na ataki szatana, to ich upadki należy ocenić łagodniej i utajnić, by nie spowodować zgorszenia. W ten sposób jednak zniekształcano Ewangelię i soborowe rozumienie Kościoła – mówi ks. Prusak.

– Czego księża boją się najbardziej, jeśli chodzi o pedofilię? Że oczyszczanie Kościoła nie będzie miało granic. Są rzeczy, które są przestępstwem, ale są też takie, które nie są. Jest lęk, że w imię czystości będziemy wyciągać, a nawet publikować w internecie wszystko – mówi ks. Tykfer.

Ewa Kusz, terapeutka, wicedyrektor Centrum Ochrony Dziecka przy Akademii Ignatianum w Krakowie: – Wszyscy jesteśmy wychowani w kulturze klerykalnej. Antyklerykalizm też jest formą klerykalizmu, choć odbitego w lustrze; podejściem, gdzie księża znajdują się w centrum. Wyjście z takiej postawy nie jest proste. Jedyne szybkie rozwiązanie musiałoby być rozwiązaniem rodem z rewolucji październikowej, gdzie jednych zastępujemy drugimi, myśląc, że będą lepsi. Ale wiadomo, że w Kościele to niemożliwe. Kryzys jest zbyt głęboki, by skupić się na przedstawianiu figurek. Dopiero teraz rozumiem słowa papieża Franciszka, który apeluje o modlitwę i pokutę, ale nie jako rozwiązanie, które ma coś zakończyć, tylko od którego ma się zacząć naprawianie Kościoła.

Największy test

Pytamy naszych rozmówców o sposoby ograniczenia klerykalizmu.

O. Oszejka: – Nie będzie to łatwe. Biskupi muszą zadbać, aby do struktur wrócili świeccy. Żeby Kościół odzyskał swoje

prawa w Kościele. Dopóki z parafiami będą się wiązać beneficja i dochodowe urzędy, dopóty nie stworzymy wspólnot. Zostaną: konkurencja, staranie się o awanse i o „lepsze” parafie, krótka droga do łapownictwa, załatwiania rzeczy na boku. My, duchowni, nie jesteśmy aniołami. A nawet aniołom udało się zgrzeszyć.

Ks. Tykfer: – Jedną z najważniejszych dla mnie rozmów kapłańskich: pewien ksiądz, który zgrzeszył, powiedział, że najwyższy poziom wspólnoty polega na tym, że usłyszał od innego księdza, iż ów mógłby zrobić to samo. Żeby umieć przyznawać się do własnej słabości. Nie chodzi o to, by powiedział: zrobiłem to samo, ale: jestem zdolny to zrobić. Tu widać ideę wywyższania się: mówimy innym, jak mają żyć, udajemy, że nas to nie dotyczy. Dlatego przebudowa formacji seminaryjnej musi być radykalna. Nie chodzi o to, żeby obecny model inaczej skonfigurować, ale żeby go radykalnie zmienić, łącząc to, co dzieje się w seminarium, z formacją zewnętrzną, we wspólnotach. Chodzi o cały obszar życia księdza w bezpośrednich relacjach ze świeckimi: nie tylko jako lidera, ale również partnera w dialogu, czyli ko- goś, kto wspólnocie pozwala się też prowadzić.

Ks. Prusak: – Potrzebna jest taka formacja, która pozwoli przyszłemu księdzu współtworzyć wspólnotę i nauczyć go, jak sprawować posługę prezbitera nie sprawując sakramentów do narzędzi kontroli wiernych. Istotne jest również zadbanie o to, aby relacja biskupa-ojca z księdzem-synem nie opierała się na niedojrzałości ich obu. Paternalizm z jednej strony i infantylizm z drugiej.

Sposób na przewyciężenie klerykalizmu mógłby więc brzmieć tak: umożliwienie rozwoju otwartych, przejrzystych i równościowych relacji wewnątrz kleru oraz między klerem a świeckimi. Stworzenie przestrzeni, w której dopuszczane i akceptowane jest moralne upominanie księży przez świeckich, a nie tylko przez biskupów. To – jak przekonują nasi rozmówcy – zadanie, które wymaga równoległych, często rewolucyjnych zmian na wielu poziomach struktury Kościoła. Zarządzane „od góry” przez papieża, z aktywnym „oddolnym” udziałem świeckich.

Słowem: to być może najważniejszy od czasu ostatniego soboru test, czy Kościół wciąż jest wspólnotą.

©© ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA

Kwalifikacje nabyte

HALINA BORTNOWSKA:

W stosunkach kościelnych rzadko się zakłada, że świecki dysponuje czymś, czego nie ma ksiądz.

MACIEJ MÜLLER: Po raporcie na temat przestępstw seksualnych duchowieństwa w Pensylwanii papież Franciszek, poszukując źródeł zła, wskazał na klerykalizm. O jakie zjawisko chodzi?

HALINA BORTNOWSKA: To zjawisko jest szerokie i dotyczy dużej grupy, ale jest też osobiste i ma charakter psychologiczny. To odmiana narcyzmu. Mityczny Narcyz, przeglądając się w strumieniu, zachwycał się samym sobą i zobojętniał na świat. Duchowny jest podatny na taką pokusę i na przyjęcie swojej grupy za dominujący punkt odniesienia. Narcyzm duchownych ma jednak specyficzną formę.

To znaczy?

Hierarchia kościelna nie jest zwyczajną grupą odniesienia – taką, z którą każdy z nas idzie przez życie. Ta grupa odniesienia jest o wiele silniejsza, ponieważ charakteryzują ją mocne, od wieków zakorzenione przywileje, obowiązki i ciężary. Chodzi zwłaszcza o władzę administracyjną, ale również władzę wpływania na ludzką psychikę.

Klerykalizm wiązałyby Pani z pychą?

Niekoniecznie. Narcyzm dotyka nie tylko ludzi dumnych z siebie, ale po prostu tych zaprzątniętych sobą, przeświadczonej o swojej wyjątkowości. Mogą nawet dźwigać swój status z wysiłkiem, czując, że ich przygniata. Odczytują jednak innych ludzi i świat przez pryzmat własnej tożsamości i różnic dzielących ich od pozostałych. Przyjaźnie są wśród narcystycznych osób na ogół ograniczone do ich własnego kręgu.

Poza wspomnianymi przez Panią zakresami władzy jest jeszcze sakramentalna.

Cóż, gdyby miało być inaczej, to musielibyśmy Kościół zbudować od początku... A to niebezpieczny kierunek myślenia.

Nietrudno zresztą wskazać odłamy chrześcijaństwa, które tworzą wszystko od nowa, a wcale nie są wolne od własnych odmian klerykalizmu. W luteranizmie np. funkcjonują rodziny pastorskie: przyjęło się, że z reguły któreś z dzieci pójdzie w ślady ojca czy matki.

Czyli klerykalizm jest nie do uniknięcia w Kościele, bo bez warstwy kapłańskiej Kościół nie może funkcjonować.

Obserwujemy sytuację, która wyrosła na wielowiekowej tradycji. Czy nie może się zmienić? Może. Ale nie na zasadzie cudownego rozwiązania; uwalnianie się od klerykalizmu wiąże się z wysiłkiem i jest trudne. Narcyzm jest na tyle mocno zakorzeniony w człowieku, że pod jego wpływem może zacząć się wydawać, że tak po prostu musi być.

Czymś, co chyba najwyraźniej wyodrębnia warstwę kapłańską, jest celibat.

Brak celibatu niekoniecznie uwalnia od narcyzmu. W Kościołach, w których go nie ma, też się rozwija pewna wsobność kleru: kandydatów wybiera się spośród siebie podobnych. Klerykalizm pojawia się pod wpływem sposobu życia; trwa przez epoki w różnych postaciach, przechodząc na kolejne pokolenia.

Franciszek zarzucił świeckim podsyćanie klerykalizmu.

Czy klerykalizm powstaje wewnątrz kleru, czy też duchowni stają się tacy ze względu na oczekiwania i zachowania świeckich? Nie potrafię powiedzieć, który czynnik jest silniejszy. Laicy tworzą kler, a kler laików – traktując ich w sposób wykluczający, a sobie przypisując możliwości, których świeckim się odmawia. Na pewno istotnym elementem klerykalizmu stało się wykształcenie teologiczne, uważane za rodzaj wtajemnicze-

nia w sprawy duchowe. Istotną rolę w budowaniu oddzielności kleru mają też zakony.

Bardziej niż księża diecezjalni?

Tak, ze względu na wyraźnie widoczną odrębność. Choć dziś to się zaciera, bo przywileje i obowiązki stają się podobne. Sama swego czasu postulowałam, by osoby pracujące w parafii prowadziły życie bardziej wspólnotowe. Wytworzenie się zwartego kręgu współpracowników sprzyja zespołowemu działaniu. To korzystny proces: podobnie dla pacjenta jest dobrze, gdy zespół lekarzy kieruje się wspólnymi regułami postępowania.

Czyli wspólnotowość sama w sobie jest dobra, ale jej skutkiem ubocznym bywa klerykalizm?

Może tak się stać. Jak tego uniknąć? Trzeba działać w gronie mieszanym: duchowni ze świeckimi. Miałam raz miłe doświadczenie wygłoszenia wykładu o radach ewangelicznych w poznańskim seminarium. Na sali siedzieli i klerycy, i świeccy – w tym dziewczyny. W takim mieszanym gronie szanse klerykalizmu są mniejsze. Warunkiem jest otwarcie się na ludzi spoza własnego kręgu i na to, co chcą zaproponować. Przypomina mi się opowieść z Lublina. Pewien profesor psychologii chciał mocniej zaangażować się w życie Kościoła. Poszedł do proboszcza, przedstawił się i spytał, do czego mógłby się przydać. Ksiądz uśmiechnął się, otaksował go wzrokiem i powiedział: „Jest pan wysoki, może by pan został dzwonnikiem, bo nasz kościelny nie daje rady?”. Dołączenie do zespołu ludzi żyjących według innych układów odniesienia skutecznie przeciwdziała klerykalizmowi. I sprzyja też przyjaźniom wychodzącym poza własne środowisko.

Patrząc na polskie parafie czy uczelnie katolickie mam wrażenie, że pracownikiem pierwszego wyboru będzie jednak zawsze ksiądz. I wtedy to już jest klerykalizm.

To się nie bierze z tego, że księży jest w Polsce bardzo dużo?

Ich jest ciągle mało, za mało... Jeszcze nie przeżywają wystarczająco tego, że ich szeregi topnieją. To dotyczy tych, którzy się udają na misje. Mogą albo żyć zupełnie samotnie, albo dopuścić do siebie ludzi świeckich różnej proveniencji. Wiem, o czym mówię, bo przez wiele lat byłam



Ogólnopolska akcja Różaniec do Granic, Gdańsk, październik 2017 r.

katecheta na Ziemiach Zachodnich. W tamtych parafiach, w których wszystko należało dopiero odbudować, my, świeccie dziewczyny, tworzyliśmy krąg ludzi, którzy się naradzali, wyręczałi, dzielili kłopotami, byli wobec siebie solidarni.

Może i Panią obejmował wtedy klerykalizm?

Chyba nie. Rodzice dzieci, które uczyłyśmy, traktowali nas jak osoby bliskie, którym ufają i którymi muszą się też zaopiekować, bo warunki były ciężkie i pieniędzy mało. Chcieli, żebyśmy pozostały tam, a nie jechały gdzieś dalej. Starali się więc o wzmacnianie wspólnoty. To poczucie koleżeństwa przeciwdziałało rozwojowi klerykalizmu, który prowadził przecież do tego, że duchowni są strasznie spięci w obecności świeckich. Traktują ich z wyższością, jednocześnie czując, że nie są im równi. Żeby się naprawdę odprężyć, muszą przebywać we własnym towarzystwie – do którego świeckich raczej nie dopuszczają. Taki kościelny apartheid...

A świeccy często też poddają się klerykalizmowi. Prace Synodu Archidiecezji Krakowskiej ułożono tak, że kurialiści pisali dokumenty, a świeccy mieli się o nich wypowiadać. To już bardzo dużo, niemniej chyba otaczaliśmy te teksty nienależnym, przesadnym szacunkiem. Świeccy nie umieją dzisiaj szukać religijnej wspólnoty poza proboszczem czy katechetą. Budowanie czegoś bez udziału czy z umiarkowanym udziałem kleru jest rzadkim zjawiskiem.

Nie wierzy Pani w takie ruchy religijne jak Oaza czy Ruch Odnowy?

One często jednak orbitują wokół swego księdza... Dobrze, jeśli on podzieli się przywództwem z osobą świecką o temperamencie duszpasterskim, o ile taka się znajdzie. Problem w tym, że w Kościele ograniczono dostęp do wielu funkcji osobom nieposiadających sakralnego patentu w postaci święceń. Nic dziwnego, że świeccy czują się laikami *sensu stricto*. W stosunkach kościelnych rzadko się zakłada, że świecki dysponuje czymś, czego nie ma ksiądz. Kiedy się skarżyłam biskupowi Wojtyłce, że trudno się doprosić księżowskiej obecności na zebraniach zespołu synodalnego, odpowiedział: „Czego oczekujesz; oni przez tyle lat się uczyli, że mają być słuchani, a nie sami słuchać – i to w dodatku robotników, albo co gorsza ich żon...”.

Czyli świecki powinien być duszpasterzem?

Mógłby nim być. Co nie zmienia faktu, że potrzebuje do tego kwalifikacji. Merytorycznych, niekoniecznie sakralnych. Pochodzący z Katowic ks. Stanisław Sierla obserwował na KUL-u moją pracę w roli animatora wspólnoty. Przysłał mi potem list, w którym zaproponował, bym przyjeżdżała do jego studentów, bo oni już dojrżeli do tego, by prowadziła ich osoba świecka. Jeździłam tam przez dziesięć lat. Zyskałam wiele doświadczenia w służeniu innym. Następca ks. Sierli kontynuował ten układ. Służył nam głównie jako celebrans, ale grupa w coraz większym stopniu animowała się sama.

To się skończyło?

Uczestnicy pokończyli studia, pozakładali rodziny i mniej mieli czasu, ale nie,

to się nie skończyło. Utrzymujemy do dziś kontakt i niewątpliwie jesteśmy dla siebie grupą odniesienia. Może to cecha specyficznie śląska, że ludzie są tak wierni temu, co raz przedsięwzięli? Tę koleżeńską, równościową mentalność wytworzyli chyba ojcowie czy dziadkowie – górnicy, których życie zależało od wzajemnej solidarności. Dzisiejsi Ślązacy to ludzie innych zatrudnień, ale pozostało w nich przekonanie typowe dla ratowników górniczych. Że nie wolno nikogo zostawić samego.

Czy postawa tych dwóch księży wynikała z otwarcia soborowego?

Nie. To się działo już wcześniej. Sobór przypieczętował, nakarmił, podlał to, co się działo dzięki takim księżom.

Czy w Polsce, skoro dzisiaj diagnozujemy tak mocny klerykalizm, zagubiono owoce Soboru?

Tak, widzę to wyraźnie. Miałam szansę obserwować w Rzymie trzecią sesję Soboru. Kiedy wróciłam do Polski, często proszono mnie, bym w takim czy innym gronie kościelnym o tym opowiedziała. Na ogół jeździliśmy z ks. Andrzejem Zuberbierem – on przedstawiał sprawę z punktu widzenia teologicznego, ja bardziej świeckiego. To się skończyło bardzo prędko, może dwa lata po zakończeniu Soboru. Już przywykłam do roli rekoлектantki, do tego, że przemawiam w kościołach, a parę razy nawet w katedrach, bezpośrednio po biskupie. Tymczasem później pewnego razu ks. Zuberbier był proszony o przyjazd z rekolekcjami, proponuje, że ja przyjadę z nim, i słyszy: nie, dziękujemy, jak kobieta, to nie. ➔

→ Powiedział, że wobec tego i on nie pojeździe. Przekonałam go jednak, żeby przyjmował takie zaproszenia. Skoro nie chcą słuchać kobiety, niech przynajmniej słuchają księdza profesora. To ważniejsze od emancypacji kościelnej kobiet.

Czyli Sobór nie zdołał podkopać fundamentów klerykalizmu.

Nie w Polsce. Klerykalizm zbyt głęboko był zakorzeniony.

Może to głównie przed kobietami stoi zadanie wykorzeniania klerykalizmu?

Nie jestem pewna. Mam przeświadczenie, że są role, do których mężczyźni przywykli od pokoleń i do których przygotowywani są od dziecka. Współczuję kobietom, którym przychodzi ścierać się z duchowieństwem. Bo spotykają się wtedy z mało subtelnym rodzajem klerykalizmu. Księża mają zwyczaj bardzo protekcyjnego traktowania kobiet – chyba że stoi przed nimi królowa albo celebrytka. Pamiętam, jak siostra Emilia Ehrlich, znakomita biblistka, współpracowniczka Jana Pawła II, przyjechała na moją prośbę do parafii w Nowej Hucie poprowadzić kurs biblijny. Kiedy witała się z duchownymi, jeden z młodszych wikarych powiedział: „No to zobaczymy, co nam siostrzyczka powie o Piśmie Świętym”. Jakby nie wiedział, że ma do czynienia z rzymskim profesorem, z wielką damą i uczoną, która uczyniła grzeczność, że zechciała nam coś ze swojej wiedzy udzielić. Znałam poglądy tego księdza – był głęboko przekonany, że kobieta może mówić o macierzyństwie i o emocjach. To, że kobieta może być specjalistką w dziedzinie naukowej, panom, którzy nieraz z trudem kończyli seminaria (czasem kiepskie zresztą, bo w Polsce zawsze brakowało wykładowców), w głowie się nie mieściło.

Jak świeccy powinni postępować, by nie podsycać klerykalizmu?

Jechałam raz autobusem z Lublina do Krakowa. Pogoda paskudna, śnieg pada, w końcu autobus utyka w zaspie. Kierowca mówi: „Może są tacy, którzy pomogliby popchnąć?”. Koło mnie siedzi młody ksiądz czy kleryk, patrzy na mnie zaniepokojony i pyta: „A czy ja też mogę?”. Myślę, że wielu księży pragnie wyzwolenia z klerykalizmu. Chętnie popchnęliby niejednego autobusu, gdyby tylko ktoś im powiedział, że wolno. I że nie czynią tym ujemy swoim świętym prerogatywom.

HALINA BORTNOWSKA:

Biskup Wojtyła na moje skargi odpowiadał: „oni przez tyle lat się uczyli, że mają być słuchani, a nie sami słuchać – i to w dodatku robotników, albo co gorsza ich żon”.

To może francuska idea księży robotników była do rzeczy?

Ten eksperyment nie do końca się udał. Słyszałam opinie, że kiedy księża znaleźli się nie dość, że w środowisku robotniczym, to jeszcze w otoczeniu kobiet – było to dla nich za dużo. Stosunkowo niewielu księży robotników dało radę sprostać innym kapłańskim zobowiązaniom. Myślę, że bardziej naturalne jest być robotnikiem i zostać księdzem, niż jako ksiądz wracać do warsztatu. Nabywanie kwalifikacji księżowskich kosztuje mnóstwo pracy i czasu; rzucić to wszystko, żeby samochody naprawiać? Warto dążyć do bliskości ze świeckimi, ale do tego wystarczy być sąsiadem robotniczej rodziny. I nie rozstawać się z własną rodziną, nie przyuczać jej, że teraz ja jestem już do wyższych zadań. Uczestniczyć w obowiązkach, schody umyć i zapastować – jak na Śląsku. Bo nie trudno, żeby chłopskiemu synkowi w głowie się przewróciło.

Jak uniknąć tej pułapki? Bo wchodząmy w myślenie życzeniowe: dobrze by było, żeby ksiądz się nie nadął.

Myślę, że to wina formacji. Kiedyś pewien kleryk, którego wcześniej uczyłam religii, powiedział mi: „Jesteśmy bardzo cenni. Bardzo się nad nami trzęsą, żebyśmy przypadkiem nie porzucili tej drogi”. Taka postawa bardzo podsyca klerykalizm. Młody człowiek jest w seminarium, żeby rozemnać, czy został powołany. Niech nie ma w głowie babci, która straszy się zgorzys, gdyby wrócił do domu, nie zostawszy księdzem.

Poza tym trzeba zainteresować się tym, co psychologowie mają do powiedzenia w kwestii przezwyciężania narcyzmu poprzez otwieranie się na drugiego. Niechby kleryk służył pacjentom, więźniom czy uchodźcom, solidaryzował się z ludźmi in-

nymi niż on i uczył się doceniać ich drogę życiową.

Papież Franciszek – oby skrzydła anielskie go osłoniły przed klerykałami – rozumie to i dlatego wzywa do wykorzenienia klerykalnych obyczajów. On chce, żeby Kościół się odklerykalizował, nie tracąc radości duszpasterskiej. Tylko że przyszedł ciężki czas, bo duchowni bardzo się narazili światu.

Będzie trudniej wyjść z klerykalizmu?

Księża po prostu nie zostaną zaproszeni do środowisk świeckich. Łatwiej nawiązać wspólnotę, kiedy się jest oczekiwanym, niż kiedy jest się podejrzanym o pedofilię. A to tylko jeden z grzechów. Innym jest chciwość, gromadzenie dóbr czy to dla siebie, czy dla Kościoła, w sytuacji, kiedy ludzie mają pilniejsze potrzeby. Ucieszyłabym się, gdyby gdzieś postawiono zamiast kolejnego kościoła dom dla seniorów. Taki bardziej luksusowy.

A może jest tak, że klerykalizm przeniknął wszędzie i go nie wykorzenimy? Jest nawet w liturgii („z naszym papieżem, z naszym biskupem oraz całym duchowieństwem”) czy w modlitwie brewiarzowej („Spraw, abyśmy przez naszych pasterzy stale wzrastali w świętości”)...

Modlitwy liturgiczne powstawały w starożytnych chrześcijańskich wspólnotach i mam do nich wielki szacunek. Te formy zrodziły się dawno temu, ale może da się odkryć, co znaczą dzisiaj? Nie razi mnie modlitwa o to, by nasi duszpasterze pracowali nad naszą świętością. Bardzo bym chciała, żeby nas uświęcali w sposób dostosowany do XXI wieku. Oni są naszymi przewodnikami. A my w dużej mierze ich wychowujemy.

©® Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

HALINA BORTNOWSKA (ur. 1931) jest filo-



zofką, teolożką, publicystką, animatorką przedsięwzięć społecznych, w tym ruchu hospicyjnego, uczestniczką ruchu ekumenicznego. W latach 1961–1983

była członkiem i sekretarzem redakcji miesięcznika „Znak”. Od 2007 do 2012 r. przewodnicząca Rady Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.



MAGAZYN POWRACA

Mimo braku dotacji z MKiDN „Książki w Tygodniku” wracają na łamy! Nowe otwarcie – nowe oferty – nowe możliwości.

Zapraszamy Wydawców do kontaktu:

reklama@tygodnik.com.pl
tel. 12 422 05 70

„Książki w Tygodniku” pozbawione dotacji MKiDN

PAWEŁ

Śpiewak: Płacz Boga



BÓG JEREMIASZA PŁACZE W WEWNĘTRZNEJ komnacie niebios nad swoim losem i losem swoich dzieci. Płacze, bo musiał ukarać swój lud za niewierność i tym samym siebie ukarał – bolejąc nad ludem i tracąc swoją ziemską siedzibę w Jerozolimie. Ten płacz Boga powraca zawsze wtedy, gdy Bóg przypomina sobie lub widzi cierpienie Żydów wśród narodów świata.

Ostatnim teologiem, który o tym pisał, był chasydzki rabin z Piaseczna Kalonymus Szapira. Mówił o tym swoim wyznawcom w warszawskim getcie. Uczył ich, że mają wesprzeć Boga w jego płaczu, jak to czynili nasi praojcowie. Ze starożytnych midraszy uczymy się, że „z oczu Jego wypływają wtedy dwie łzy, które spływają do morza. Odgłos wpadających do morza łez słychać ze wszystkich stron świata. I odgłos ten powoduje trzęsienia ziemi. Inni znów powiadają, że Bóg wydaje wtedy lwi pomruk, od którego wszystkie światy zaczynają drżeć”. Tak twierdzi prorok Jeremiasz pisząc: „Bóg na wysokościach wydaje pomruk i ze świątyni przybytku wydaje głos. I pomrukuje nad miejscem swego odpoczynku”. Nad Jerozolimą. Rabi Akiwa w początkach wspólnej ery uczył natomiast, że wtedy, gdy naród żydowski jest prześladowany, Bóg nie jest w stanie się powstrzymać od wydania drżącego pomruku. I od tego pomruku drżą ziemia i niebo.

Bóg Izraela jest Bogiem współczującym, współcierpiącym, ale przede wszystkim jest Bogiem strasznym, groźnym w swych pomrukach. Mojżesz, który chwalił Boga, używał określeń: Bóg Wielki, Mocny, Straszny. A Jeremiasz, który tyle widział i przeżył, powiadał tylko, że Bóg jest Wielki i Mocny. A mężowie wielkiego zgromadzenia z pokolenia Ezdrasza i Nechemiasza uważali, że Boga najcelniej jest nazwać Mocnym. Tak oni powiedzieli: „W tym właśnie prawdziwa Jego Moc, albowiem panuje nad sobą samym, poskramia swój gniew, żeby go zbytnim pośpiechem za wcześniej nie spuścić na złoćców. I na tym też polega to, że jest Straszny. Gdyby nie strach przed Bogiem, niemożliwe byłoby, żeby taki mały naród jak Żydzi mógł przetrwać wśród tak wielu narodów”. Na pewno dla tych, którzy pisali te słowa, Bóg w atrybucie miłości czy miłosierdzia nie był tym, którego oni chcieli, czuli, widzieli. Nie było tam miejsca na wzruszenia, ciepło i łatwe wybaczenie.

Jest jeszcze jedno określenie Boga, jakie w midraszach często znajdujemy. Jest On Gniewliwy. Jest czego się bać i czym żyć. Czytamy: „Boże, nie ukaraj nas w swoim gniewie», modli się Żyd do Boga, aby był błogosławiony, słowami poety z Psalmów. Jeśli masz mnie ukarać za grzechy, niechaj karze nie towarzyszy wielki gniew. Inaczej zabraknie mi sił do zniesienia jej”. Na pomoc temu spostrzeżeniu w kulturze potocznej Żydów znaleźć można myśl czy aforyzm o wyjątkowej trafności: „Boże, nie każ mi tyle cierpieć, ile potrafię wytrzymać”. Właśnie o to warto prosić w każdej godzinie życia i w godzinie śmierci. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Jezus intruz



MOJŻESZ WYPROWADZA IZRAELITÓW Z EGIP-tu, ale kiedy ostrył początkowy entuzjazm, ludzie zaczęli go krytykować, a nawet mu grozić. To cofnięcie zaufania względem Mojżesza sprawiło, że „Pan bardzo się rozgniewał”, a to znowu „bardzo się nie podo-bało” Mojżeszowi. Przypomniawszy Bogu o Jego odpowiedzialności za lud, dla którego jest Ojcem. Przystępując do rozwiązania konfliktu, Bóg poleca Mojżeszowi wybrać z ludu 70 męż-czyn. „Ja zstąpię i będę z tobą rozmawiać – mówi Bóg. – Wezmę z ducha, który jest w tobie, i im go przekażę. Będą razem z tobą dźwigać ciężar tego ludu, a ty nie będziesz go już musiał dźwigać sam”.

Gwałtowny spór Mojżesza z Bogiem to doskonały przykład uczciwej modlitwy, w której Bóg i człowiek w twardej, szczerzej do bólu rozmowie dochodzą do porozumienia. Bóg poważnie podchodzi do argumentów Mojżesza i tego samego oczekuje od swego rozmówcy. Mojżesz i lud zapomnieli jednak, że Bóg uprzedzał: „moje myśli nie są waszymi myślami, a wasze drogi nie są moimi drogami. Bo jak niebo góruje nad ziemią, tak drogi moje górują nad waszymi, a moje myśli nad waszymi myślami”.

Gwałtowny spór Mojżesza z Bogiem to doskonały przykład uczciwej modlitwy, w której Bóg i człowiek w twardej, szczerzej do bólu rozmowie dochodzą do porozumienia. Bóg poważnie podchodzi do argumentów Mojżesza i tego samego oczekuje od swego rozmówcy. Mojżesz i lud zapomnieli jednak, że Bóg uprzedzał: „moje myśli nie są waszymi myślami, a wasze drogi nie są moimi drogami. Bo jak niebo góruje nad ziemią, tak drogi moje górują nad waszymi, a moje myśli nad waszymi myślami”.

Spośród wezwanych przez Mojżesza „dwóch mężczyn pozostało jednak w obozie. Jeden z nich nazywał się Eldad, a drugi Medad. Na nich też zstąpił duch, bo chociaż nie przybyli do Namiotu, należeli jednak do wezwanych. Ich również ogarnęło w obozie natchnienie prorockie. (...) Jozue, syn Nuna, który od młodości służył Mojżeszowi, powiedział: »Mojżesz, mój panie, zabroń im tego!«. Mojżesz odrzekł: »Czy jesteś o mnie zazdrosny? Oby tak cały lud Pana prorokował! Oby Pan udzielił mu swojego ducha!«”.

Po wiekach również Jezus, Syn Boży, usłyszy od swego ucznia Jana: „Nauczycielu, spotkaliśmy kogoś, kto w Twoje imię wyrzucał demony, i zabranialiśmy mu, bo nie chodzi z nami». Jezus odrzekł: »Nie zabraniajcie mu! Nikt bowiem, kto czyni cuda w moje imię, nie będzie zaraz mógł źle mówić o Mnie. Kto nie jest przeciwko nam, jest z nami«. Jan i Jozue wpadli w tę samą pułapkę. Poczuli się zagrożeni w swojej tożsamości, wyjątkowości. Zdają się mówić: czy to, co nas, wybrańców, wyróżnia, ma być dla wszystkich? Czy to, co dla nas najświętsze, mamy oddać za darmo każdemu, kto się napa-toczy?

Nieobce nam te obawy. Jezus, co prawda, powiedział: „bierzcie, jedzcie i pijcie wszyscy”, ale i „nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie pereł przed świnię”. I tak można w nieskończoność przerzucać się cytatami, stawiać słowo przeciwko słowu. A Jezus? Z trudem przedziera się przez tę nawalnicę przemądrzałych debat, wykładów, wspaniałych ceremonii i bywa postrzegany jako intruz, a nawet nieprzyjaciel. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Doskonali jak Ojciec

Człowiek, który słyszy
tylko swoje pragnienia,
mówi: „są dobre”.
Nie słyszy jednak
dobrej nauki
swego brata.

**APOFTEGMATY
OJCÓW PUSTYNI**



Wstuchuj się
we wszystko.

SENTENCJE DELFICKIE



LITURGIA CZYNI NAS
W ostatnich dniach
słuchaczami najważniejszego z Jezusowych kazań. U św. Łukasza jest ono „Kazaniem na równinie” (Łk 6, 20-49), a u św. Mateusza „Kazaniem na górze” (Mt 5, 1 – 7, 27). W obu wersjach otwiera się tekstem błogosławieństw. Zestawienie obu redakcji pozwala zwrócić uwagę na szczegóły – niezwykle inspirujące.

Przykładowo zdanie zapisane przez Mateusza: „Bądźcie więc wy doskonali, podobnie jak Ojciec wasz niebieski jest doskonały” (Mt 5, 48), u Łukasza przyjmuje formę: „Bądźcie miłosierni, jak i Ojciec wasz jest miłosierny” (6, 36). To nie żadna sprzeczność. To symfonia i precyzacja. Świętość nie jest przecież abstrakcyjną „doskonałością” – sprawdza się w relacjach, zwłaszcza takich, które nie mogą być uregulowane według prostych zasad sprawiedliwości i wzajemności.

O tym mowa jest nieco wcześniej. „Jeśli miłujecie tych [tylko], którzy was miłują – czytamy u Mateusza – cóż za zapłatę mieć będziecie” (5, 46). W wersji Łukasza jednak słowo „zapłata” (grec. *misthos*; łac. *merces*) zostało zastąpione greckim słowem *charis* (w Wulgacie łac. *gratia*). Greckie *charis* ma wiele znaczeń – łaska, wdzięczność, dobrodziejstwo, dar itd. Zasadniczo wszystkie wyrywają nas z postrzegania własnych czynów (i konsekwentnie naszej relacji do Boga) w kategoriach (wyłącznie): „zasługa – nagroda/zapłata”. Otwierają nas za to na całą przestrzeń spotkania w bezinteresowności, darmowości, obdarowania. Dajemy, ale sami – w wolności obu stron – otrzymujemy. Czynimy dobro mocą przyjętej uprzednio łaski – w przeciw-

nym razie ją marnujemy. To w komunii z Panem odkrywamy, iż Jego miłość uzdalnia nas do przekroczenia ścisłych (ściśliwych) ram wymiennej sprawiedliwości...

Myśl pogłębia podpowiadany w Biblii Nestle-Alanda odsyłacz do tekstu św. Pawła z Drugiego Listu do Koryntian (9, 6-11): „Kto skąpo siew, skąpo i zbierać będzie; kto siew wśród błogosławieństw – wśród błogosławieństw i zbiera”. Właśnie tak. Czynienie dobra rządzi się zasadami siejby, a nie handlu i biznesu: „daję, żebyś dał!”.

Dobro jest inwestycją siewcy, który rzuca w ziemię ziarno z nadzieją na plon. Jego nadzieja wszakże nie boi się próby czasu – jest cierpliwy i dalekowzroczny. Jest hojny – jak Siewca z Ewangelii – nie uważa swego trudu za zmarnowany, jeśli ziarno padło na drogę, albo na teren skalisty czy nawet między ciernie. Nie oburza go ani nie zniechęca plon mniejszy niż stokrotny. Siewca, choć nie wie, kto będzie zbierał. Ma jednak pewność, że wykonane dobro zaowocuje w którymś życiu. Wie też, że plon nie zależy wyłącznie od niego. To w końcu nie on daje wzrost...

Tak. Żeby siać, trzeba mieć dystans do siebie i do swojej pracy, i do jej (spodziewanych) owoców. Równie bardzo trzeba mieć w sobie wiarę w dobro. Dla niego samego. Nie wyłączanie z racji na korzyść, jaką może mi – i to zaraz – przynieść.

Łaska Boga (*charis*), a nie jedynie nagroda (*misthos*) wyznacza dyscyplinę moich relacji z nieprzyjaciółmi. Jak dobrze jest odkryć, a potem już nigdy nie zgubić tej perspektywy – zbudowanej na świadomości/doświadczeniu tego, że między mną a moim nieprzyjacielem jest Pan Bóg ze swoją łaską.

To naprawdę wszystko zmienia.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 IX)

25. niedziela zwykła: Mdr 2, 12. 17-20; Ps 54;
Jk 3, 16 – 4, 3; Mk 9, 30-37;
Poniedziałek: Prz 3, 27-35; Ps 15; Łk 8, 16-18;
Wtorek: Prz 21, 1-6. 10-13; Ps 119; Łk 8, 19-21;
Środa: Prz 30, 5-9; Ps 119; Łk 9, 1-6;

Czwartek: Koh 1, 2-11; Ps 90; Łk 9, 7-9;
Piątek: Koh 3, 1-11; Ps 144; Łk 9, 18-22;
Sobota: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 138; J 1, 47-51;
26. niedziela zwykła: Lb 11, 25-29; Ps 19; Jk 5, 1-6;
Mk 9, 38-43. 45. 47-48.

Wybrał PIOTR SIKORA

BAŚNIE TYSIĄCA I JEDNEJ LINII METRA

MICHAŁ NOWOSIELSKI, DORADCA KOMUNIKACYJNY PLATFORMY OBYWATELSKIEJ:

Marzę o kampanii, w której kandydat powie wyborcom: dobra, nawaliłem, ale udało się to i to, więc dajcie mi jeszcze jedną szansę.

MAREK RABIJ: „Wybory wygrywa się nie tylko kampanią wyborczą, choć kampania jest swego rodzaju punktem kulminacyjnym”.

MICHAŁ NOWOSIELSKI: To mówiłem ja, Nowosielski Michał, doradca komunikacyjny drugiej klasy.

Nie chce Pan zmienić zdania?

Uważam, że wybory wygrywa się przede wszystkim tym, co stanowi istotę prawdziwej polityki, czyli pomysłami na państwo – i to takimi, które wybiegają poza doraźne potrzeby, a nawet wyobrażenia wyborców.

W reklamie często mówimy o *big idea*. To coś, co wykracza poza spektrum opisu wartości użytkowych reklamowanego produktu, a bardziej oddaje jego, powiedzmy, rację bytu. Pewien producent aut reklamuje swoją markę hasłem „sztuka tworzenia samochodów”. Firma sportowa wraz ze swoimi produktami podsuwa klientom slogan-zachętę „*just do it*”, czyli „po prostu to zrób”, zachęcając ludzi, by spróbowali przezwyciężyć własne słabości. Dobra kampania wyborcza musi zawierać właśnie taką wizję świata lub kierunku zmian, z którym wyborcy mogą się utożsamić.

Nowe linie metra, ratunek dla lotniska na Okęcie i 19. dzielnica Warszawy, które

obiecuje warszawiakom Patryk Jaki – to są te wielkie idee?

Pan teraz żartuje, prawda? Jaki opowiada populistyczne baśnie obliczone tylko na wywołanie wrażenia, niezakorzone w rzeczywistości. Kiedy mówi o metrze i kosztach jego budowy, to prawdopodobnie w ogóle nie zaprząta sobie głowy pytaniem, na jakim podłożu zbudowano Warszawę. A kiedy mówi o stolicy tolerancyjnej, to myślę, że w duchu pokłada się już ze śmiechu. Uważam, że kandydat musi wierzyć w to, co mówi.

Teraz Pan żartuje.

Jaki wie, że nie wygra wyłącznie dzięki głosom twardego elektoratu PiS i wyłazi ze skóry, by przekonać do siebie warszawiaków o innych preferencjach politycznych. Świadomie odkleja się od PiS-u, udaje niezależnego polityka. Obstawiam, że mu to nie wyjdzie. Przede wszystkim dlatego, że wyborcy czują, że PiS jest partią w istocie antysamorządową, ostentacyjnie dążącą do ograniczenia kompetencji ośrodków lokalnych na rzecz władzy centralnej. Wiarygodność polityka jest pochodną jego tożsamości. Nie można przez lata prowadzić określonej polityki, po czym pójść sobie do wyborów z programem, który stanowi zaprzeczenie dotychczasowych działań, i liczyć, że wyborcy się nie zorientują.



*Jeden z kandydatów na prezydenta
Warszawy Jan Śpiewak zaprosił dwóch
głównych konkurentów na debatę
„Warszawa wobec zmian klimatu”.
Ci jednak się nie pojawili. 14 sierpnia 2018 r.*



→ **Kandydat PO, Rafał Trzaskowski, spróbował być sobą w kampanii i zebrał za to cięgi nawet od potencjalnych wyborców, że się snobuje na intelektualistę.**

Faktycznie, mamy z jego wizerunkiem pewien problem. Tak jak z każdym, kto wie, że wizerunek polityka wymaga powierzenia go profesjonalistom, ale chce pozostać, przynajmniej w części, sobą.

Pracuje Pan przy tych wyborach dla Platformy?

Tak. Jestem do wynajęcia, ale jeśli chodzi o marketing polityczny, nigdy nie będę pracować dla ugrupowania, z którego programem nie identyfikuję się przynajmniej w części. A pomimo wielu wpadek i błędów PO nadal jest mi światopoglądowo najbliższa.

To wróćmy do dialogu Trzaskowskiego z wyborcami. Przebiega tak, jak zaplanowaliście?

Prowadzi w sondażach. Problemem jest to, że na tle kontrkandydata z PiS wygląda często na mniej skutecznego i niezdecydowanego. Patryk Jaki jest typem politycznego wieszaka, kandydatem realizującym precyzyjnie cele partii, która go wystawiła do tego wyścigu. Jego, bardzo liczne zresztą, wpadki spływają po nim jak po kaczce. A może nawet uwiarygadniają go jako normalnego gościa. Elektorat PiS zachowuje się jak kibice, wybaczają mu błędy i hołubi za sukcesy.

Od Trzaskowskiego i wyborcy, i jego zaplecze oczekują, że będzie perfekcyjny pod każdym względem, a zarazem naturalny i stuprocentowo wiarygodny. Kiedy więc ściska ręce na ulicy i jeździ tramwajem, część elektoratu Platformy kręci nosem, że ich kandydat naśladuje konkurencję i staje się produktem politycznym. Ale gdy wspomni o rodzinie, o wykształceniu albo o systemie wartości, w którym dorastał, natychmiast podnosi się raban, że jest zapatrzonny w siebie. Jaki zrobił sobie spot reklamowy, który jest panegirikiem na jego własną cześć, i spoko – wszyscy mówią: sprawna robota. Strach pomyśleć, co by ci sami ludzie mówili, gdyby podobną laurkę strzelił sobie Trzaskowski.

Inna sprawa, że się tą krytyką przejmuję. Kiedy słyszy, że jest leniwy, chce od razu udowodnić, że tak nie jest, mimo że zdaje sobie sprawę, że to nieprawda. W efekcie jest coraz bardziej tą kampanią zmęczony. I to sprawia, że raz na jakiś czas się



ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ NOWOSIELSKI:

Podział na lewicę i prawicę jest anachroniczny. Coraz wyraźniejsze staje się za to różnicowanie wzdłuż linii sporu o rolę państwa w życiu obywateli.

odsłoni: a to wyjdzie na jaw jego zmęczenie, a to zrobi coś spontanicznie, bez prześmyślenia i konsultacji.

I dostarcza w ten sposób przeciwnikowi politycznej amunicji.

W dzisiejszej polityce pociskiem może być wszystko. Musiał się tłumaczyć nawet z tego, że zna francuski.

Raczej ze sposobu, w jaki podał tę informację.

Ależ on to napisał od serca, wspominając Bronisława Geremka. I pewnie się nawet nie zastanowił nad formą. Dla mnie to był prawdziwy, emocjonalny wpis. Gdyby wyskrobał mu go jakiś doradca wizerunkowy, wyszłoby to bezpiecznie, ale mniej spontanicznie.

Jako doradca od komunikacji mam obowiązek skroić ją kandydatowi także w taki sposób, żeby dawał rywalom jak najmniej pretekstów do ataku, ale nigdy nie dam gwarancji, że taki atak nie nastąpi. Zwłaszcza gdy się pracuje dla ludzi, którzy nie chcą mieć na wszystko jednej prostej odpowiedzi. Polityk, który czuje odpowiedzialność za to, co robi, mówi i obiecuje, ma gorszą pozycję startową od faceta, który uważa, że deklaracje w polityce mają robić wrażenie na słuchaczach.

A ja mam w tej chwili wrażenie, że mówi Pan konsumentom: no kupcie to, proszę, taki fajny produkt mamy.

Niestety ma pan rację. Powinienem zachęcać do porównania programów politycznych, ale aż tak naiwny nie jestem. Wyborcy programów nie czytają, w ogóle nie żyją na co dzień polityką. Za to politycy żyją iluzją, że te ich codzienne wojenki strasznie elektorat podniecają i w zasadzie wokół tego kręci się życie w państwie. Obserwuję te zmiany z rosnącą niechęcią, bo komunikacja partii z elektoratem zmienia się w ciulanie punktów poparcia, w rytm kolejnych badań fokusowych, w których sprawdza się, co elektoratowi może się spodobać, a co go wkurzy.

Wie pan, jak się nazywa fokusy w reklamie komercyjnej?

Tylko proszę bez wulgaryzmów.

Umówmy się w takim razie, że nie użyłem słowa „dupochron”. Ludzie w branży wiedzą, że z fokusów niewiele wynika, bo sam zakres pytań zawęża spektrum odpowiedzi. Robi się je po to, żeby zdjąć z siebie część odpowiedzialności na wypadek nietrafienia w oczekiwania odbiorców.

Mam ulubiony przykład na to, jak dalece badania potrafią się rozminąć z rzeczywistością. Akio Morita, twórca potęgi firmy Sony i jego pomysł z walkmanem, przenośnym magnetofonem kasetowym. W focusach pytano ludzi m.in., czy chcieliby słuchać muzyki w drodze do pracy. Wychodziło na to, że nikt tego nie kupi. Ale Morita się uparł. Tłumaczył, że większość konsumentów nie ma pojęcia, w jaki sposób znacznie korzystać z produktu – dopóki nie zaczniesz. No i miał rację.

W polityce powinno być podobnie. Wyborcy nie po to wybierają polityków, żeby potem im podpowiadać, w którą stronę mają iść sprawy państwowe. Liderzy są od tego, żeby wskazywać reszcie kierunek.

Dlatego Platforma przegrała wybory w 2015 r.?

Między innymi dlatego. Pamiętam dzień, kiedy dotarło do mnie, że Komorowski przegrał. Poszedłem na spacer tu u siebie, na przedmieściach Warszawy. Niby to okolica proplatformerska, ale jeśli na prywatnej posesji wisiał gdzieś plakat kandydata, widniał na nim Andrzej Duda. Od razu przypomniałem sobie wiec z udziałem Komorowskiego. Ludzie na nie przychodzili, wkładali nawet koszulki z jego podobizną, a gdy spotkanie się kończyło, szybko je ściągali, jakby się wstydzili poparcia dla kandydata. U Dudy tego problemu nie było. Tam wy-

borcy identyfikowali się, jeżeli nie z nim, to z jego ugrupowaniem.

Gdzie biegą dziś prawdziwe linie podziałów politycznych w Polsce, wyznaczające granice tych identyfikacji?

Od dawna wiemy, że klasyczny podział na lewicę i prawicę jest anachroniczny. W Polsce coraz wyraźniejsze staje się za to różnicowanie wzdłuż linii sporu o rolę państwa w życiu obywateli, przynajmniej wśród zwolenników największych ugrupowań. Stronicy PiS-u chcą jej jak najwięcej. Nie wierzą w samorządność, przedsiębiorczość, indywidualizm. Platforma przeciwnie – stawia na państwo wierzące obywateli i dające mu sporo wolnej ręki.

Wyrazem tego zaufania było zabranie pieniędzy z OFE do ZUS i naciski ministra Rostowskiego na samorządy, żeby się dalej nie zadłużały?

To pytanie do Rostowskiego.

Uważam, że tak ważnych zmian nie wolno było wdrażać bez wyjaśnienia ludziom, jakie będą mieć z tego korzyści. To był duży błąd.

Ale je wdrożono.

Bo Platforma jest konglomeratem rozmaitych środowisk politycznych, z dość dużą, że tak powiem, inercją. Naturalnym procesem procedowania są w niej negocjacje. Jedni chcą tego, drudzy tamtego i ostatecznie zatrzymujemy się gdzieś pośredku. To bardzo demokratyczne, tyle że także zabójcze dla celu komunikacji.

Czyli ostrzegaliście, ale politycy stwierdzili, że wiedzą lepiej?

Z dużym uznaniem, oczywiście czysto warsztatowo, spoglądam na PiS. Tam nie wynajmują doradców komunikacyjnych, wszystkim zajmuje się kilku polityków z Adamem Bielanem na czele. Ale kampanii dobrze robi spojrzenie z zewnątrz kogoś, kto identyfikuje się z jej celami. Byłem kimś takim dla PO w 2007 r. Wymyśliłem coś takiego: powiedzmy ludziom, że Polska zasługuje na cud gospodarczy, tak samo jak Irlandia. I że ten cud jest w zasięgu ręki.

Bo Polak potrafi?

Bo Polak nie różni się od Irlandczyka. Mówmy więc odważnie, że mamy daleko siężne plany, a PiS będzie musiał te plany skrytykować, słowem – zrobimy z rywali

malkontentów, którzy nie wierzą w Polskę i Polaków. Konceptyjnie wszystko mi się spinało. Oczywiście część polityków Platformy kręciła nosem: nie możemy być tacy pewni siebie, ośmieszymy się tylko, będą nam wytykać, że wierzymy w cuda. Niewiele brakowało, żeby pomysł wylądował w koszu.

Za to eurowybory w 2009 r., kiedy tematem kampanii PO były mechanizmy Unii Europejskiej, poszły gorzej.

Chcieliśmy wytłumaczyć wyborcom centroprawicowym, wahającym się między PO i PiS, że głosowanie na tę ostatnią partię z punktu widzenia mechanizmów rządzących Parlamentem będzie stratą głosu. Tymczasem PiS zaczął nagle mówić o tym, jak źle jest w Polsce, i okazało się, że zamiast atakować, musimy się bronić. O kampanii 2015 r. nie chcę nawet wspominać.

Na przyszłoroczne wybory parlamentarne ma Pan jakiś pomysł?

Marzę o kampanii, w której ktoś powie wyborcom: dobra, nawaliliśmy, wielu obietnic nie dotrzyaliśmy, ale jednak udało się to i to, więc bardzo proszę, dajcie nam jeszcze szansę. Albo: błędów nie unikniemy, ale postaramy się ich zrobić jak najmniej.

Uważam, że po latach obiecywania na pokaz, a nawet – bądźmy szczerzy – ordynarnych kłamstw, politycy mogą dziś zdobyć zaufanie wyborców jedynie szczerością. Było takie wystąpienia Tuska, po studiach rządów czy po roku, nie pamiętam. I nawet nie pamiętam, czy zostało w końcu wyemitowane, ale zostało przebadane. Padło tam jedno zdanie, że „nie wszystko nam się udało”, nic wielkiego, żadne bicie się w piersi. A ludzie na badaniach po prostu jęknęli z podziwu, że taki ważny polityk ma odwagę przyznać się do błędu.

Będzie mnie Pan przekonywać, że Tusk mówił szczerze?

Twierdzę jedynie, że spośród wielu strategii komunikacyjnych ta mogłaby mieć szansę powodzenia. Politycy nie mogą udawać nieomylnych supermanów. Wyborcy łatwiej wybaczą im błędne decyzje niż próby wciskania, że porażka była sukcesem. Uczestniczyłem kiedyś, jeszcze przed katastrofą smoleńską, w fokusie, w którym kilkunastu osobom bez konkretnych preferencji politycznych zadano pytanie o polityków, którzy wzbu-

dzą ich zaufanie. I – ku mojemu zdumieniu – dwa najczęściej wymieniane nazwiska to były Senyszyn i Macierewicz!

Duet egzotyczny.

Też tak myślałem, aż dotarło do mnie, że w gruncie rzeczy oni są do siebie bardzo podobni. Macierewicz wygadujący tonem nieznoszącym sprzeciwu najbardziej niestworzone banialuki i Joanna Senyszyn z nieustawionym, piskliwym głosem, którego właściwie nie da się słuchać. Można było o nich powiedzieć wiele, ale nie to, że są politycznymi produktami skrojonymi na miarę kanonu poprawności politycznej i wyników sondaży.

Zaryzykuję tezę, że właśnie tacy naturalni politycy, ludzie mówiący to, co myślał, a nie to, co ich zdaniem chcą usłyszeć ich wyborcy, będą mieć coraz większe szanse na wygraną.

Szanse?

Pewności nigdy nie ma. Mogę doradzić politykowi, w jaki sposób w danym momencie zakomunikować coś opinii publicznej, co założyć do zdjęcia, jak modułować głos – ale to są drobiazgi. Co mówić – to jest pytanie, na które ani ja, ani żaden polityk nie ma nigdy odpowiedzi! W rzeczywistości każde wybory to skok na głęboką wodę, nawet gdy poprzednio jakaś strategia wypaliła. Wiele elementów kampanii Komorowskiego zacerpnaliśmy ze zwycięskich kampanii Obamy. I co? Jak by to powiedzieć... Komorowski to jednak nie Obama.

Ale polska polityka to nie tylko Komorowski i Duda, Tusk i Kaczyński.

A widzi pan w niej nazwiska z prawdziwym potencjałem politycznym, poza tymi spod znaku PO i PiS? Proszę sobie przypomnieć, co spotkało Palikota. Jak skończył Petru? Długofalowego sukcesu w polityce nie odnosi się bez zaplecza, bazując na jednej tylko twarzy, nawet sympatycznej. Dlatego nie wróżę go także Robertowi Biedroniowi, który wprowadzie myśli o polityce chyba dość profesjonalnie i dla którego mam sporo sympatii, ale gra jedynie polityczny monodram.

Nie przeczy Pan sobie? Bo raz twierdzi Pan, że idą czasy polityków, którzy wyjdą poza kanon zgranych chwytów wyborczych, a zaraz potem zapewnia, że dla największych partii nie widzi Pan nadal alternatywy.

→

→ Mam na myśli to, że duże partie także muszą zmienić sposób myślenia o polityce. Konwencje z balonikami, niebieskie koszule Kwaśniewskiego i grillowa opalenizna Leppera były dobre kilkanaście lat temu, kiedy Polacy uczyli się dopiero wyborczego fachu.

Można też zdyskredytować konkurenta, podpisując umowę z farmą trolli, która zaleje internet falą oszczerstw.

O komunikacji w mediach społecznościowych mam od dawna złe zdanie. Internet szybko rozsiewa nienawiść i dzieli ludzi.

Nigdy nie brałem udziału ani nawet nie słyszałem o przygotowaniach do tego typu działań. A jeśli mi pan nie wierzy, niech się pan zastanowi, czy to by pasowało do big idei Platformy, którą jest społeczeństwo i państwo oparte na zaufaniu, i wiara w to, że ludzie są uczciwi.

A jak się ma do niej Wasza kampania z cyklu „PiS wziął miliony”?
Nie mogę o tym mówić.

Mnie hasło „PiS wziął miliony, a wszystko drożeje” razi, bo co dotacje partyjne mają do inflacji? I co inflacja ma do wyborów parlamentarnych?

Ale wie pan, że to mówi Platforma – a to kluczowa informacja dla oceny wiarygodności tego przekazu i jego intencji. Odpowiem na tyle szczerze, na ile mogę – pańska krytyka jest uzasadniona. Nie chodzi o samo zastosowanie kampanii negatywnej, bo taka też bywa potrzebna i często jest skuteczna, kiedy się nie zgadzamy z konkurencją i chcemy to wyrazić. Chodzi o to, żeby kampania negatywna korespondowała z tą big ideą, z którą idziemy do wyborców. Wtedy mamy spójny komunikat: „to, co głosi rywal, jest złe, bo my chcemy czegoś innego i to jest lepsze”.

Ta kampania, delikatnie mówiąc, tego nie potwierdza. A pan jak ją czyta w całości?

Jak głos zawistnika, który wścieka się, że miliony zwinął mu sprzed nosa ktoś inny.

No to jest gorzej, niż myślałem.

© Rozmawiał MAREK RABII



Przyznajmy dzieciom prawa człowieka

ANNA GOLUS

Konwencja o prawach dziecka jest przerażająco nieskuteczna, jednak nie ma i długo nie będzie niczego lepszego. Dlatego ma znaczenie, kogo Sejm wybierze, żeby dbał o jej przestrzeganie.

SEJM NIE POWOŁAŁ, WBRĘW WCZEŚNIEJSZYM planom, nowego Rzecznika Praw Dziecka. Kandydatka PiS Sabina Zalewska wycofała swoją kandydaturę w atmosferze skandalu po publikacjach „TP”, a pozostali kandydaci: Ewa Jarosz i Paweł Kukiz-Szczuciński przepadli w głosowaniu. W końcu jednak do wyboru dojdzie i przez pięć lat (bo tyle trwa kadencja) rzecznik będzie stać na straży „praw dziecka określonych w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, Konwencji o prawach dziecka i innych przepisach prawa, z poszanowaniem odpowiedzialności, praw i obowiązków rodziców”.

Jednym z ustawowych obowiązków rzecznika jest upowszechnianie praw dziecka, na co warto zwrócić szczególną uwagę, bo wiedza o nich nadal jest dra-

matycznie niska również na samych szczytach gwarantującej ochronę tych praw władzy (i nie chodzi tylko o PiS). Sama idea praw dzieci nie jest zresztą tak piękna, jak zwykle myślimy, a dorośli od prawie 30 lat – odkąd zobowiązali się przestrzegać zapisów Konwencji – nie są w stanie przeskoczyć przepaści dzielącej własne deklaracje od ich urzeczywistnienia.

Fikcja praw dziecka

„Dzieci mają prawo wierzyć w Świętego Mikołaja. Pomóżmy zatrzymać tę wiarę jak najdłużej. Mikołaj potrzebuje naszej pomocy” – apelował parę lat temu poprzedni rzecznik Marek Michalak. Na pewno nie miał na myśli niczego złego (nie można zaprzeczyć, że starał się pro-

mować przynajmniej część dziecięcych praw), ale nie powinien być takich słów publikować. Do obowiązków RPD należy bowiem upowszechnianie praw dziecka określonych w konkretnych aktach prawnych, a prawo do wiary w św. Mikołaja (czy, tym bardziej, wynikający z niego obowiązek podtrzymywania tej wiary) nie jest nigdzie zapisany.

Dziecko ma natomiast prawo do swobody myśli, sumienia i wyznania. Artykuł 14 Konwencji o prawach dziecka głosi, że rodzice i opiekunowie mogą „ukierunkowywać” dziecko w korzystaniu z tego prawa „w sposób zgodny z rozwijającymi się zdolnościami dziecka”, ale generalnie ma ono swobodę wyrażania wyznawanej religii lub przekonań. Ma więc prawo do wiary w św. Mikołaja, ale również prawo, by w niego nie wierzyć. Ma prawo być chrześcijaninem, ale też ateistą, agnostykiem albo wyznawcą judaizmu, islamu, buddyzmu, hinduizmu czy Latającego Potwora Spaghetti. To prawda, że wciąż większość Polaków należy do Kościoła katolickiego, ale żyją tu przecież również osoby – w tym dzieci – innych wyznań i niewyznające żadnej religii.

Tego rodzaju apele dyskryminują dzieci, które nie wyznają religii katolickiej, i godzą w ich zapisane w Konwencji prawa. To zresztą nie jedyny przykład rozbieżności między deklaracjami i zobowiązaniami, jakie dokument ten nakłada na podpisujące go państwa, a rzeczywistością nie tylko w naszym kraju.

Znaj swoje miejsce

Kiedy w 1991 r. Polska ratyfikowała Konwencję o prawach dziecka (przyjętą przez Zgromadzenie Ogólne NZ 20 listopada 1989 r.), dodano do niej dwa zastrzeżenia i dwie deklaracje. Z zastrzeżeń, dotyczących wieku powoływania do wojska i prawa dziecka adoptowanego do poznania biologicznych rodziców, kilka lat temu się wycofano. Deklaracje natomiast nadal obowiązują. Dotyczą poradnictwa dla rodziców i wychowania w zakresie planowania rodziny (które „powinno pozostać w zgodzie z zasadami moralności”) oraz sposobu rozumienia całej Konwencji i idei praw dziecka. Druga deklaracja brzmi bowiem: „Rzeczpospolita Polska uważa, że wykonania przez dziecko jego praw określonych w Konwencji, w szczególności praw określonych w artykułach od 12 do 16, dokonuje się z poszanowa-

niem władzy rodzicielskiej, zgodnie z polskimi zwyczajami i tradycjami dotyczącymi miejsca dziecka w rodzinie i poza rodziną”.

Co to oznacza w praktyce? Że w naszym kraju prawa dziecka, a zwłaszcza te, które dotyczą jego podmiotowości – do swobodnego wyrażania własnych poglądów (art. 12), do swobodnej wypowiedzi (art. 13), do swobody myśli, sumienia i wyznania (art. 14), do swobodnego zrzeszania się i pokojowych zgromadzeń (art. 15), do prywatności (art. 16) – to fikcja, bo zgodnie z polskimi zwyczajami dzieci i ryby głosu nie mają, a gdy pyskują, dostają w tyłek albo idą na karnego języka. Nie da się przestrzegać tych praw „zgodnie z polskimi zwyczajami i tradycjami dotyczącymi miejsca dziecka w rodzinie i poza rodziną”, ponieważ miejsce to jest wykluczającą jakąkolwiek podmiotowość przestrzenią pełnego posłuszeństwa i podporządkowania dorosłym.

Zresztą i bez tych polskich deklaracji – wypaczających sens Konwencji i zaprzeczających jej idei – niektóre zapisane w tym dokumencie prawa graniczą z fikcją. Wiele z nich przyznano bowiem dzieciom ostrożnie i warunkowo, dodając zapisy ograniczające dziecięcą podmiotowość. Np. prawo do swobody wypowiedzi (art. 13) „może podlegać pewnym ograniczeniom, lecz tylko takim, które są przewidziane przez prawo i które są konieczne dla poszanowania praw lub reputacji innych osób”. Problem polega na tym, że każda skarga dziecka – na rodziców, nauczycieli czy jakichkolwiek dorosłych – może być odebrana jako zamach na ich reputację.

Podobnie w artykule 12: opinie dziecka, „które jest zdolne do kształtowania swych własnych poglądów”, mają być przyjmowane „z należytą wagą”, ale „stosownie do wieku oraz dojrzałości dziecka”. Czyli w praktyce wszystkie opinie dziecka mogą być ignorowane, bo to dorośli uznają, kiedy jest już ono zdolne do kształtowania własnych poglądów i zasługuje na uważne wysłuchanie.

Można więc spotkać opinie, że zawarte w Konwencji standardy są za niskie i sprzyjają pogarszaniu, a nie polepszaniu sytuacji dziecka. Maria Łopatkowa uważa np., że „prawa dziecka zawarte w Konwencji, mimo obligatoryjnego charakteru, długo jeszcze będą, podobnie jak Deklaracja, atrapą zasłaniającą dążenia dorosłych do ochrony ich własnych interesów, nie

dziecięcych. Sformułowania Konwencji, z natury rzeczy ogólne, świetnie się do tego nadają”.

Co jest prawem, co obowiązkiem

Kiedy w 1924 r. uchwalono pierwszy międzynarodowy dokument określający prawa dziecka – Deklarację Praw Dziecka, zwaną Deklaracją Genewską – Janusz Korczak krytykował ją, pisząc: „Prawodawcy genewscy pomieszaali obowiązki i prawa, ton deklaracji jest perswazją, nie żądaniem: apel do dobrej woli, prośba o życzliwość”. Według niego deklaracja nie zawierała żadnych praw przysługujących dzieciom, lecz jedynie obowiązki dorosłych względem dzieci (np. „Dziecku powinno się dać możliwość normalnego rozwoju fizycznego i duchowego”). Nie wiadomo, czy Korczak podzieliłby opinię Łopatkowej o Konwencji, ale faktem jest, że również w niej pomieszano prawa dziecka z obowiązkami – i to zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Czy powinno się bowiem mówić – jak jest zapisane w Konwencji – o „prawie dziecka niepełnosprawnego do szczególnej troski”, czy raczej o spoczywającym na dorosłych obowiązku zapewnienia mu szczególnej troski? Czy powinno się mówić o „prawie każdego dziecka do poziomu życia odpowiadającego jego rozwojowi fizycznemu, psychicznemu, duchowemu, moralnemu i społecznemu”, czy raczej o obowiązku zapewnienia każdemu odpowiedniego poziomu życia?

Podobnie prawo do nauki, realizowane w formie narzucanego przez Konwencję obowiązku szkolnego, to raczej przymus niż przywilej. Oczywiście ma on na celu ochronę dzieci przed zmuszaniem ich do pracy i wynika z troski o wszechstronny rozwój – jest to jednak obowiązek, a nazywanie go prawem przypomina określanie obowiązku płacenia podatków mianem prawa do ofiarowywania państwu świadczeń materialnych.

Dorośli często lekceważą pracę wykonywaną przez dzieci w szkole, bo zapomnieli, ile wymaga ona wysiłku i z jak wielkim stresem się wiąże. Uważają, że prawdziwe życie zaczyna się po przekroczeniu magicznego progu dorosłości, a wcześniej to tylko beztroska zabawa. Łaskawie przyznają dzieciom jakieś prawa, których i tak nie przestrzegają, bo nie chcą uznać ich za pełnoprawnych ludzi, którym należą się wszystkie prawa człowieka. Przekonanie Korczaka, że „nie ma

→ dzieci – są ludzie”, długo jeszcze będzie w naszym kraju melodią przyszłości.

Rasizm wieku

Długo też jeszcze za ultralewackie wymysły uchodzić będzie przekonanie, że prawa dziecka nie przynoszą mu wyzwolenia, ale wręcz przeciwnie: jeszcze większą zależność od dorosłych, którzy mają władzę przyznawania (i odbierania) mu wolności i uprawnień. Jakiegokolwiek wzmianki o dyskryminacji ze względu na wiek długo jeszcze będą spotykać się z niezrozumieniem. Pomysł, by zlikwidować prawa dziecka, a zamiast nich objąć dzieci prawami człowieka, nie doczeka się realizacji – ani nawet rozważenia – przez wiele, wiele lat.

Długo jeszcze kurzyć się będą w bibliotekach napisane już prawie 20 lat temu słowa Bogusława Śliwerskiego: „Wyłączenie (...) spośród »uprawnionych do praw człowieka« 1/3 przedstawicieli gatunku homo sapiens trzeba uznać za rasizm. Rasizm bowiem polega w gruncie rzeczy na błędnym uznaniu za decydującą o »prawdziwym« człowieczeństwie (i legitymizacji praw człowieka) cechy moralnie mało znaczącej, jaką jest wiek. Aprobata dziełienia praw na prawa człowieka i prawa dziecka jest właśnie wyrazem »rasizmu wieku«: przejmującej nieczułości tych,

którzy mieli już tę możliwość osiągnięcia wieku pełnoletności, wobec tych, którzy jeszcze nie zdążyli dojść do owej »bariery podmiotowości prawnej«, jaką jest moment ukończenia 18. roku życia”.

Propozycji, by przyznać dzieciom np. prawa wyborcze, nikt nie odbierze dzisiaj na poważnie. Zaraz rozlegną się – obok salw śmiechu – głosy, że dziećmi można przecież tak łatwo manipulować i że zgłoszą one na tego, kto obieca im więcej cukierków. Ale czy dorosłymi nie manipuluje się równie łatwo? Czy dorośli nie głoszą na tego, kto obieca im więcej złotówek? I czy naprawdę na prawo do głosowania bardziej zasługuje 97-latek z demencją niż interesujący się polityką i zaangażowany społecznie 17-latek? I wreszcie: czy pomysł Jarosława Gowina, by rodzice oddawali tyle głosów, ile niepełnoletnich dzieci mają na utrzymaniu, nie jest znacznie bardziej nierozsądny (nie wspominając nawet o tym, jak bardzo uprzedmiotawia dzieci)?

Hipokryzja dorosłych

W kraju, w którym wciąż prawie połowa dorosłych uważa, że można uderzyć dziecko, a żaden rząd reformujący system edukacji nie wpadł na pomysł skonsultowania swoich pomysłów z osobami, których te reformy dotyczą, postulat przyzna-

nia dzieciom wszystkich praw człowieka brzmi jak herezja. Dla wielu Polaków herezją jest już zresztą pomysł, że można wychowywać dzieci bez przemocy czy bez żadnych kar i nagród.

Być może kiedyś urząd Rzecznika Praw Dziecka nie będzie potrzebny, bo wystarczy troszczący się o obywateli w każdym wieku rzecznik praw obywatelskich. Obecnie jednak nie ma i jeszcze bardzo długo nie będzie niczego lepszego niż Konwencja o prawach dziecka, choć jej nieskuteczność jest przerażająca.

Ratyfikowały ją prawie wszystkie kraje na świecie (jedynym wyjątkiem są Stany Zjednoczone), a jak (nie)realizowane są nawet najbardziej podstawowe prawa/potrzeby dzieci i obowiązki dorosłych, pokazują kolejne konflikty zbrojne (podczas których dzieci są zabijane, pozabawiane dachu nad głową, bezpieczeństwa i dzieciństwa), kolejne klęski głodu (w wyniku których dzieci umierają pod nosem marnującego pożywienia Zachodu), kolejne miliony tragedii dzieci bitych i okaleczanych w imię religii albo tradycji, „z poszanowaniem władzy rodzicielskiej, zgodnie ze zwyczajami”. RPD jest więc niezbędny, by przekonywać społeczeństwo, że dzieci mają w ogóle jakiegokolwiek prawa, i stawać w ich obronie.

© ANNA GOLUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



NOWY CYKL „LEKCIJ CZYTANIA” 2018/19

Już we wrześniu ruszamy w Polskę z kolejną porcją świeżej literatury! Zapraszamy szkoły, biblioteki i instytucje kulturalne z całego kraju do kontaktu i udziału w naszej akcji społecznej promującej czytelnictwo. Zapraszamy też na „Lekcje...”, które odbędą się podczas Festiwalu Conrada w dniach 22–28 października w Krakowie.

Poprowadzą je:

MAGDALENA BARBARUK, JACEK LEOCIĄK, MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI,
MICHAŁ OLSZEWSKI, MAŁGORZATA SZPAKOWSKA ORAZ MARCIN WICHA.

W najbliższych tygodniach rozpoczniemy także cykl spotkań wokół literatury popularnonaukowej.

Rezerwacje: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania



Najnowszy cykl „Lekcji czytania” odbywa się mimo kolejnej odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

Nikt nam chleba nie odbiera

PIOTR WÓJCIK

Wbrew stereotypom imigranci zarobkowi nie stanowią konkurencji dla pracowników z Polski. Przeciwnie: stymulując gospodarkę do rozwoju poprawiają kondycję rynku pracy.

DOCEKALIŚMY CZASÓW, W KTÓRYCH Polska staje się coraz bardziej popularnym celem imigracji zarobkowej. Niechęć wobec imigrantów spotykanych na ulicach polskich miast maskowana jest rzekomo merytorycznymi i obiektywnymi argumentami. Nasilona imigracja zarobkowa ma hamować wzrost płac, szczególnie wśród pracowników niewykwalifikowanych. Imigranci mają też odbierać Polakom szanse na zatrudnienie, gdyż zajmują coraz więcej wakatów. Na razie jeszcze jest dobra koniunktura, która maskuje niekorzystny wpływ imigracji – twierdzą zwolennicy tego rozumowania. Gdy jednak nadejdzie spowolnienie lub recesja, a imigranci z Ukrainy, Białorusi czy Azji nie zdecydują się na wyjazd, wszystkie te problemy wypłyną na powierzchnię.

Bliższa analiza polskiej sytuacji gospodarczej pokazuje, że argumenty te układane są pod tezę, według której imigracja jest zła sama w sobie. Imigranci nie odbierają pracy Polakom ani też nie powodują spadku pensji polskich pracowników, a krytyczne wobec imigracji teorie więcej mówią o ich autorach niż o samym zjawisku.

Nepal przed Białorusią

Pracę w Polsce mogą podejmować tylko cudzoziemcy, którzy posiadają wizę pracowniczą lub zezwolenie na pobyt stały bądź czasowy. Mieszkańcy Ukrainy mogą też wjeżdżać do Polski w ramach ruchu

bezwizowego, jeśli posiadają paszport biometryczny, ale wówczas ich pobyt jest ograniczony do 90 dni w 180-dniowym okresie. Pracownik z zagranicy, poza prawem pobytu, musi też otrzymać pozwolenie na pracę. W przypadku obywateli sześciu krajów, czyli Ukrainy, Armenii, Mołdawii, Gruzji, Białorusi i Rosji, wystarczy, że pracodawca złoży oświadczenie o chęci ich zatrudnienia. Taka procedura jest szybsza, ale pozwala pracować maksymalnie sześć miesięcy w ciągu roku. Tak więc jeśli ktoś szuka pracownika na dłużej, musi poczekać na zdobycie przez niego pozwolenia, co formalnie powinno trwać około miesiąca, ale w praktyce dłużej.

Z jednym z przeciwnikami imigracji zarobkowej do Polski trzeba się zgodzić – w ostatnim czasie mamy do czynienia z szybko rosnącą liczbą wydawanych pozwoleń. W 2017 r. wydano ich 235,6 tys., co oznacza niemal dwukrotny wzrost w stosunku do roku 2016 i czterokrotny wzrost w stosunku do roku 2015. Ponad 80 proc. dostali obywatele Ukrainy, następni w kolejności są Białorusini (ok. 5 proc. pozwoleń), Nepalczycy, Hindusi i Mołdawianie.

W tym roku te liczby są jeszcze większe, można spokojnie przypuszczać, że do grudnia pęknie bariera 300 tys. wydanych pozwoleń. Zmienia się jednak struktura narodowa przyjeżdżających do polski pracowników. Ukraińcy wciąż stanowią zdecydowaną większość, jed-

nak już tylko 71-procentową, za to coraz częściej przyjeżdżają do nas mieszkańcy Azji i Afryki. 10 tys. Nepalczyków stało się drugą grupą narodową, wyprzedzając Białorusinów. W tym czasie przyjechały też 4 tys. mieszkańców Indii i 3 tys. mieszkańców Bangladeszu (wyprowadzili już Mołdawian).

Trzeba jednak pamiętać, że ci pracownicy w zdecydowanej większości przyjeżdżają do Polski na określony okres. Chcą zarobić pieniądze i wrócić do rodzin. Obecnie pozwolenie na pobyt stały ma tylko 66 tys. cudzoziemców. Tymczasem pozwolenie na pobyt czasowy niecałe 200 tys. – po zakończeniu tego okresu będą przebywać w Polsce nielegalnie, więc trudno przypuszczać, by chcieli tu zostać, skoro nie będą mogli podjąć legalnej pracy. Jeśli dobra koniunktura się skończy, to zdecydowana większość pracujących cudzoziemców po prostu opuści Polskę – chyba że sytuacja stanie się tak trudna, iż pracodawcy znów będą bez trudu znajdować chętnych do pracy na czarno.

Imigrant nie zabiera pracy

Imigranci podejmują przede wszystkim prace fizyczne, które coraz rzadziej wykonywać chcą Polacy. Potwierdza to badanie „Barometr Imigracji Zarobkowej” za pierwsze półrocze 2018 r. firmy Personnel Service. Na pytanie, dlaczego firma zatrudnia Ukraińców, ankietowani



Ogłoszenia o pracę dla Ukraińców, Wrocław, lipiec 2018 r.

KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

→ pracodawcy najczęściej odpowiadali, że na wolne miejsce pracy brakuje Polaków (57 proc. odpowiedzi). Tylko 10 proc. stwierdziło, że chce w ten sposób zmniejszyć koszty płacowe.

Zresztą sami Ukraińcy wcale nie zarabiają wiele gorzej niż Polacy, a więc ich wpływ na spadek tempa wzrostu płac jest wyimaginowany. Według „Barometru...” aż trzech na czterech Ukraińców zarabia ponad 2,5 tys. zł netto, a niemal co drugi zarabia ponad 3 tys. zł na rękę. Tymczasem według GUS ponad 2,5 tys. zł netto zarabiał jedynie co drugi pracujący Polak (tyle wynosi tzw. mediana wynagrodzeń). To pozorny paradoks, bo Ukraińcy wcale nie dostają stawek wyższych niż Polacy, lecz przepracowują więcej godzin, stosunkowo rzadko też podejmują pracę na część etatu – dlatego mediana ich wynagrodzeń jest wyższa. Poza tym rzadko zarabiają naprawdę dużo – zaledwie 15 proc. z nich zarabia więcej niż 3,5 tys. złotych. Wynika to z charakteru podejmowanych przez nich prac.

Do 2015 r. godzinowe koszty pracy w Polsce rosły w tempie ok. 3 proc. rocznie. Tymczasem od 2016 r., a więc dokładnie w czasie, gdy imigracja zarobkowa do Polski się nasiliła, wzrost kosztów pracy znacznie przyspieszył. Najpierw do 4 proc. w 2016 r., a następnie do 6 proc. w 2017 r. W bieżącym roku, który jest rekordowy pod względem napływu pracowników, dynamika płac sięga ko-

lejnych wyżyn. W czerwcu średnie wynagrodzenie w Polsce osiągnęło poziom 4848 zł, co oznacza wzrost o 7,5 proc. w stosunku do analogicznego okresu w roku ubiegłym.

Mniej zarabiający nie tracą

Można oczywiście zauważyć, że średnie wynagrodzenie zawyżają osoby najwięcej zarabiające. Tymczasem cudzoziemcy podejmują przede wszystkim nisko płatne prace fizyczne i proste. Tak więc ich negatywny wpływ na płace mogliby odczuć przede wszystkim pracownicy niewykwalifikowani i zarabiający najmniej. Problem w tym, że jest odwrotnie – to płace najmniej zarabiających rosną najszybciej.

Najnowsza struktura wynagrodzeń według GUS pokazuje, że od października 2014 do października 2016 r. zarobki pracowników z pierwszego decyla (10 proc. najmniej zarabiających Polaków) wzrosły o 10 proc., a z drugiego decyla o 9 proc. Tymczasem płace w dwóch najwyższych decylach (najlepiej opłacane 20 proc. Polaków) rosły ponad dwa razy wolniej.

Dane te sięgają jesieni 2016 r., więc można też twierdzić, że od tamtej pory mogło się sporo zmienić. Ale wtedy musiałyby wzrosnąć nierówności, tymczasem znów jest inaczej. W okresie 2015-17 mamy do czynienia z szybko spadającymi nierównościami dochodowymi. Określający je wskaźnik Giniego spadł

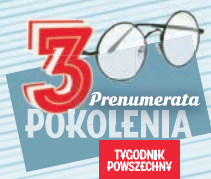
w tym czasie z 31,1 do 29,2 i jest na najniższym poziomie od czasu transformacji.

Według Eurostatu bezrobocie w Polsce spadło już do poziomu 3,5 proc. i jest trzecie najniższe w UE. Wyprzedzają nas tylko Czechy i Niemcy. Jeszcze niedawno byliśmy na szóstym miejscu, za Węgrami, Holandią i Wielką Brytanią – jak widać, nasilona imigracja zarobkowa nie przeszkodziła prześcignąć te kraje. Oczywiście stopa bezrobocia w Polsce jest zróżnicowana, w zależności od regionów. Co ciekawe jednak, najniższe bezrobocie w kraju jest w tych regionach, które przyjmują najwięcej imigrantów: w regionie stołecznym, w Wielkopolsce, na Śląsku i w Małopolsce. W województwach, w których jest najwyższe bezrobocie (np. w podkarpackim), liczba przyjmowanych imigrantów jest bez porównania niższa.

Jak widać, polskim pracownikom niewykwalifikowanym imigranci na razie nie przeszkadzają. Trudno przypuszczać, by niepotrafiący mówić po polsku mieszkaniec Nepalu stał się realnym zagrożeniem dla pracownika z Polski starającego się o to samo stanowisko. Przeciwnicy imigracji zarobkowej nie martwią się tak naprawdę o polskich pracowników – oni po prostu nie znoszą imigrantów. Byliby przeciwko imigracji nawet wtedy, gdyby bezrobocie w Polsce wynosiło okrągłe zero.

© PIOTR WÓJCİK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP” w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej. ■ Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl, masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP” „Polska od nowa” – z dostawą do domu!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

ANNA

Dziewit-Meller:

Milczenie owiec



– ALE CZY NAPRAWDĘ UWAŻA PANI, ŻE JEST jakiś wyraźny powód, dla którego trzeba specjalnie honorować te pierwsze polskie posłanki? Wie pani, Witos to był trzykrotny premier Polski, a one kim właściwie były? Czym się zasłużyły, że mamy teraz o nich słuchać? – zapytał mnie ostatnio starszy pan na spotkaniu autorskim.

To doskonałe pytanie: kim one były i na co zasługują? Takie pytania powracają niemal zawsze, gdy rozmawiamy o kobietach w historii, osobiście zaś historii Polski.

Dzięki przyznaniu kobietom biernego prawa wyborczego w 1918 r. w Sejmie w latach 1919–22 zasiadało osiem kobiet. Gabriela Balicka-Iwanowska, doktor nauk przyrodniczych na Uniwersytecie w Genewie, szalenie aktywna naukowo, od 1919 r. sprawująca przez 16 lat funkcję posłanki. Angażowała się głównie w walkę z ograniczeniami dotyczącymi praw cywilnych kobiet oraz kształcenia młodzieży w – jak to mówią – duchu narodowym. Zofia Moraczewska, nauczycielka, socjalistka, walcząca zaciekle o zrównanie praw cywilnych kobiet i mężczyzn, czyli o zniesienie przepisów pozbawiających kobiety polskiego obywatelstwa z chwilą poślubienia cudzoziemców (przepisy szczególnie dotkliwe choćby dla prawniczek czy lekarek, którym odbierało to prawo wykonywania zawodu). Zofia Sokolnicka – działaczka narodowa, która przed wybuchem I wojny światowej angażowała się w walkę o prawo do edukacji dzieci i młodzieży w języku polskim, w czasie wojny polsko-bolszewickiej należąca do Komitetu Narodowego Służby Kobiet w Poznaniu i delegatka Rady Obrony Państwa w Warszawie, uczestniczka powstań śląskich. Irena Kosmowska – absolwentka Uniwersytetu we Lwowie, publicystka, której oczkiem w głowie była edukacja wiejskiej młodzieży, od listopada 1918 r. wiceminister ds. polityki społecznej w rządzie Ignacego Daszyńskiego. Franciszka Wilczkowiakowa, zaangażowana w sprawy Komisji Opieki Społecznej w pierwszej kadencji Sejmu (później również w prace Komisji Konstytucyjnej), przez niemal cały czas swojej pracy w parlamencie usiłująca przeforsować prawa mające wpłynąć na poprawę tragicznej sytuacji życiowej najuboższych mieszkańców włączonych do II Rzeczypospolitej Pomorza. Anna Piasecka – działaczka Narodowej Partii Robotniczej, aktywnie wspierająca działania niepodległościowe na Warmii przed plebiscytem 1920 r., założycielka pierwszego polskiego przedszkola na tych terenach. Maria Moczydłowska – uparcie walcząca nie tylko o równouprawnienie kobiet i mężczyzn, ale także autorka głośnego projektu ustawy prohibicyjnej, widząca w alkoholizmie Polaków ogromny problem społeczny (kpinom ze strony mężczyzn w parlamencie ponoć nie było końca).

Każda postać z tej ósemki pionierek, nim znalazła się w Sejmie, nie tylko odebrała znakomite wykształcenie, ale również wsławiła się pracą na rzecz Polski, polskości, społeczeństwa. Gigantycznym osiągnięciem było zaś samo ich zasiadanie w parlamencie – partie polityczne na listach wyborczych przewidywały dla kobiet jedynie ok. 12 proc. miejsc, w dodatku często tych „niebiorących”. O to, dlaczego żadna z nich nie otrzymała szansy na sprawowanie funkcji premiera, może należy zapytać *Zeitgeist*. Co serdecznie polecam owemu sarkającemu panu.

W wydanej właśnie książeczce „Kobiety i władza. Manifest” brytyjska filolożka klasyczna Mary Beard analizuje starożytne teksty, które stanowią zręby naszego kręgu kulturowego, i szuka w nich odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie mamy milczeć, podczas gdy wołałybyśmy się jednak odezwać? I to nie tylko w swojej własnej sprawie, ale generalnie – po prostu mieć głos i nie bać się go wydać, gdy najdzie nas potrzeba/ochota. Sięgając po klasyczne teksty, Beard wyjaśnia, „jak głęboko zakorzenione są w kulturze zachodniej mechanizmy, które pozwalają zamykać usta kobietom, odmawiać im poważnego traktowania i odcinać je (czasem całkiem dosłownie [...]) od ośrodków władzy”. Wychodząc od „Odysei” (w której Telemach każe matce milczeć, gdy rozmawiają mężczyźni, bo „słowo do mężów należy”) proponuje, by uważnie przyjrzeć się fundamentalnej kwestii – w jaki sposób nauczyliśmy się słuchać o zasługach kobiet. „Bez znaczenia jest – pisze Beard – jakie masz zdanie jako kobieta: jeśli zapuścisz się na zwyczajowo męskie terytorium, i tak spotkasz się z agresją. Wywołuje ją nie to, co mówisz, ale po prostu fakt, że się wypowiadasz”. Beard przywołuje postać Jacqui Oatley – dziennikarki, wielkiej fanki futbolu, która sama grała w piłkę nożną w amatorskich klubach i na swoje nieszczęście postanowiła zostać komentatorką sportową programu „Match of the Day”. Gdy w tej roli pojawiła się na ekranach w 2007 r., spadła na nią gigantyczna fala krytyki. „Jedni mówili, że to »zniewaga dla wyważonych komentarzy«, inni odgrzaali się, że zmieniać kanał” – pisze Beard. O piłce kobieta najwyraźniej nie ma prawa się wypowiadać w roli eksperta, choćby owym ekspertem była.

Pan na spotkaniu niewątpliwie też wolałby zmienić kanał, posłuchać jeszcze raz o Witosie albo Piłsudskim, zamiast o Rzeczypospolitej babskiej, o tych średnio ważnych posłankach bez (jego zdaniem) wielkich osiągnięć. „Matko moja (...) wracaj do siebie i pilnuj swojej roboty, krosen i kądzieli (...). Słowo do mężów należy, a ze wszystkich do mnie najbardziej, bo moja władza w tym domu”. Penelopa posłusznie wróciła na górę. Szkoda...

©

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach pod sygn. I Ns 63/18 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Korzeniewskiej z d. Szaban, zm. 6 stycznia 1999 r., ostatnio stale zamieszkałej w Rzepinie.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu spadku.

OGŁOSZENIE

TEORIA EWOLUCJI KOŚCIOŁA

ARTUR SPORNIAK

Wielu katolików obawia się nauki, wielu papieży miało z nią kłopot. A przecież istnieją sposoby, by pogodzić wiarę np. z teorią ewolucji.

MA GĘSTĄ SIWĄ BRODĘ, KRZACZASTE brwi i ciepłe spojrzenie. Lubi czekoladę i „Harry’ego Pottera”, nie lubi gumy do żucia i wszystkowiedzących. Ukończył jedną z najlepszych uczelni – Massachusetts Institute of Technology. Jest planetologiem specjalizującym się w niewielkich obiektach kosmicznych. Jedną z planetoid niedawno została nazwana jego imieniem. Guy Consolmagno urodził się w USA 66 lat temu – ma włosko-irlandzkie korzenie. Mając 37 lat, w trakcie dobrze rozwijającej się kariery naukowej, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, odmówił jednak przyjęcia święceń kapłańskich – został bratem zakonnym. Przełożeni uszanowali jego naukowe zainteresowania i kompetencje. Szybko znalazł się w Watykańskim Obserwatorium Astronomicznym, którym tradycyjnie kierują jezuici.

Niedawno, będąc z odczytem w Edynburgu, brat Consolmagno wezwał katolików, by nie bali się nauki. „Moimi najważniejszymi słuchaczami, kiedy jeżdżę po świecie z wykładami – opowiadał – są katolicy, którzy boją się nauki”, bo „słyszą wokół siebie zbyt wiele głosów, które chcą wyrugować religię, uważając, że nauka im w tym pomoże”. To wyraźna aluzja do propagatorów nowego ateizmu – naukowców z talentem pisarskim, których antyreligijne książki zalały rynek: Richarda Dawkinsa, Daniela Dennetta czy Sama Harrisa. Tymczasem historyczne źródła

nauki są religijne – przypomniał jezuita – to „religia wynalazła naukę, nasze uniwersytety wynalazły naukę, uważając, że zajmowanie się nią jest poznawaniem Boga”. W związku z tym dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego apelował: „Nie pozwólcie ateistom jej wam wykraść!”.

Zaizenowanie

Apel jest sensowny. Chrześcijanie są w tej komfortowej sytuacji, że z góry zakładają, iż nie może być poważnych sprzeczności między nauką a wiarą, ponieważ Bóg jest zarówno tym, który przez wiarę daje się poznać w Objawieniu, jak i tym, który stwarza poznawalny naukowo świat. Nie ma więc poważnych powodów, by dawali się przeciwnikom wiary zbijać z tropu.

Nie znaczy to jednak, że w szczegółach łatwo zharmonizować obie perspektywy. Kościół potrzebuje teologów znających naukę „od środka”, czyli tych, którzy ją uprawiają tak, jak to z sukcesami robi brat Guy. Zwłaszcza że – jak zauważa w najnowszym numerze miesięcznika „Znak” ks. Michał Heller – nie jest łatwo dziś zainteresować teologów nauką, „dlatego, że mają oni najczęściej przygotowanie humanistyczne i nie czują nauk przyrodniczych, może trochę się też ich obawiają”.

Ale to jeszcze nie wystarczy. Wierzący naukowcy potrzebują wsparcia kościel-

nych decydentów. Tymczasem, mimo werbalnych deklaracji przychylności Magisterium, istnieje niestety wiele wypowiedzi zdradzających niezrozumienie tego, czym są nauki przyrodnicze oraz ignorowanie ich znaczenia w konstruowaniu nowoczesnego obrazu świata.

Czy papież też boją się nauki? W przeszłości wierzący naukowcy wielokrotnie musieli się czuć zaizenowani, gdy niewie-



NADIA SHIRA COHEN / THE NEW YORK TIMES / EAST NEWS



Brat Guy Consolmagno, jezuita, dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego, 2017 r.

rzący koledzy pytali ich o papieskie wypowiedzi. Można powiedzieć, że to w dużej mierze sytuacji „na górze” zawdzięczamy „oddawanie walkowerem” przez Kościół nauki niewierzącym.

Widać to przede wszystkim w wypowiedziach na temat teorii ewolucji. Ta biologiczna teoria od chwili jej ogłoszenia przez Karola Darwina w 1859 r. sprawiała Kościołowi kłopot, bo w jej

przypadku nauka weszła na teren zajmowany dotychczas przez teologię. Poświęcając się prostym rozróżnieniom, próbowano rozdzielać strefy wpływów – mówiono, że nauka odpowiada na pytanie „jak natura działa?”, a teologia na pytanie „skąd się wzięła?” i „po co?”. Teoria ewolucji ośmieliła się jednak wskazać na genezę człowieka inną niż przesłanie o stworzeniu z Księgi Rodzaju.

Entuzjasta

Pierwszy pozytywnie wypowiedział się o teorii ewolucji Pius XII (fama głosi, że był entuzjastą nauki). W ogłoszonej w 1950 r. encyklice „Humani generis” zezwolił „uczonym i teologom na badanie doktryny ewolucjonizmu” – ściślej: „problemu pochodzenia ciała ludzkiego z już istniejącej i żyjącej materii” (dusza jest bowiem bezpośrednio stwarzana przez Boga →

→ – zatem pozostaje wyłącznie w gestii teologii).

Była to swego rodzaju rewolucja. Pod koniec XIX i na początku XX w. Święta Kongregacja Oficjum (historyczny odpowiednik dzisiejszej Kongregacji Nauki Wiary), dbając o brak rozgłosu, zmuszała teologów do publicznego odwoływania twierdzenia, że ciało ludzkie pochodzi od zwierzęcego przodka.

Pius XII swoją zgodę obwarował jednak dodatkowymi warunkami. Zastrzegając dla Kościoła ostatnie słowo, stawiając doktrynę teologiczną ponad wiedzę naukową – najwyraźniej uznawał nauki przyrodnicze za odmianę filozofii. Uważał też, że oba poglądy – kreacjonizm, głoszący bezpośrednie boskie interwencje w przyrodzie, i ewolucjonizm – są równoprawne, gdyż ewolucjonizm (jak kilkakrotnie stwierdził) jest wciąż niedowiedzianą hipotezą. „Swoboda jest dopuszczalna – zastrzegł papież – pod warunkiem wszakże, że będzie się z należyłą powagą, umiarem i opanowaniem rozważać i oceniać dowody i zwolenników, i przeciwników ewolucjonizmu”.

W tej ostatniej sprawie Pius XII mijał się z prawdą. W latach 20. i 30. XX w. w biologii powstała syntetyczna teoria ewolucji (nazywana też syntezą ewolucyjną lub neodarwinizmem). Darwinizm oparty na mechanizmie doboru naturalnego uzyskał potwierdzenie i wsparcie w genetyce. Stał się teorią globalną, spajającą rozproszone dotychczas działy biologii. „Nic w biologii nie ma sensu, jeśli jest rozpatrywane w oderwaniu od ewolucji” – mówił Theodosius Dobzhansky, jeden z głównych autorów syntezy.

Teoria ewolucji stała się więc płodnym paradygmatem, potwierdzanym przez niezliczone eksperymenty i przyczyniającym się do bezprecedensowego rozwoju biologii w XX wieku. Nie istnieje żadna konkurencyjna teoria, która mogłaby jej zagrozić. Gdyby papież miał dobre rozeznanie w tym, co się naprawdę działo w owych czasach w biologii, nie wygłaszałby takich twierdzeń. Zwłaszcza że miał przecież do dyspozycji reaktywowaną w XIX w. Papieską Akademię Nauk, gdzie od lat Kościół zaprasza wybitnych uczonych.

Kilku autorów

Można argumentować, że intencją głównego przemówienia Jana Pawła II właśnie do członków Papieskiej Akademii Nauk (w 1996 r.) była chęć naprawy niekorzyst-

Z punktu widzenia procesów ewolucyjnych jesteśmy „wytworami przypadku i błędu”.

Nie znaczy to jednak, że nasze życie jest poza zasięgiem Bożej opatrności.

nego wrażenia. „Dzisiaj, prawie pół wieku po publikacji encykliki – mówił papież z Polski – nowe zdobycze nauki każą nam uznać, że teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą. Zwraca uwagę fakt, że teoria ta zyskiwała stopniowo coraz większe uznanie naukowców w związku z kolejnymi odkryciami dokonywanymi w różnych dziedzinach nauki. Zbieżność wyników niezależnych badań – bynajmniej nie zamierzona i nie prowokowana – sama w sobie stanowi znaczący argument na poparcie tej teorii”.

Ten fragment zdradza dobrą znajomość mechanizmów rozwoju nauki – papież zwraca uwagę na to, co w naukowym potwierdzaniu teorii rzeczywiście jest najbardziej wartościowe. Jan Paweł II wręcz podaje precyzyjną definicję teorii w naukach przyrodniczych – jakby zdawał sobie sprawę, że teologowie o humanistycznej proveniencji mają kłopot ze zrozumieniem podstawowych kategorii – mieszają hipotezy z faktami, fakty z teoriami.

„Teoria jest konstrukcją metanaukową – mówił papież – odrębną od rezultatów obserwacji, ale zgodną z nimi. Dzięki teorii można połączyć w całość pewien zbiór niezależnych od siebie danych i faktów i wyjaśnić je w ramach jednolitej interpretacji. Teoria okazuje się słuszna w takiej mierze, w jakiej pozwala się zweryfikować; jest nieustannie oceniana w świetle faktów; kiedy przestaje uwzględniać fakty, ujawnia swoje ograniczenia i nieprzydatność. Wymaga wówczas ponownego prześledzenia”.

To jakby fragment dobrze przygotowanego wykładu z metodologii nauki. Ale potem nagle następuje zwrot: pojawia się całkiem inne ujęcie, zdradzające nowego współautora papieskiego przemówienia, który już nie ma tak dobrego rozeznania we współczesnej nauce.

Jan Paweł II mówił: „W rzeczywistości należy mówić nie tyle o teorii, co raczej o teoriach ewolucji. Ich wielość wynika z jednej strony z różnych sposobów wyjaśniania mechanizmu ewolucji, a z drugiej – z różnych filozofii, które stanowią ich punkt odniesienia. Istnieją mianowicie interpretacje materialistyczne i redukcjonistyczne, a także interpretacje spirytualistyczne. Ich ocena należy do kompetencji filozofii, a dalej – do kompetencji teologii”.

Autor, który napisał (dopisał?) ten fragment – możliwe, że to autorski wtęś samego Karola Wojtyły – był w błędzie. Jest jedna naukowa teoria ewolucji – wspominana synteza ewolucyjna, która zawiera w sobie jako spójne części liczne teorie szczegółowe. Np. w 1964 r. brytyjski biolog William Donald Hamilton ogłosił teorię dostosowania łącznego, która poszerzyła eksplanacyjną moc teorii ewolucji. Wyjaśniła bowiem zachowania altruistyczne wśród spokrewnionych osobników, m.in. odpowiedziała na pytanie, dlaczego pszczoły ryzykują życie w obronie ula (ewolucyjny sukces powinien być mierzony nie tylko liczbą potomstwa danego osobnika, ale także liczbą potomstwa jego krewnych). Hamilton pokazał w ten sposób, że dobór naturalny działa już na poziomie genów.

Nie wszystko oczywiście jest jeszcze wyjaśnione. Biolodzy np. spierają się, czy podane przez Darwina mechanizmy doboru (naturalnego i płciowego) wystarczają, by wyjaśnić zmienność i złożoność organizmów. Ale są to spory prowadzone wśród fachowców, które nie zagrażają teorii ewolucji jako naukowemu paradygmatowi.

Oczywiście jako teoria wyjaśniająca genezę życia i genezę człowieka ma ona silny potencjał filozoficzny. Niektórzy biolodzy o pisarskim zacięciu (i tym samym silnym społecznym oddziaływaniu) – jak Ernst Haeckel, Julian Huxley czy współcześnie Jacques Monod i Richard Dawkins – łatwo ulegali pokusie przedstawienia teorii ewolucji w światopoglądowych szatach. Nie usprawiedliwia to jednak mieszania porządków – naukowego i filozoficznego – obecnego w papieskich wypowiedziach.

Metafizyczne lęki

Papieżem, który celował w postrzeganiu teorii ewolucji jako konstrukcji filozoficznej, był Benedykt XVI. To na początku jego pontyfikatu kard. Christoph Schönborn

ogłosił w dzienniku „New York Times”: „Ewolucja w sensie neodarwinowskim – jako niekierowany, nieplanowany proces przypadkowych zmian i naturalnej selekcji – nie jest prawdziwa. Każdy system myśli, który zaprzecza lub dąży do opaczego wyjaśnienia przytłaczających dowodów na rzecz istnienia projektu w biologii, jest ideologią, a nie nauką”.

Świat naukowy uznał wtedy, że Kościół publicznie zaczyna wspierać pseudonaukową ideę Inteligentnego Projektu. Główny redaktor Katechizmu Kościoła Katolickiego łagodził potem wydzwięk swojego artykułu (w cyklu katechez i w powstałej z nich książce). Niewątpliwie jednak uczeń i bliski współpracownik Benedykta XVI nie wyrażał tylko swoich poglądów. „Możemy i musimy mieć jednak tyle odwagi, aby powiedzieć, że wielkie projekty życia nie są wytworami przypadku i błędu. Nie są projektami płynącymi z selekcji, której przypisuje się własności boskie, choć w tym miejscu są one nielogiczne i nienaukowe – są współczesnym mitem” – mówił już w 1981 r. kard. Joseph Ratzinger w katechezach o stworzeniu. W głośnym przemówieniu do Akademii Francuskiej w 1999 r. wskazywał z kolei, że teoria ewolucji stała się dzisiaj „filozofią pierwszą”, i próbował podważyć jej naukową wartość: „Nikt nie będzie mógł poważnie powątpiewać w naukowe dowody mikroewolucyjnych procesów. (...) W ramach samej teorii ewolucji pojawia się problem przy przejściu z mikro- do makroewolucji”.

Papież miał tu na myśli powstawanie gatunków. Zdłuda to jednak nadzieja, że fachowe spory wśród biologów na temat mechanizmów specjacji mogą być lekiem na metafizyczne lęki.

Franciszek na razie niewiele ujawnił z tego, jak rozumie ewolucję. Raczej pozytywnie odebrano jego wypowiedź do członków Papieskiej Akademii Nauk z okazji odsłonięcia popiersia Benedykta XVI z 27 października 2014 r.: „Ewolucja natury nie jest sprzeczna z pojęciem stworzenia, ponieważ ewolucja zakłada stworzenie bytów, które ewoluują”. W charakterystycznym obrazowym stylu papież dorzucił: „Gdy czytamy w Księdze Rodzaju opowieść o stworzeniu, zachodzi niebezpieczeństwo, że wyobrazimy sobie Boga jako czarodzieja z różdżką magiczną, będącą w stanie dokonać wszystkiego”.

Czy to znaczy, że papież korzysta z kompetentnej pomocy współbraci jezuitów

z Watykańskiego Obserwatorium Astro-nomicznego?

Nauka i nauczanie

Kościół ma teologiczne narzędzia, by łączyć wiarę z naukową teorią ewolucji. Można je znaleźć choćby w dokumencie watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej „Komunia i zarządzanie: osoby ludzkie stworzone na obraz Boga” z 2004 r. Bóg jest jedynym Stwórcą wszechświata, a także praw przyrody, które nim rządzą. Działają nie obok praw przyrody, lecz wewnątrz nich. Teza, że Bóg realizuje swoją wolę posługując się przyczynami wtórnymi w taki sposób, że nie niszczy ich autonomii, sięga czasów św. Tomasza. Przypadek wprzęgnięty w logikę ewolucji nie jest czymś irracjonalnym. Ma swój racjonalny, matematyczny wymiar (rządzi nim teoria prawdopodobieństwa), jak przekonuje ks. Heller. Z punktu widzenia naturalnych procesów ewolucyjnych jesteśmy „wytworami przypadku i błędu” w genomach naszych ewolucyjnych przodków. Nie znaczy to jednak, że nasze życie jest poza zasięgiem Bożej opatrności.

Skąd zatem problem z teorią ewolucji?

Wygląda na to, że wspomniane „humanistyczne przygotowanie” (teologów, biskupów, papieży) zbiera zniwo. Gdyby to był jedyny powód, łatwo by było uzdrowić sytuację. Wystarczyłoby więcej głosu

oddać w Kościele teologom z przygotowaniem przyrodniczym (np. skupionym wokół czasopisma „Zygon”).

Prędzej czy później Kościół będzie musiał odważnie przyrzec się teorii ewolucji, bo nie jest tak, że nie prowokuje ona teologicznych wyzwań. Wspomnę jedynie o dwóch: duszy i płci.

Wciąż w Kościele zagadnienie duszy opisuje się przy pomocy anachronicznych kategorii, np. „formy ciała”. Pius XII mówi o „bezpośrednim stwarzaniu duszy przez Boga” (jako dodatku do ciała?), Jan Paweł II o „skoku ontologicznym”, a Franciszek o „nowości, której nie da się wyjaśnić przez ewolucję” (czy rzeczywiście coś przejawiającego się w doświadczeniu, np. nasza świadomość, może być zupełnie poza ewolucyjnym wyjaśnieniem?).

Płeć z kolei jako „produkt” ewolucji jest rzeczywistością bardziej skomplikowaną i jednocześnie bardziej prozaiczną niż jasne biblijne przesłanie o człowieku w dwóch dopełniających się wersjach: męskiej i żeńskiej. Coraz bardziej widać, że poza owym przesłaniem znajdują się osoby z seksualnością nietypową – transpłciowe, transseksualne czy homoseksualne. Wykluczenie kogokolwiek poza zainteresowanie Kościoła, utrata uniwersalności ewangelicznego przesłania jest większym skandalem niż kłopot z nowymi dla doktryny wyzwaniem.

© P. ARTUR SPORNIĄK

12 czerwca 2018 r. zmarła w Madrycie w wieku 86 lat

Ś.†P.

Isabella Godlewska de Aranda

malarka, rzeźbiarka i architektka,
wdowa po JE ambasadorze Hiszpanii Eduardo Aranda Carranza,
córką senatora Józefa Godlewskiego i Fabianny z Hutten-Czapskich,
prawnuczka Emeryka Hutten-Czapskiego,
zasłużona dla muzeum jego imienia i dla Muzeum Narodowego w Krakowie
oraz dla Zamku Królewskiego na Wawelu.

Msza święta w Jej intencji oraz w intencji Jej syna Eduardo Aranda Godlewskiego,
zmarłego w Londynie 21 grudnia 2017 r., odprowadzona zostanie
w kościele św. Barbary w Krakowie 28 września o godzinie 17.00,
o czym zawiadamiają dzieci

IZABELLA ARANDA GODLEWSKA I JOSÉ RAMÓN ARANDA GODLEWSKI
WRAZ Z RODZINĄ

Puste litewskie plebanie

DONATAS PUSLYS, PUBLICYSTA:

W postrzeganiu papieża Litwini przypominają Polaków – widać jasny podział na obrońców otwartego Kościoła Franciszka i na tych, którzy oskarżają Franciszka o liberalizm.

ZBIGNIEW ROKITA: Litewski Kościół katolicki był prześladowany podczas radzieckiej okupacji. Jak to wyglądało?

DONATAS PUSLYS: Niektóre kościoły były zamykane i zmieniane np. na sklepy. W Wilnie w katedrze urządzono galerię malarstwa, a w kościele św. Kazimierza muzeum ateizmu...

...w miejscu ołtarza stawiając posąg Lenina.

Chciano w ten sposób upokorzyć Kościół, pokazując, że był niczym więcej niż narzędziem ucisku i kłamstwa.

Choć często zmiana świątyni w muzeum ateizmu była szczęściem w nieszczęściu – o budynek dbano.

To prawda. W innych przypadkach wnętrza były bardzo zniszczone, cenne rzeczy znikały. Część księży – szczególnie w dobie stalinizmu – była deportowana, więziona, mordowana. W szkołach walczono z religią ideologicznie, np. na zajęciach z marksizmu. Starano się ingerować w podejmowanie decyzji o tym, kto może wstąpić do seminarium, próbowano werbować duchownych do służb, wywierano na nich naciski, szantażowano.

A czy nie zachodził równocześnie proces podobny do znanego z Polski – symbolicznego umacniania Kościoła w dobie totalitaryzmu?

Władze nie bez powodu widziały w Kościele siłę opozycyjną: powstawało w nim alternatywne społeczeństwo. Kościół stał się siłą polityczną, bronił podstawowych praw człowieka, przechowywał pamięć o międzywojennej państwowości.

W tym czasie Kościół stał się więc sumieniem narodu. W samizdacie ukazywała się np. „Kronika Kościoła katolickiego na Litwie”, kluczowe pismo ruchu antykomunistycznego, które formułą na-

wiazywało do „Kroniki wydarzeń bieżących” dysydentów rosyjskich.

W 1990 r. Litwa odzyskała niepodległość. Czy Kościół zdołał zachować swój autorytet?

To trudne do zmierzenia. Kościół nie musiał już sprzeciwiać się systemowi, jego rola się zmieniała. Musiał szukać nowej tożsamości, sposobów ewangelizowania. Musiał też od nowa zbudować wiele sfer – np. edukację szkolną – czy określić swoje relacje z państwem.

Równie ważna jest rola Kościoła jako podmiotu zdolnego do łączenia ludzi i jednoczenia społeczeństwa. To szczególnie istotne na Litwie, gdyż Litwini są bardzo zatamizowanym narodem: fragmentacji sprzyjał nie tylko komunizm, ale i trudna transformacja wolnorynkowa.

Według badań Pew Research Centre z 2009 r. 88 proc. Litwinów było katolikami, obecnie taką deklarację składa już tylko 75 proc. Kościół ma pomysł, jak radzić sobie z tym wyzwaniem?

Nie uważam tego za duży problem. Ludzie, dla których katolicyzm jest tylko rodzinną tradycją, mogą odchodzić. Trudno zresztą powiedzieć, czy kiedykolwiek w tym Kościele byli – otrzymali chrzest, komunie, a później nie mieli związków ze wspólnotą. Jednocześnie Kościół na Litwie jest bardziej rygorystyczny, klarowne jest, do czego dąży. Kiedyś łatwiej było uzyskać sakramenty, teraz wymagania są wyższe, przygotowania zajmują więcej czasu. To zbyt „kosztowne” dla tych, którzy w Kościele są z przyzwyczajenia. To słuszne. Nie potrzeba odsetka katolików na poziomie 90 proc. dla samego faktu posiadania dobrych statystyk. Ważniejsza jest jakość.

Kościół nie może być ekskluzywny.

Ale będąc inkluzywnym, nie może tracić głębi i misji, witać wszystkich tylko po

to, by zaśpiewać kilka piosenek. Stawianie wymagań sprawia, że litewski Kościół straci nieco wiernych, ale w dłuższej perspektywie to siew, który przyciągnie ich znacznie więcej.

To Pana opinia czy litewskich hierarchów? W ich interesie leży przyciągnięcie do Kościoła tak wielu ludzi, jak to możliwe.

Oficjalnie hierarchowie tego nie mówią.

Jakie są inne przyczyny odpływu wiernych?

Np. wspomniane nowe okoliczności polityczne – Kościół nie jest już potrzebny jako identyfikacja polityczna przeciwko okupantowi. Do tego dochodzą te same uwarunkowania, co w innych zachodnich krajach. Ważną kwestią są relacje na linii Kościół–państwo. Według – powiedzmy – „zsekularyzowanej” części społeczeństwa Kościół wciąż wywiera na państwo zbyt duży wpływ, życzą oni sobie najpewniej wprowadzenia francuskiego modelu laicyzmu i radykalnego rozdziału. Przeciwna frakcja chciałaby z kolei silnego głosu Kościoła w debacie publicznej. To czy się debata o rozumienie odpowiednich zapisów w ustawie zasadniczej.

Litwa jest neutralna światopoglądowo, ale dopuszcza manifestowanie przynależności konfesyjnej publicznie.

Zgadza się. Nie mamy państwowej religii, ale katolicy mogą głośno wypowiadać swoje racje. Kościół na Litwie nie przeskadza w polityce tak bardzo jak politycy, którzy chcą wykorzystać go dla swoich partykularnych celów – przyjmując jakieś regulacje, zasłaniają się np. faktem, że wprowadzają doktrynę kościelną.

Czy głos Kościoła jest słyszalny w sferze publicznej? Np. w takich kwestiach jak kryzys migracyjny, aborcja?

Oczywiście. Mało tego: nie może ograniczać się tylko do takich spraw jak cywilne związki osób LGBT czy aborcja. Przesłanie powinno być klarowne: katolicka nauka społeczna nie ogranicza się do stanowiska w kilku gorących tematach, jest czymś znacznie większym i dlatego głos Kościoła musi być jeszcze lepiej słyszalny. Obawiam się, że zarówno wśród litewskich wiernych, jak i części księży diecezjalnych świadomość bogactwa tej nauki jest niewielka. Edukowanie ich to



misja chociażby naszego dziennika internetowego.

Dużo jest kandydatów na księży?

Liczyby nie napawają optymizmem. Seminaria w Wilnie czy Kownie były budowane z myślą o znacznie większej liczbie studentów, niż dziś się tam uczy. Jeżdżąc po litewskiej prowincji widać plebanie, w których kiedyś mieszkał ksiądz, a dziś pojawia się ktoś raz na tydzień czy raz na miesiąc. To smutne, gdyż prowincja szczególnie potrzebuje wsparcia – szerzy się tam plaga alkoholizmu, samobójstw, wysoki jest odsetek emigracji.

Według CIA Litwa zajmuje 199. miejsce na 221 podmiotów na świecie pod względem salda migracji. Za nią jest tylko 8 krajów o populacji większej niż milion: Somalia, Zimbabwe czy Erytrea. Gdyby Polska po 1989 r. się tak szybko wyludniała, dziś liczyłaby zaledwie 28 mln.

Czy duchowny może skutecznie pomóc komuś, pojawiając się u niego tak rzadko? Ludzie z prowincji opuszczeni są i przez państwo, i przez Kościół. Kościół musi pochylić się nad tym problemem.

Według ostatniego spisu powszechnego niemal 7 proc. ludności Litwy stanowią Polacy. Przywódcy polskiej mniejszości przywiązują dużą wagę do symboliki religijnej. Czy ich katolicyzm różni się od litewskiego?

W wileńskim seminarium widać, że proporcjonalnie więcej powołań jest

wśród miejscowych Polaków niż etnicznych Litwinów. U Polaków religia zdaje się wciąż odgrywać ważną rolę jako instrument identyfikacji, większą niż wśród katolików innego pochodzenia.

Pytam również dlatego, że partia polskiej mniejszości – Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – nieraz bywa bardziej konserwatywna niż litewski Kościół.

To prawda. To AWPL zawsze stara się umieścić w agendzie takie kwestie jak zastrzeżenie prawa aborcyjnego czy miejsce religii w szkołach. To ich polityk opowiadał w Australii o prześladowaniu litewskich katolików. To ich działacze intronizowali Chrystusa na króla rejonu wileńskiego itd. Nie można jednak stawiać znaku równości między AWPL i zwykłymi Polakami. Partia ta wykorzystuje czasem katolicyzm do zwiększenia swoich wpływów, instrumentalizuje religijne kwestie, tworzy poczucie zagrożenia. Mam nadzieję, że papież podczas wizyty wyraźnie powie, iż Kościół jednoczy pod wspólnym dachem różne grupy, zamiast nas dzielić.

Jak papieża odbierają litewscy hierarchowie?

Nasi biskupi co do zasady są serdecznie nastawieni do Franciszka i identyfikują główne problemy podobnie jak on. Młode pokolenie hierarchów może nie tyle popiera go w stu procentach, co rozumie, jaką drogą Franciszek chce prowadzić Kościół. Na Litwie jest dziś wielu młodych biskupów, którzy studiowali

DONATAS PUSLYS jest redaktorem naczelnym największego litewskiego portalu katolickiego bernardinai.lt. W 2014 r. został wybrany przez Fundację Sugihara House Człowiekiem Tolerancji.

w Rzymie bądź na innych zachodnich uczelniach. Spierają się choćby o „Amoris laetitia”, ale cieszy mnie, że spór toczy się bardziej o meritum, mniej o samego autora. Wśród starszego pokolenia jest sporo różnic. Fakt: niektórzy woleliby, aby papież większą wagę przykładął do kwestii tradycyjnego modelu rodziny i był bardziej krytyczny.

A litewscy wierni – jak oni postrzegają papieża?

W tym względzie przypominają akurat Polaków, widać jasny podział. Pierwsza grupa to obrońcy otwartego Kościoła Franciszka i dialogu; przykładają większą wagę do praktycznego wymiaru religii, chcą, aby Kościół był bliżej wiernych. Drugi zarzucają papieżowi, że jest liberałem, który prowadzi Kościół na skraj przepaści, paraliżuje teologię itd. Co istotne: głównym językiem obcym radykalnych krytyków jest angielski. Czytają amerykańską prasę, która dużo pisze o wojnach kulturowych. Łapią jej punkt widzenia, przenosząc toczące się za oceanem konflikty na litewską glebę.

Papież w dniach 22-25 września odwiedzi Litwę, Łotwę i Estonię. W Wilnie uda się m.in. do poświęconego radzieckiej okupacji Litwy Muzeum Okupacji i Walki o Wolność. Co oznacza dla Litwinów ten gest?

Apelowałem o to, aby odwiedził także Ponary albo upamiętnił jako wileńskie getto – w dniu, w którym będzie gościł w naszym mieście, obchodzić będziemy 75. rocznicę jego likwidacji. W końcu okazało się, że do getta pojedzie. Pokaże w ten sposób, że Litwa z atencją odnosi się do cierpienia wszystkich swoich mieszkańców. Nie powinniśmy dzielić cierpienia na „naszą Syberię” i „Zagładę Żydów”. To pytanie o to, czy Litwini to kategoria etniczna, czy obywatelska. Sam fakt wizyty papieża w Muzeum Okupacji mnie cieszy. Franciszek daje znak, że musimy być uważni wobec swoich ran oraz że Litwini te rany wciąż mają.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA



Przy budowie linii metra w Rio de Janeiro, 2012 r.

Jak wypuścić siebie z rąk

PIOTR SIKORA

Niespokojne czasy nie sprzyjają skupionej modlitwie. Ale właśnie wtedy staje się ona coraz bardziej potrzebna.

MIGOTLIWE ŚWIATŁO ŚWIECY ODBIJAŁO przez złoto i purpurę ikony skupało wzrok na ciemnej twarzy otoczonej aureolą. Wzrok i – niestety – nic więcej. Obsesowe słowa policjanta, który wlepił mi trzysta złotych mandatu tylko za to, że akurat przepaliła mi się żarówka, wciąż do mnie wracały, naprzemiennie z natrętnym pytaniem: czy wystarczy nam teraz na pod ręczniki dla dzieci? Wrzesień to zawsze tragedia dla rodzinnego budżetu. W ciszy kaplicy buzowały moja złość i mój lęk.

Naturalne rozproszenia

„Modlitwa bez rozproszeń jest najważniejszą aktywnością umysłu” – tak streścił powszechne przekonanie pierwszych mnichów chrześcijańskich jeden z najważniejszych autorów duchowych starożytności, Ewagriusz z Pontu. Być może wielu z nas powie: cóż z tego? Jest to aktywność dla nas nieosiągalna, rozproszenia pojawiają się natychmiast, gdy stajemy do modlitwy, i wcale nie chcą zniknąć, pomimo rozmaitych czynionych przez nas wysiłków.

Jak wynika jednak z pism Ewagriusza i innych duchowych mistrzów, znali oni dobrze ten problem i traktowali go jako coś naturalnego, „jest bowiem rzeczą wynikającą z natury, że pamięć zawłaszcza umysł w czasie modlitwy”. Ilekroć chcesz wsłuchać się w subtelny szmer Ducha i choć na chwilę wycofujesz się z zewnętrznych aktywności, podejmując próbę zaprzestania aktywnego myślenia nad konkretnymi zagadnieniami, to wtedy właśnie „pamięć przywodzi ci na myśl obrazy rzeczy minionych, albo nowe troski, albo też postać tego, kto cię skrzywdził”.

To, co dzieje się w trakcie cichej modlitwy, gdy wycofujemy się na chwilę z aktywnego życia, w dużej mierze zależy właśnie od tego, w jaki sposób żyjemy, co nas w życiu dotąd spotkało, co nas niedługo czeka, i czego oczekujemy.

Jak jest zatem możliwe modlitewne skupienie bez rozproszeń, skoro żyjemy w tak niespokojnych czasach? Niepokój ów zwielokrotniony jest przez media: wojna w Syrii, uchodźcy u bram, polityczne napięcie wokół Iranu czy Korei, morderca na przepustce udusił dziecko i kobietę, księża molestują, czy będzie polexit, co z moim etatem i miejscem w liceum dla dziecka?

Zostaw wszystko

Ojcowie pustyni i późniejsi pustelnicy znali proste rozwiązanie. Za początek drogi modlitwy uznawali (jak zapisano w średniowiecznym dziele „O metodzie świętej modlitwy i uwagi”) „wolność od trosk o uzasadnione i nieuzasadnione sprawy, to znaczy obumarcie dla wszystkiego”. „Nie możesz modlić się czystą modlitwą – pisał wspomniany już Ewagriusz – dopóki jesteś uwikłany w sprawy materialne i miotany nieustannymi troskami”. Dlatego „idź, sprzedaj to, co masz, i rozdaj ubogim, weź swój krzyż i zaprzyj się samego siebie, abyś mógł modlić się bez przeszkód”.

Żyjesz w niespokojnych czasach? Wycofaj się na stałe – tak można zrozumieć rady mnichów – z aktywnego życia, zamknij w klasztorze, zaszyj w lesie.

Zmęczeni codziennością może byśmy i chcieli posłuchać rady Ewagriusza: „porzucić wszystko, by wszystko [na modlitwie] otrzymać”. Większości jednak luksus taki nie jest dany. Nawet jeśli możemy się na jakiś czas wyrwać z kołowrotu trosk, na urlop czy na rekolekcje, nitki

spraw wiążących nas z „prawdziwym życiem” nie zostają zerwane. Więcej: zerwane być nie mogą bez szkody i cierpienia ludzi od nas zależnych: dzieci, żony czy męża, starzejących się rodziców, współpracowników, którzy na nas polegają.

Porzucenie, krok konieczny na drodze modlitwy, można jednak zrozumieć inaczej. Tak jak średniowieczny mistyk Mistrz Eckhart, który ludziom twierdzącym, że muszą się schronić do pustelni, odpowiadał: „Nie. (...) We wszystkim tym tkwi wyłącznie twoje »ja«, nic poza tym. (...) Kto jest rzeczywiście dobry, jest taki we wszystkich miejscach i w każdym towarzystwie”.

Co naprawdę niszczy

Intuicja Eckharta kieruje uwagę na inne nauki Ewagriusza, możliwe do realizacji w każdej sytuacji życiowej: „Wszystko, co uczynisz, by wziąć odwet na bracie, który wyrządził ci niesprawiedliwość, w czasie modlitwy stanie się dla ciebie zgorszeniem-przeszkodą”. Modlitwę niszczy działanie skierowane przeciwko drugiemu, ale niszczy ją także podobna intencja, jeśli kieruje ona naszą duchową aktywnością: „Zabiegaj, by w swej modlitwie nie modlić się przeciw komuś – ostrzega więc Ewagriusz – przez to sam zniszczyłbyś to, co budujesz, a modlitwę uczynił odrażającą”.

To nie zaangażowanie w sprawy świata, lecz egocentryzm i nastawienie przeciw drugiemu najbardziej niszczy modlitwę. Życie toczy się raz tak, a raz inaczej. Dlatego i stan naszej świadomości podczas modlitwy się zmienia. Ewagriusz wie o tym: „Czasami, stanąwszy do modlitwy, od razu będziesz modlił się dobrze. Innym razem, pomimo wielkich starań, nie osiągniesz celu – po to, abyś jeszcze bardziej szukał; a kiedy osiągniesz celu, posiadziesz nienaruszoną doskonałość”.

Cicha modlitwa wcale nie musi polegać na tym, by w naszej świadomości nie pojawiały się żadne myśli, uczucia i obrazy. Modlitewne uciszenie umysłu i trwanie w świętej ciszy polega na tym, że zaprzestajemy podejmowania aktywnego myślenia, kreowania wyobrażeń i wzbudzania w sobie uczuć. Tworzy się wówczas przeszeń, by z głębin naszej świadomości wy-

EWAGRIUSZ Z PONTU:

Zabiegaj, by w swej modlitwie nie modlić się przeciw komuś.

nurzyły się te myśli, obrazy czy uczucia, które i tak tam się kotłują, przytłumione tylko na ogół naszą aktywnością.

Nasz kontakt z rzeczywistością i podejmowane działania zostawiają w nas ślady, a nie wszystkie z nich są dobre. Uzdrowieńcze działanie modlitwy, która pozornie pełna jest rozproszeń, można zobaczyć, biorąc sobie do serca inną sentencję Ewagriusza: „Ci, którzy gromadzą w sobie troski i pamięć złego, a zdaje im się, że się modlą, są podobni do tych, którzy czerpią wodę i wlewają ją do dziurawego naczynia”.

Zauważmy, że Ewagriusz nie przeciwstawia tu modlitwy i obecności w świadomości trosk i złych wspomnień, lecz gromadzenie tych drugich. Nie chodzi zatem o to, by stłumić w sobie złe wspomnienia i na siłę przestać się troszczyć o codzienne sprawy. Ślady złych doświadczeń i tak w nas zostaną, a brak trosk byłby oznaką nieodpowiedzialności. Problem pojawia się, gdy wszystko to się w nas kumuluje, a jeszcze bardziej – gdy my sami aktywnie je gromadzimy. Praktyka cichej modlitewnej uważności pozwala jednak, by przeszłość i przyszłość, wspomnienia i troski wypłynęły na powierzchnię świadomości i przepłynęły przez nasz umysł.

Nie ma kogo rozproszyć

Różnicę podejścia dobrze ilustrują dwa słynne wiersze zen, mające wyrazić istotę mądrości życia. Pierwszy, napisany przez mnicha Shen-hsiu, głosił: „Ciało jest drzewem oświecenia / Umysł przypomina czystą podstawę lustra / Pilnie i nieustannie ją poleruj / Nie pozwalając, by osiadł na niej kurz”. To mądrość niepełna. Właściwa odpowiedź, podana przez przyszłego szóstego patriarchę zen, Hui-nenga, brzmi: „W oświeceniu pierwotne drzewo nie istnieje / A czyste lustro nie ma podstawy

/ Pierwotnie nic nie istnieje / Na czym mógłby osiadać kurz?”.

Polerowanie umysłu-lustra to niepozwalanie, by osiadał na nim kurz wspomnień, pragnień i trosk. Traktujemy wówczas wszelkie myśli i obrazy jako niechciane rozproszenia, chcemy się ich pozbyć i uzyskać doskonałe skupienie. Jest to jednak postawa nadal egocentryczna, w której kierujemy się pewnym ideałem własnego umysłu i własnej modlitwy. W centrum nadal tkwi nasze *ego*, nawet jeśli chcemy, by było skupione na Bogu.

Cała sztuka w tym, by uwolnić się od traktowania „ja” i jego świadomości jako oddzielnego, własnego kawałka rzeczywistości, które jest odseparowane od świata wyraźną granicą, i które ma być „jakiś”. Chodzi o to, by „wypuścić siebie z rąk”, zaprzestać prób kontroli. Pozwolić, by życie płynęło, bez granicy „moje – niemoje”.

W pojęciowym kontekście, w którym powstał wiersz Hui-nenga, słowa „pierwotnie nic nie istnieje” znaczą bowiem tyle, że nie ma nic, co byłoby sobą bez odniesienia do czegoś innego, że wszystko jest współzależne. Z perspektywy chrześcijańskiej możemy powiedzieć, że wszelka rzeczywistość jest obrazem Trójcy – gdyż w Trójcy, jak wyjaśniał Tomasz z Akwinu, tożsamość każdej z Boskich Osób polega właśnie na tym: na odniesieniu do pozostałych; nie ma między nimi granic.

Jeśli zatem rzeczywistość ma naturę trynitarną, to także nasze małe „ja” jest miejscem spotkania wielu relacji tworzących wiecznie płynący strumień Życia. Wobec tego także wszelkie nasze działania, w tym cicha modlitwa, są falami, zawirowaniami i prądami tego strumienia. Modląc się, przestajemy trzymać się kurczowo wyimaginowanych granic naszego „ja”, naszej modlitwy, naszej doskonałości. W cichej uważności pozwalamy rzeczywistości być taką, jaka jest, przychodzić i odchodzić dźwiękom, zapachom, obrazom, wspomnieniom i troskom.

Gdy puścimy swoje małe „ja” – gdzie mogą pojawiać się rozproszenia? I cóż w ogóle może być rozproszeniem? We wszystkim Alfa i Omega, Bóg, który jest, który był, Przyszedzący (por. Ap 1, 8). ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

„Tak” dla Franciszka

KS. JACEK PRUSAK SJ

Patrząc na niewielką liczbę rodzimych książek poświęconych papieżowi, można dojść do wniosku, że jesteśmy onieśmieleni tym pontyfikatem.

OKRĄGLE JUBILEUSZE SĄ ZAZWYCZAJ okazją do podsumowań. Pięciolecie wyboru Franciszka minęło już jakiś czas temu, ale na półkach naszych księgarń niewiele znajdziemy książek o recepcji obecnego pontyfikatu. Na uwagę zasługują więc dwie, które, choć różne w stylu i przesłaniu, łączy „tak” dla Franciszka. „Pobudka, Kościele!” wyszła spod pióra filozofa, teologa i działacza społecznego Jarosława Makowskiego. Z kolei „Mosty, nie mury. 5 lat pontyfikatu Franciszka” jest owocem refleksji pracowników Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego na czele z ordynariuszem opolskim bp. Andrzejem Czają – profesorem UO i Wielkim Kanclerzem tamtejszego Wydziału Teologicznego.

Portret radykała

Książka Makowskiego to przede wszystkim osobiste świadectwo fascynacji osobą i nauczaniem papieża. „Dlatego przynajmniej jak na spowiedzi: nie jestem obiektywny w opisie teologii i strategii duszpasterskiej Franciszka. Tradycjoniści zarzucą mi, że kreślę obraz papieża lewaka. Postępowcy powiedzą, że przesadzam z tą otwartością Franciszka, bo tak naprawdę jest on konserwatystą. Dla mnie jednak Franciszek nie jest ani konserwatystą, ani liberałem. Franciszek jest radykałem”.

Makowski nie pisze kolejnej biografii Franciszka, tylko chce pokazać jego pontyfikat na tle współczesnych sporów kulturowych, społecznych i politycznych, zwracając szczególną uwagę na trzy tematy jego nauczania: Kościół, który ma być ubogi i dla ubogich; ekonomię, która

ma być dla człowieka, a nie dla zysku; oraz dialog, który ma budować mosty, a nie mury.

Analizując te kwestie autor stawia tezę, że Franciszek zmienił główną oś sporu angażując Kościół: już nie „cywilizacja życia” kontra „cywilizacja śmierci” – opozycja tak ważna dla Jana Pawła II – ale „kultura wykluczenia” kontra „kultura solidarności”. Franciszek jest dla niego globalnym liderem, gdyż żyjąc Ewangelią w radykalny sposób przeciwstawia się „pogaństwu obojętności” i tworzeniu kolejnych peryferii. Poza tym, reformuje Kościół, a nie jedynie dba o poprawę jego wizerunku. Franciszek – zdaniem Makowskiego – „rozpoczął rewolucję, która zaczęła się od zmiany komunikacji z wierzącymi, pociągając za sobą także zmianę praktyk kościelnych”.

Czy taki papież pasuje do Kościoła nad Wisłą? Już sam tytuł książki można potraktować jako odpowiedź negatywną, ale dwa ostatnie rozdziały: „to nie jest nasz papież” oraz „samotność Franciszka” nie pozostawiają złudzeń.

Wbrew diagnozom autora Franciszek nie jest jednak aż tak osamotniony wewnątrz Kościoła ani nie jest „solistą bez orkiestry” w jego reformie – nawet nad Wisłą. To prawda, nie jest mu łatwo, ale wbrew obawom Makowskiego i oczekiwaniom krytyków obecnego papieża, tego pontyfikatu nie da się po prostu przeczeć. Żeby się o tym przekonać, warto poświęcić czas na lekturę drugiej pozycji.

Teologia recepcji

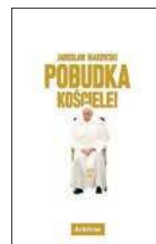
O ile papież dla Makowskiego jest „pretekstem” do powiedzenia o Kościele jego marzeń, o tyle książka opolskich teologów ma bardziej systematyczny charakter. Poruszana jest w niej eklezjologia papieża, jego zaangażowanie ekumeniczne, społeczno-kulturowe, mistagogiczno-liturgiczne oraz pastoralne. Autorzy nie roszczą sobie jednak pretensji do podsumowania pontyfikatu, nie wypowiadają się również na wszystkie podejmowane przez Franciszka zagadnienia. Cel mają skromniejszy: chcą lepiej zrozumieć papieża z „końca świata”, który porusza, wywołuje sprzeciw lub zachwyt.

Opolscy teolodzy starają się pokazać osobę i nauczanie Franciszka przez pryzmat zawołania jego pontyfikatu, „aby dla każdego otwarte były drzwi Kościoła”, po to, „by budować mosty, a nie wznosić dzielące ludzi mury”. Taka otwartość

z definicji jest ryzykowna, bo chociaż ze swojej natury Kościół jest powszechny, jego historia pokazuje, jak sam się tego zapierał czy przed powszechnością bronił. Autorzy książki nie uciekają przed trudnymi – również dla polskich katolików – elementami nauczania Franciszka, jak choćby migracje, problem osób rozwiedzionych i żyjących w związkach niesakramentalnych czy wizja Kościoła jako Ludu Bożego z silnym naciskiem na deklerykalizację i reformę Watykanu, które wywołują polemiki wykraczające poza sam Kościół.

Najważniejszym przesłaniem publikacji jest jednoznaczne stanowisko jej autorów, że kontrowersyjna jest raczej recepcja nauczania Franciszka aniżeli jego treść, i że mamy do czynienia z autentyczną reformą Kościoła, a nie mniej lub bardziej jawną schizmą. „Owszem, Franciszek kładzie nowe akcenty, sięgając do poszczególnych zagadnień nauki Kościoła, które u osób przyzwyczajonych do utrwalań rozwiązań i poglądów mogą budzić niepokoję i wydawać się kontrowersyjne, lecz przecież wątpliwości, spory i polemiki stanowią nieunikniony element dążenia do poznania prawdy i nieodzowny element refleksji teologicznej” – jak podkreśla jeden z autorów książki.

Mamy więc w Polsce biskupów, księży i świeckich, którzy ani nie boją się Franciszka i realizowanych przez niego reform, ani nie widzą w nim Don Kichota, który zagubił się w Watykanie. Także nad Wisłą nie wszyscy ulegli iluzji „złotych lat” poprzedzających obecną pontyfikat. Obie książki można więc uznać za odtrutkę intelektualną w stosunku do popularnej nagonki na Franciszka, która ma swój własny „Kościół” także nad Wisłą. ©



Jarosław Makowski,
POBUDKA, KOŚCIELE!
Arbitror,
Warszawa 2018



Ks. Marek Lis (red.)
„MOSTY, NIE MURY. 5 LAT PONTYFIKATU FRANCISZKA”, Opolska Biblioteka Teologiczna, Opole 2018

SZYMON

Hołownia:

Nie zapomnimy o pszenicy



REKOLEKCJE DLA KSIĘŻY W WIELKIM MIEŚCIE. Głoszący je wybitny i bardzo utytułowany polski teolog mówi rzeczy ważne i piękne. Aż do pewnej homilii. Słuchacze dowiadują się z niej (jak relacjonuje jeden z uczestników duchowych ćwiczeń), że „media liberalne, lewicowe i szmatławce chcą nas zniszczyć. Przysilają się do nas, aby uczynić z nas kolejnych Obirków. Jedyne media uczciwe to media prawicowe. Przez nie sam Bóg przemawia. Są głosem Bożym i przynoszą Boże błogosławieństwo. To jest prawdziwy cud, proszę księży, to jest cud”. Dalej jest o tym, że „Tygodnik Powszechny” z „właściwą sobie perwersją informuje o księżach pedofilach i tym podobnych aferach”, a „biskup Ryś idzie sobie do Częstochowy z pielgrzymką łódzką w czasie, gdy dwóch jego księży pobiło się na plebanii. Następnie wysła ich na rekolekcje! Proszę księży, dostrzegacie to? To szatańskie metody działania! Bądźcie czujni na działania kusiciela!”. Szmer aprobaty, audytorium potakująco kiwa głowami.

Plan innych rekolekcji dla księży AD 2018, w pewnej wielkiej polskiej archidiecezji. Cztery serie do wyboru, którą księża wybrać muszą i przedstawić później stosowne zaświadczenie. Jedną prowadzi homiletyczna gwiazda mszy radiowej, kapłan, który – co omawialiśmy na tych łamach – w Wielkanoc tego roku opowiadał o tym, jak nasz kraj zmartwychwstał pod rządami PiS, a wcześniej był uprzejmy twierdzić (również podczas homilii radiowej), że czytanie „Tygodnika Powszechnego” może być „oznaką szatańskiego zniewolenia”. W czasie drugiej serii będzie poddawać kapłanów duchowej formacji inny wybitny teolog i równie zaangażowany publiczny kibic poczynań obecnej władzy, tropiciel spisków, gwiazda ultrakonserwatywnych portali.

Jest to jakieś rozwiązanie. Gdy świat coraz częściej zaczyna mówić nam: „sprawdzam” – zbici się ciałniej w gromadkę, otoczyć kordonem bzdur o ujadających (one nigdy nie krytykują, zawsze ujadają) mediach, wymyśleć lewackie (genderowe, liberalne) spiski, namierzyć Sorosa, Tuska i szatańskie inspiracje antyklerykalnych filmów. I już – już człowiek czuje się lepiej. Ja należę do grona sprawców? Ja jestem ofiarą! A stąd już tylko krok do naprawdy ryzykownych porównań (słyszałem i takie) z męczeństwem księdza Popiełuszki.

Co tam te wszystkie dzieci zgwałcone na plebaniach, dokąd przyszły, bo wierzyły, że ksiądz to dobry człowiek, człowiek Boga. Nieważne. Ważne, że „idzie szatańskie uderzenie w kapłanów” (co słyszałem ostatnio na własne uszy w Radiu Maryja z ust kolejnego księdza profesora). A te głupie media ujadają i nie umieją zwracać uwagi księżom tak, jak powinny. A jak powinny? Otóż tak, jak zrobił to tytułem swojej książki „Wstańcie, chodźmy!” Jan Paweł II. To jest konstruktywna krytyka! Zna-

czy, że siedzieli, a papież mówi im: no może się ruszcie. „Tak się powinno dziś krytykować kapłanów” – przekonuje z ogniem w głosie ksiądz profesor. Żyjący w XXI wieku. Na Ziemi.

Ta zbiorowa samoobrona przez wyparcie, to brnięcie jeszcze głębiej w kastową mentalność, w wygenerowane przez socjotechników podziały (tu Bóg, Honor, Ojczyzna, księża „dobrej zmiany”, partia i rząd, tam – atakująca ich lewacka szczytnia, cywilizacja śmierci, wyolbrzymiacze afer, oraz niemo ich wspierający Franciszek, „najgorszy papież od dwustu lat”), – to wszystko jest zwyczajnie głupie. A moralnie, zważywszy na kontekst, obrzydliwe.

Piszę te słowa siedząc na plebanii parafii, w której parę lat temu pracował wikary-pedofil (księdzem już nie jest, sprawa karna w toku). Obecny skład księżowski dwoi się i troi, by odbudować zaufanie, elementarną więź, by ludzie – nie tylko rodzice – nie omijali teraz kościoła (co byłoby zupełnie zrozumiałe) szerokim łukiem.

Byłem świadkiem dyskusji jednego z księży z młodzieżą o filmie „Kler”. Mówił: pójdę, może się pośmieję, może coś mnie ruszy. Musimy wypalić spośród siebie cały syf, całe zło, obśmiać te skłonności, napiętnować je, zaczynając od siebie. Stawić temu czoło, a nie chować się za plecami korporacji. Jak mam uczyć rachunku sumienia, gdy sam nie umiem go uczciwie zrobić?

Młodzi ludzie, których tu widziałem, wierzą temu księdzu. Sam znam dziesiątki takich, którym ja wierzę – księży od Ewangelii. I im bardziej mnie mdli na widok takich, co mają czelność twierdzić (jak wspomniany gość Radia Maryja), że kto w obecnej polskiej sytuacji krytykuje upartyjnionych, niemoralnych albo chciwych księży, atakuje Boga, tym bardziej mam ochotę pokazać im, jak bardzo się mylą.

Chyba w jakimś wywiadzie Timothy’ego Snydera widziałem myśl, że dziś walczy się o ważne dla siebie wartości nie tyle (albo: nie tylko) na ulicy, ile np. prenumeratą takiej, a nie innej gazety, stałym wspieraniem takiej, a nie innej inicjatywy. Radio Maryja odrabia tę lekcję od wielu lat z ogromnym sukcesem, więc również w polskich warunkach – da się. Wszystkie te afery, które na dobrą sprawę dopiero zaczyną w Polsce wychodzić na światło dzienne, cały ten antyklerykalizm (a gwarantuję, że w takiej skali, jaka nas czeka, jeszcze go nie widzieliśmy), który będzie na to odpowiedzią, nie pcha mnie w stronę chóru piewców najprostszej konstatacji: to ja się wypisuję. Przeciwnie. Budzi się we mnie jeszcze większe poczucie odpowiedzialności za wspieranie tego, co w Kościele dobre.

Świadomie wybrałem miejsce, w którym przyjmuję sakramenty. Dziś uważam, że powinienem więcej dawać na tacę. Może ustawię poza tym stały przelew. Będę głosował nogami, chodził tam, namawiał innych, tak by było to widoczne w każdym liczeniu wiernych. By ten mały Kościół miał coraz więcej sił i wypuszczał w świat coraz więcej zdrowych soków. Będę mocniej wspierał dobrą robotę wspaniałych księży, zakonnic, świeckich bandażujących rany i karmiących najsłabszych. Zamówiłem prenumeratę pism, które robią dobrą robotę, które moim zdaniem umieją odróżnić dumę od pychy, nadzieję od neurotycznej euforii.

Na wskazaniu i napiętnowaniu zła robota się nie kończy, lecz zaczyna. W wyrzucaniu chwastów też można się tak zapamiętać, że zapomni się o podlewaniu pszenicy. Co dziś naprawdę trzeba mieć na względzie, jeśli się nie chce umrzeć jutro z głodu.

©

ZMIANA WARTY NA KAPITOLU

Stawka tego głosowania jest wysoka: Amerykanie zdecydują nie tylko, kto uzyska większość w Kongresie. Chodzi też o przyszłość Trumpa.

JAN SMOLEŃSKI

LISTOPADOWE WYBORY UZUPEŁNIAJĄCE w Stanach Zjednoczonych będą wyjątkowe z kilku powodów.

Najpierw dlatego, że rekordowa liczba członków Kongresu nie będzie się ubiegać o reelekcję. Aż 59 z nich zdecydowało, że nie będą startować – z czego ponad dwie trzecie to politycy Partii Republikańskiej. Są wśród nich prominentne postaci z prawej strony sceny politycznej.

Rezygnacje i sensacje

I tak, Paul Ryan – przewodniczący Izby Reprezentantów (izby niższej parlamentu), z 20-letnim stażem w Kongresie – poinformował o wycofaniu się z polityki jeszcze w kwietniu. Swoją decyzję argumentował tym, że nie ma czasu na życie rodzinne. Część opinii publicznej sceptycznie podeszła do tego wyjaśnienia. Ryan zmagął się z prawym skrzydłem swojej partii, nad którym nie potrafił zapanować. Pracy nie ułatwiał mu również swoimi twitterowymi burzami prezydent Donald Trump.

Z ponownego ubiegania się o fotel senatora zrezygnował też Jeff Flake z Arizony. Znany ze swego fiskalnego konserwatyzmu, Flake był bardziej liberalny w kwestiach imigracyjnych i wolnego handlu, nie pasował zatem do takiej Partii Republikańskiej, jaką Trump przeobrażał na swoją modłę. Zjadła krytyka, której Flake poddawał Trumpa, zraziła wyborców i praktycznie uniemożliwiła mu reelekcję. O swojej decyzji poinformował jeszcze w 2017 r.

Wśród tych, którzy zrezygnowali ze startu, jest też Bob Goodlatte z Wirginii

– przewodniczący komisji ds. sądownictwa przy Izbie Reprezentantów. Jego rezygnacja była zaskoczeniem, gdyż funkcja, którą pełni, jest poważna, a okręg, z którego został wybrany, od lat uchodził za republikańską twierdzę.

Jednak większą sensację wywołał jego syn Bobby Goodlatte: tuż po tym, jak senior ogłosił, że nie będzie startować, Bobby oznajmił, iż przekazał maksymalną dozwoloną osobom prywatnym sumę na rzecz kandydatki Demokratów Jennifer Lewis, która startuje z tego samego, co wcześniej jego ojciec okręgu. „2018 rok to moment na zmianę w okręgach, zróbmy to!” – napisał junior na Twitterze.

Bobby Goodlatte nie jest jedyny. Także rodzice Republikanina Kevina Nicholsona z Wisconsin, który ubiega się o fotel senatora, przekazali maksymalną dozwoloną prawem kwotę na rzecz jego kontrkandydatki, Tammy Baldwin z Partii Demokratycznej. Rodzice nie komentowali publicznie swej decyzji, a Goodlatte powiedział tylko, że nie jest zaskoczony, bo zna ich poglądy.

Zwrot w lewo

Wspomniana Jennifer Lewis z kolei jest jedną z grona co bardziej lewicowych w poglądach kandydatów, którzy mogą zmienić Partię Demokratyczną. Startuje z poparciem m.in. związków zawodowych i organizacji ekologicznych. W swoim programie postuluje np. uniwersalne publiczne ubezpieczenie zdrowotne, legalizację marihuany, podniesie-

nie płacy minimalnej i mocniejsze regulacje sektora bankowego.

Najbardziej znaną twarzą tego oddolnego ruchu jest 28-letnia socjalistka Alexandria Ocasio-Cortez. Ta podkreślająca swoje imigranckie i robotnicze korzenie Latynoska z nowojorskiego Bronxu pokonała w prawyborach w Partii Demokratycznej Joego Crowleya – członka Izby Reprezentantów z 19-letnim stażem i prominentnego działacza partii. Crowleya obstawiano nawet jako potencjalnego przewodniczącego Izby po spodziewanym sukcesie Partii Demokratycznej – zdobyciu przez nią większości miejsc w Izbie.

Partyjne nominacje Demokratów użyło też dwoje kandydatów oficjalnie wspartych przez Ocasio-Cortez. James Thompson z Kansas, zwolennik powszechnej opieki zdrowotnej oraz – co może być zaskoczeniem – obrońca drugiej poprawki (prawa do posiadania broni palnej), będzie się ubiegał o miejsce w Izbie Reprezentantów. Z kolei w Michigan wystartuje Rashida Tlaib, która – jeśli wygra – będzie pierwszą muzułmanką w Kongresie.

Mamy tu do czynienia z jeszcze jedną istotną zmianą: po raz pierwszy w historii Partii Demokratycznej biali mężczyźni są mniejszością wśród jej nominowanych kandydatów do Kongresu.

Walka o duszę Demokratów

Z takimi nominacjami może się jednak wiązać pewne ryzyko, zwane efektem Bradleya. Nazwa pochodzi od nazwiska Toma Bradleya, czarnego burmistrza Los Ange-



les, który w 1982 r. przegrał wyścig o fotel gubernatora Kalifornii, choć prowadził w sondażach. Naukowcy tłumaczyli potem tę sytuację tym, że w momencie głosowania wyborcy decydują się poprzeć białego mężczyznę, mimo że wcześniej deklarowali chęć głosowania na osobę o odmiennym kolorze skóry.

Charakter tych wyborów dobrze jednak wróży wyrazistym kandydatom i kandydatkom. Na ich korzyść może działać również polaryzacja sceny politycznej i elektoratu. Istotny jest też aspekt pokoleniowy. U wielu młodych ludzi słowo „socjalista” nie budzi tak negatywnych skojarzeń, jak wśród starszych wyborców, którzy dorastali w czasach zimnej wojny, w strachu przed Związkiem Sowieckim i wojną nuklearną. Doświadczeniem formacyjnym dla tego młodszego pokolenia, zwanego milenialsami, jest trudna sytuacja na rynku pracy oraz horrendalne koszty opieki zdrowotnej i edukacji. Im socjalizm kojarzy się z wyższą płacą minimalną, uniwersalną opieką zdrowotną i tanią – jeśli nie darmową – edukacją wyższą.

W dużej mierze nadchodzące wybory będą więc testem na to, w którą stronę powinna pójść Partia Demokratyczna – w stronę politycznego centrum i sojuszu z wielkim biznesem (czującym zmianę klimatu politycznego i popierającym przemiany obyczajowe), czy jednak w stronę ludzi mniej zamożnych? A może w stronę wielkomiejskiej klasy średniej oraz średniej klasy wyższej, tej o lewicowych poglądach, a także w stronę mniejszości? Ma być centrolewicą obyczajową czy gospodarczą? A może jednym i drugim?

Jeśli kandydaci z lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej pokonają swoich republikańskich konkurentów, wówczas będzie to sygnał, że konieczna jest zmiana kursu całej formacji – bo tylko w ten sposób partia będzie mogła zyskać nowe głosy.

Niebieska fala

Republikanie z kolei walczyć w zasadzie o przetrwanie.

Regułą w amerykańskiej polityce jest to, że w wyborach uzupełniających partia rządzącego prezydenta traci miejsca w Kongresie. Dziś sondaże dają Demokratom dwucyfrową przewagę. Choć wszystko jeszcze może się zmienić, to doświadczenie uczy, że taka przewaga często prowadzi do zmiany władzy w Kongresie. Demokraci ➔

→ muszą zdobyć 26 miejsc w Izbie Reprezentantów, aby przejąć nad nią kontrolę, w Senacie zaś brakuje im do większości jedynie dwóch miejsc. Mają więc duże szanse, aby zdominować Kongres.

Przewaga Demokratów w sondażach bierze się w dużym stopniu z niezadowolenia wyborców na Środkowym Zachodzie, gdzie podczas wyborów prezydenckich Trump zyskał niewielką przewagę nad swoją rywalką Hillary Clinton i dzięki temu wygrał w kolegium elektorów.

W dwóch tradycyjnie „czerwonych” stanach (czerwony to kolor Partii Republikańskiej; niebieski – Partii Demokratycznej) przewaga republikańskich kandydatów do Senatu jest niewielka. W Arizonie Republikanka Martha McCally, starająca się o fotel zwolniony przez Flake’a, ma przewagę jednego punktu procentowego nad rywalką z Partii Demokratycznej Kyrsten Sinema, przy trzech procentach głosów wciąż niezdecydowanych. Z kolei w Teksasie przewaga Republikanina Teda Cruza nad Demokratą Beto O’Rourke’em to raptem cztery punkty.

Do tego Cruz traci popularność wśród niezależnych wyborców. I choć jest on wciąż faworytem, to część Demokratów przygląda się tej rywalizacji z nieukrywaną radością. Sytuacja Cruza jest na tyle niepewna, że zwrócił się o pomoc do Trumpa.

Ruch ten wygląda na desperacki, gdyż ich drogi rozeszły się w bardzo spektakularny sposób jeszcze przed wyborami prezydenckimi w 2016 r., gdy obaj ubiegali się o nominację na kandydata partii na prezydenta. Trump sugerował wtedy, że ojciec Cruza był zamieszany w zabójstwo prezydenta Johna Kennedy’ego. Cruz nie pozostał Trumpowi dłużny, nazwał go niemoralnym kłamcą i ostentacyjnie nie udzielił mu swego poparcia, gdy przemawiał na krajowym konwentyklu, podczas którego Trump został oficjalnie nominowany na kandydata.

Ciężar prezydenta

O ile w Teksasie poparcie prezydenta może pomóc Cruzowi, o tyle w innych miejscach może okazać się problemem.

Na wspomnianym już Środkowym Zachodzie rośnie niezadowolenie z prezydentury Trumpa. Może ono wynikać z wojen celnych, które prowadzi on z Chinami i innymi krajami. W ich wyniku ucierpiały m.in. sektor rolniczy i przemysł samochodowy – skoncentrowane właśnie w tym regionie.

Cieniem na wyborach kładzie się „Russiagate” i oskarżenia pod adresem Trumpa.

Do tego dochodzi fakt, że „Russiagate” kładzie się cieniem także na tych wyborach. Specjalny prokurator Robert Mueller, prowadzący śledztwo w sprawie rzekomej zмовy między sztabem wyborczym Trumpa i Rosją, zapowiedział, że nie zamierza ujawniać żadnych nowych faktów przed wyborami, aby nie wpłynąć na ich wynik. Jednak republikańscy kandydaci w okręgach, w których ich przyszłość jest niepewna, dystansują się od ataków Trumpa na Muellera oraz na media.

Są też spektakularne zmiany frontów. Jeszcze w czerwcu do głosowania na Demokratów wezwał Steve Schmidt – wieloletni strateg Republikanów i doradca byłego prezydenta George’a W. Busha. Nazwał przy tym Partię Republikańską „skorumpowaną, nieprzyzwoitą i niemoralną” – i złożył partyjną legitymację. W jeszcze bardziej podniosłych słowach do tego samego nawoływał „wszystkich wierzących w amerykańskie wartości” James Comey – były szef FBI i do tej pory zdeklarowany Republikanin. Obaj zrobili to w proteście przeciw Trumpowi.

O co toczy się gra

Stawka jest wysoka, bo utrata kontroli nad jakąkolwiek izbą Kongresu pozbawiłby szanse Republikanów na realizowanie ich celów politycznych.

Z kolei Demokraci mają wiele do ugrania. Najważniejsza jest kontrola nad budżetem, w tym nad sfinansowaniem budowy muru na granicy z Meksykiem. Kolejną istotną sprawą będzie możliwość zatrzymania rozmontowywania Obamacare, reformy ochrony zdrowia Baracka Obamy. Budowa muru i likwidacja Obamacare były obietnicami wyborczymi Trumpa, które wciąż pozostają niespełnione.

Dalej: gdy idzie o „Russiagate”, przejęcie przez Demokratów kontroli nad Izbą Reprezentantów będzie oznaczać, że zmieni się przewodniczący komisji prowadzących liczne śledztwa związane z tą aferą. Do tej pory nie kwapiły się one do badania sprawy. Do rangi symbolu urosł Devin Nunes, przewodniczący komisji ds. wywiadu,

krytykowany za upartyjnienie dochodzenia. Nawet jeśli śledztwo pod kierunkiem nowego przewodniczącego komisji z Partii Demokratycznej nie doprowadzi do sensacyjnych odkryć, może uprzykrzyć życie Trumpowi. A jest to tylko jedna z wielu komisji, które Demokraci mogą wykorzystać.

Z kolei przejęcie kontroli nad Senatem umożliwiłoby Demokratom zablokowanie prezydenckich nominacji na sędziów federalnych, w tym na sędziów sądów apelacyjnych (gdzie większość spraw się kończy) i do Sądu Najwyższego (jeśli zwolni się tam miejsce). Tego rodzaju obstrukcję stosowali Republikanie za prezydentury Obamy. Dzięki temu Trump ma do obsadzenia aż 140 wakatów – sędziami, którzy mogą zmienić orzecznictwo konstytucyjne w USA na dekady. Najbardziej kontrowersyjną kwestią jest wyrok Sądu Najwyższego w sprawie „Roe v. Wade”, który zalegalizował aborcję w USA, ale lista spraw jest dłuższa.

Stawka jest też wysoka w wyborach na gubernatorów i do stanowych legislatur. W 2020 r. nastąpi kolejna zmiana granic okręgów wyborczych. O kształcie i skali tych zmian decydują władze stanowe. W 2010 r. Republikanie w stanach, w których byli u władzy, zmienili granice wielu okręgów na swoją korzyść, dzięki czemu zapewnili sobie większość w Izbie Reprezentantów. Zmiany w 2020 r. będą więc miały wpływ na to, jak będą się rysować szanse obu partii w kolejnej dekadzie.

Przyszłość Trumpa

Wyborczy sukces Demokratów może się jednak okazać dla nich również wyzwaniem.

Według sondaży 47 proc. Amerykanów chce usunięcia Trumpa z urzędu. Wśród zwolenników Demokratów ten odsetek jest wyższy: to niemal 80 proc. Jeśli Demokraci zdobędą Kongres, wielu ich wyborców będzie oczekiwało przynajmniej rozpoczęcia procedury usunięcia prezydenta. Jeżeli zaś tego nie zrobią, wystawią się na gniew swych wyborców i ryzyko mniejszej mobilizacji w 2020 r., gdy walka będzie się toczyć również o Białą Dom.

Jeśli jednak się na to zdecydują, to mogą przyczynić się do większej mobilizacji zwolenników Trumpa w tych samych wyborach – i w efekcie przegrać. Polaryzacja, która może im pomóc w tegorocznych wyborach, może więc okazać się ich największym przeciwnikiem w kolejnych.

© JAN SMOLEŃSKI

Pojedynek z władzą

ANNA ŁABUSZEWSKA

Czy reforma emerytalna, która budzi coraz większy sprzeciw Rosjan, podważa popularność i legitymację Władimira Putina?

DWÓCH ROSŁYCH POLICJANTÓW OBALIŁO na ziemię protestującego inwalidę. Ktoś w tłumie krzyknął: „Jednorękiego chłopaka biją!”. Na odsiecz ruszyli inni demonstranci, pomogli mu wydostać się z opresji. Policjanci wycofali się, odprowadzani okrzykami „Hańba! Dranie!”. To scena z jednego z protestów przeciw reformie emerytalnej, które w drugą niedzielę września odbyły się w wielu miastach Rosji.

Drastyczna reforma

Tamtego marcowego dnia, w 1991 r., w Moskwie na placu Maneżowym zebrało się kilkaset tysięcy ludzi, może milion. Był to największy protest w najnowszych dziejach Rosji, a właściwie jeszcze Związku Sowieckiego: demonstranci sprzed 27 lat żądali odsunięcia od władzy Michaiła Gorbaczowa i utrzymania Związku Sowieckiego przy życiu. Ten rekord, gdy idzie o liczbę manifestujących, do dziś nie został pobity.

Protesty, które teraz odbyły się w Moskwie, zgromadziły pięć tysięcy uczestników. W całym kraju nie więcej niż sto tysięcy. Tym razem chodziło o sprawy socjalne: manifestowano niezadowolenie z restrykcyjnej reformy emerytalnej. Czy protesty zaniepokoiły władze, odgrozione od problemów ludzi wysokim murem? Tamten milionowy protest nie uratował upadającego imperium. Czy ten stu tysięczny podważa legitymację władzy Putina i jego ekipy?

W każdym razie obywatele są wzburzeni. Wkrótce po ogłoszeniu przez rząd i przyjęciu przez Dumę w pierwszym czytaniu ustawy o reformie Rosjanie zaczęli



Wśród zatrzymanych demonstrantów przeważali ludzie młodzi. Petersburg, 9 września 2018 r.

coraz głośniej mówić, że ustawa im się nie podoba. Przewidujący drastyczne podniesienie wieku emerytalnego – dla kobiet o osiem lat, dla mężczyzn o siedem – projekt stał się szybko powodem protestów. Z ostrą krytyką wystąpiła nawet potulna na ogół partia komunistyczna. Ośrodki badania opinii odnotowały spadek popularności prezydenta (nawet o 15 punktów procentowych) i wyjątkowo wysoki odsetek tych, którzy deklarują chęć udziału w protestach.

Kreml zareagował nerwowo. Najpierw testowano wariant „Putin nie ma nic wspólnego z reformą”, ale ostatecznie włączono prezydenta do akcji przekonywania narodu. Putin wygłosił telewizyjne orędzie, zapowiedział złagodzenie reformy, ulgi dla kilku grup społecznych. Czy kogoś przekonał? To będzie wiadomo za jakiś czas. Na razie komentatorzy zadają pytanie, którego nie stawiali wcześniej, gdy Putin wszczynał tak ryzykowne awantury jak aneksja Krymu czy agresja na Ukrainę: czy reforma była błędem – i to błędem, który może go kosztować utratę władzy?

Kto dłużej pożyje

Na 9 września protesty zwoływał opozycjonista Aleksiej Nawalny. Tego dnia w wielu regionach Rosji odbywały się wybory lokalne. Miało więc dojść do swobodnego pojedynku: jedni pójdą karnie do urn, inni na ulice. Nawalnego przewidywano zamknięto na 30 dni, zatrzymano też prawie 70 osób mających koordynować akcje. Ludzi zastraszano i znieważano. Mimo to protesty się odbyły. Wznoszono

nie tylko okrzyki przeciw reformie, ale też hasła antyputinowskie. Interwencja policji była wyjątkowo brutalna. Demonstrantów bito pałkami, wleczono po jezdni. Zatrzymano ponad tysiąc osób, z tego połowę w Petersburgu. Wśród nich przeważały osoby bardzo młode.

„Sto tysięcy to za mało. Żeby tak w samej Moskwie wyszedł milion, wtedy władze może by odstąpiły” – takie komentarze pojawiły się w mediach społecznościowych (państwowa telewizja opowiedziała widzom na dobranoc jedynie o wyborach, które wszelako nie wszędzie zakończyły się zwycięstwem kandydatów partii rządzącej). Ale władze i tak czują nacisk. Inaczej Putin nie zabierałby głosu, a Nawalny nie trafiłby do aresztu. Jeden z opozycyjnych polityków ujawnił, że Nawalny – od lat tropiący afery korupcyjne na szczytach władzy – pracuje nad filmem o osobistym majątku Putina.

Na razie niezależne media pokazały, jak świetnie żyje się członkom rodziny generała Wiktora Zołotowa, dowódcy Gwardii Narodowej (w przeszłości osobistego ochroniarza Putina). W odpowiedzi Zołotow wyzwał Nawalnego na pojedynek i zagroził, że zrobi z niego kotlet. Motyw z pojedynkiem podchwyciły media społecznościowe, jak pożar w stepie zaczęły się szerzyć propozycje wyzwania na pojedynek Zołotowa. Jakaś dziewczyna apelowała, by generał zachował się jak mężczyzna i starł się z nią „na naleśniki”.

Największą popularność zyskał mem, w którym Zołotowa na pojedynek wyzywa emerytka: kto dłużej przeżyje za jej emeryturę. ©



Chrzest w cerkwi prawosławnej w stolicy Korei Południowej. Seul, 2017 r.

Azjatycka wojna o prawosławie

ROMAN HUSARSKI

Konflikt między patriarchą ekumenicznym i rosyjską Cerkwią dotyczy nie tylko Ukrainy. Cicha wojna między Konstantynopolem i Moskwą trwa od dawna także w Azji Południowo-Wschodniej.

CZY MOŻE BYĆ BARDZIEJ NIETYPOWE zdarzenie niż liczący ponad 1600 lat patriarchat w Konstantynopolu (dziś Stambule) z jednej strony – oraz cyberprzestępczość z drugiej? Agencja Associated Press ujawniła niedawno, że rosyjska grupa hakerów występująca pod nazwą Fancy Bears (w wolnym przekładzie: Niedźwiedzie z Fantazja) od lat szpiegowała duchownych związanych z Bartłomiejem I, patriarchą ekumenicznym Konstantynopola.

Dziś, gdy od kilkunastu dni na linii Rosja–Konstantynopol wrze, sens takiej ak-

tywności „Niedźwiedzi” zdaje się jasny: najwyraźniej komuś w Moskwie zależało, by śledzić to, co myśli otoczenie Bartłomieja. Otwarte musi pozostać pytanie, czy tym kimś były tylko rosyjskie władze, czy też informacje uzyskane w ten sposób trafiały również do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

Rosyjska Cerkiew traci Ukrainę

Wiele wskazuje bowiem, że ta ostatnia utraci wkrótce swoich wiernych z terenu Ukrainy. Od kilku miesięcy w świecie prawosławnym mówi się, że Konstantynopol

ma gotowy tzw. *tomos* – dekret przyznający Kościołowi prawosławnemu Ukrainy autokefalię, czyli pełną niezależność kanoniczną w ramach wspólnoty prawosławnej. Tymczasem „wyodrębnienie ukraińskiego Kościoła prawosławnego – i jednocześnie zjednoczenie podzielonych dziś prawosławnych Ukrainy – będzie wstrząsem”; „będzie to wstrząs nie tylko religijny, ale także polityczny i społeczny” – pisał w czerwcu na łamach „Tygodnika” Tadeusz A. Olszański [nr 26 – red.]. Rosyjska Cerkiew usilnie zabiegała, by nie dopuścić do wydania tomosu.

Na próżno. Wprawdzie dekret nie został jeszcze opublikowany, ale na początku września Fanar (jak określa się Patriarchat, od dzielnicy Stambułu, w której się znajduje) wydał komunikat, że Bartłomiej I powołał dwóch egzarchów dla Ukrainy – tj. swoich przedstawicieli w randze biskupa. Ich zadaniem będzie zapewne przygotowanie procesu tworzenia (i zjednoczenia) niezależnej ukraińskiej Cerkwi.

Wyzwaniem jest bowiem nie tylko uniezależnienie od Moskwy, ale też zjednoczenie ukraińskiego prawosławia, podzielonego dziś na trzy struktury: Kościół Prawosławny Patriarchatu Kijowskiego,

Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny oraz – zależny od rosyjskiego patriarchy Cyryla – Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego (formalnie tylko ten ostatni był dotąd uznawany za kanoniczny). Nic dziwnego, że reakcja rosyjskiej Cerkwi – która od XVII w. uważa Ukrainę za swoje „terytorium kanoniczne” – na komunikat Fanaru była gwałtowna. Jeden z jej hierarchów zasugerował nawet, że może dojść do zerwania relacji z Konstantynopolem. Zapachniało schizmą...

Tymczasem Ukraina to nie jedyne pole konfliktu między Moskwą a Fanarem. Rywalizacja – tyleż religijna, co geopolityczna – toczy się też na Dalekim Wschodzie. I to od dawna.

Korea znów podzielona

Przykładem narastającego od lat sporu między Moskwą i Konstantynopolem jest Korea. Historia prawosławia w Kraju Spokojnego Poranka jest krótka, ale burzliwa.

Pierwsza rosyjska misja – uzbrojona w ikony, szaty i księgi liturgiczne – dotarła tu jeszcze z błogosławieństwem cara Mikołaja II w 1899 r. Jej działalność przerwała wojna japońsko-rosyjska (1904-05), sromotnie przegrana przez armię carską. Misja wróciła jednak rok później, przyciągając parafian zwłaszcza swą działalnością edukacyjną (podobnie jak inne religie chrześcijańskie, głoszące Ewangelię w Korei). Pierwszym Koreańczykiem wyświęconym na diakona, w 1911 r., był właśnie jeden z nauczycieli pracujących w kościelnej szkole.

Rozwój wspólnoty prawosławnej, najliczniejszej w Seulu, załamał się w 1917 r., gdy pożar bolszewickiej rewolucji zerwał kontakt misji z Władystokiem i zabrakło sponsorów. W 1921 r. nad garstką wiernych pieczę przejął Japoński Kościół Prawosławny, pozostający przynajmniej oficjalnie pod zwierzchnością Moskwy. W rzeczywistości był to szerszy projekt japońskich władz imperialnych okupujących Koreę, który miał na celu upaństwowienie i podporządkowanie wszystkich religii rasie Yamato.

Od tego momentu narracje historyków zaczynają się różnić.

W tekście sygnowanym dziś przez patriarchat moskiewski możemy przeczytać, że Rosja utrzymywała zwierzchnictwo nad misją w Seulu do 1949 r., kiedy to pod presją Amerykanów rosyjscy misjonarze mieli zostać zmuszeni do opuszczenia Ko-

rei. Wersja ta różni się od tej, którą znajdziemy w bibliotece cerkwi św. Mikołaja w Seulu i na stronie internetowej Koreańskiego Kościoła Prawosławnego. Według niej ostatni rosyjski misjonarz faktycznie został wyrzucony z Korei, lecz nie przez Amerykanów, ale przez rząd południowokoreański.

W cieniu wojny i polityki

Dalej robi się jeszcze ciekawiej.

Rosyjskie źródła ignorują historię prawosławnych kapelanów, którzy przebywali w Korei podczas wojny z lat 1950-53 między komunistyczną Północą (wspieraną przez Związek Sowiecki i Chiny) oraz Południem, wspieranym przez międzynarodową koalicję pod dowództwem USA i mającą dla swej misji akceptację ONZ. Wśród wojsk koalicji był także kontynгент z Grecji, któremu towarzyszyli prawosławni kapłani.

Opiekowali się również koreańskimi prawosławnymi – uchodźcami, którzy trafili do Busan. W pierwszych miesiącach wojny, gdy wojska Północy zajęły niemal cały Półwysep Koreański, Busan było jedynym z dwóch obszarów niezajętych przez komunistów i tym samym schronieniem dla chrześcijan, dla których Północ nie miała litości. Potem, po odbiciu Seulu, greccy kapłani-misjonarze zajęli się odbudową cerkwi i wspólnoty w stolicy Korei Południowej.

Po wojnie koreańska społeczność prawosławna znalazła się w trudnej sytuacji, pozostając bez żadnej jurysdykcji kościelnej. Nie chcąc wracać w ramiona Moskwy, 25 grudnia 1955 r. – po bożonarodzeniowej liturgii – seulscy prawosławni wysłali list do Ekumenicznego Patriarchatu w Konstantynopolu z prośbą o objęcie ich zwierzchnictwem. Fanar odpowiedział pozytywnie.

Prawosławie, ze względu na swoją hierarchiczną strukturę, nie miało łatwego pola do działania. Podczas gdy protestantkie wspólnoty stawiały jeden po drugim wielkie kościoły, gromadzące po tysiące wiernych, aż do 1964 r. prawosławni walczyli o odzyskanie swojego mienia – po wojnie rząd południowokoreański zarekwirował bowiem całą ziemię ich Kościoła, przy okazji nacjonalizowania mienia japońskiego rządu okupacyjnego.

Przełom przyszedł, gdy w 1975 r. na metropolicę Korei wyznaczony został Sotirios Trambas. To w dużej mierze dzięki jego

pracy (do 2009 r.), jak też dzięki wsparciu od napływających tu z różnych prawosławnych krajów emigrantów, dziś Koreański Kościół Prawosławny ma dziewięć parafii i dwa monaster.

W Seulu co tydzień zbiera się grupa wiernych mówiących językami z całego świata (w tym Rosjanie i Ukraińcy), aby uczestniczyć w liturgii odprowadzanej w języku koreańskim lub staro-cerkiewno-słowiańskim, a później spotkać się na agapie, wspólnym posiłku przy cerkwi.

Patriarchat Ekumeniczny nie może jednak spać spokojnie. Ostatnio moskiewska Cerkiew jest znowu w ofensywie – także na Półwyspie Koreańskim.

Zwrot ku Azji

Od 2012 r. można zaobserwować w rosyjskiej polityce zwrot ku Azji. Za jego symboliczny początek uznaje się szczyt Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) we Władystoku. Idea ta nabrała rozpędu zwłaszcza w obliczu wojny na Ukrainie, trwającej od 2014 r.

Choć Kreml swoje wysiłki koncentruje głównie na gospodarce, nie da się nie zauważyć wzmożonej aktywności rosyjskiej religijnej *soft power*. Jednym z przykładów jest nadanie arcybiskupowi Sołniecznogorska, Sergiuszowi, dość oryginalnego tytułu: Zwierzchnika Patriarchatu Moskiewskiego w krajach Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej.

Nazwa najwyraźniej zobowiązuje. Biskup odwiedza azjatyckie kraje – także te objęte działalnością misjonarzy patriarchy Bartłomieja – i buduje za pieniądze Moskwy równoległe jurysdykcje. W 2017 r. wraz z delegacją przyjechał też do Korei, z okazji publikacji książki patriarchy Moskwy Cyryla. Książka została przetłumaczona przez wznowioną rosyjską misję prawosławną w Korei.

Obecny metropolita prawosławny Korei, Ambrosios, zaprosił przybyśza na wspólną celebrację liturgii, ale spotkał się z odmową. Powodem jawnej niechęci rosyjskiej strony może być fakt, że funkcje kapłana dla mieszkających w Seulu prawosławnych sprawuje Ukrainiec, ksiądz Roman Kavchak. Konflikt jak dotąd nie dotknął mieszkających w Korei wiernych narodowości rosyjskiej, którzy w przytłaczającej większości pozostają lojalni wobec Koreańskiego Kościoła Prawosławnego (będącego, przypomnijmy, pod opieką Patriarchatu Ekumenicznego).

Między Tajwanem a Pjongjaniem

→ Gorzej sprawy mają się na Tajwanie. Podobnie jak w przypadku Korei, pierwsza tamtejsza wspólnota pod rosyjską jurysdykcją obumarła – i została wskrzeszona przez Patriarchat Ekumeniczny w 2001 r. Jednak w 2012 r. Moskwa przywróciła własną parafię. Dziś oba Kościoły są na Tajwanie skłócone i konkurują o wiernych.

Podobnie w ostatnim czasie zaognia się sytuacja w Hongkongu, Singapurze i Tajlandii.

Najbardziej jednak kuriozalna sytuacja ma miejsce w Korei Północnej. Oto w 2006 r. w jej stolicy, Pjongjangu, rząd północnokoreański zbudował cerkiew. Tajemnicą poliszynela jest, że Kim Dzong Iłowi (ojcu obecnego wodza) spodobała się sztuka cerkiewna, którą miał okazję zobaczyć podczas wizyty w Chabarowsku, i zapragnął ją również u siebie.

Zarówno Rosja, jak też Konstantynopol twierdzą, że przyczyniły się do budowy cerkwi w stolicy Korei Północnej. Oba Kościoły aspirują też do kontroli nad nią. Jeszcze do niedawna duchowni z Południa pozostawali w kontakcie z dwoma północnokoreańskimi księżmi (wybranymi ponoć na tę funkcję przez samego Ukochanego Przywódcę), a nawet składali wizyty w Pjongjangu. Jednak w 2017 r. łączność ostatecznie się urwała. Wygląda na to, że dziś do świątyni dostęp mają jedynie Rosjanie.

Będzie otwarta wojna?

Nadzieja Ukrainy na otrzymanie autokefalii wiąże się także z historycznymi związkami Kijowa z Konstantynopolem. To z nadania stolicy Bizancjum książę Włodzimierz w 988 r. otrzymał chrzest. Choć od 1686 r. Moskwa podporządkowała sobie metropolię kijowską, to z kanonicznego punktu widzenia Konstantynopol pozostaje jego Kościołem matką. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa panowała bowiem zasada „kto pierwszy, ten lepszy”. Nawet w przypadku nieudanych wypraw ewangelizacyjnych teren raz objęty działaniami konkretnego biskupstwa miał pozostawać w jego mocy na zawsze.

Zawirowania historyczne nierzadko wywracały ten porządek. W przypadku Azji Patriarchat Ekumeniczny prze-

jmował więc często wspólnoty pozostawione same sobie, które nie mogły (lub nie chciały) liczyć na wsparcie Cerkwi w Związku Sowieckim, nie tylko stłamszonej, ale – jak dziś wiemy – intensywnie infiltrowanej i kontrolowanej przez sowiecką tajną policję.

Jeśli jednak dziś Bartłomiej I podejmie decyzję – przez odwołanie do swojego przywileju bycia zwierzchnikiem Kościoła matki – aby przyznać Ukrainie autokefalię, to ryzykuje, że Moskwa odpowie mu tym samym w Azji. A to byłaby już otwarta wojna.

W wywiadzie dla greckiego portalu „Amen” koreański metropolita Ambrosios ubolewał niedawno na postępowanie Moskwy, wskazując na destrukcyjne działanie ideologii nacjonalistycznej, która „pochodzi od Złego, ponieważ stawia interesy narodowe ponad jedność Kościoła”. „Pomyśl, co się stanie, gdy Rosjanie pobudują parafie równoległe do naszych? – mówił. – Nasi współbracia z Rumunii, Bułgarii i Serbii mogą zrobić to samo, przecież też jest ich wielu w Korei. Gdyby do tego doszło, a oby nie, wtedy stracimy nasze zaufanie w koreańskim społeczeństwie”.

Dwie rodziny

Tymczasem obserwując obecną sytuację w prawosławiu, niektórzy analitycy dochodzą do przekonania, że podział na dwa równoległe światy prawosławne staje się coraz bardziej możliwy. Aleksander Sołdatow uznany badacz prawosławia, uważa, że będą to jakby dwie rodziny: jedna liberalna, ekumeniczna i prozachodnia, druga zaś konserwatywna, ekskluzywistyczna i autarkiczna.

Na razie rozpad nie został jeszcze przypieczętowany, być może dialog zwycięży. Pewny jest tego prawie 90-letni Sotirios, który dziś mieszka w monasterze Przemienienia Pańskiego na koreańskiej prowincji i jest uważany za najstarszego misjonarza prawosławnego na świecie. Gdy go spotkałem niecały rok temu, przekonywał, że nic wielkiego się nie dzieje. W końcu Cerkiew przechodziła już nie takie problemy.

Jednak, patrząc na temperaturę emocji i ton wypowiedzi płynących z Moskwy w ostatnich dniach, bardziej prawdopodobna wydaje się prognoza Sołdatowa.

© ROMAN HUSARSKI

Mauritius kontra Imperium

WOJCIECH JAGIELSKI

Dawna kolonia sądzi się z dawną metropolią o wyspy pośrodku Oceanu Indyjskiego. Jedna z nich to dzierzawiona przez USA Diego Garcia – dziś strategiczna baza wojskowa.

AMERYKANIE NAZYWAJĄ TĘ WYSPĘ SWOIM „niezatapialnym lotniskowcem”. Zazdroszczą im jej wszystkie mocarstwa.

Położona na środku Oceanu Indyjskiego – w równej niemal odległości od afrykańskiego Zanzibaru, bliskowschodniego Omanu, indyjskiego Komorynu i indonezyjskiej Jawy – Diego Garcia znakomicie nadaje się na morsko-lotniczą bazę wojskową. Kto ją kontroluje, trzyma w szachu innych, a sam jest niedostępny.

Formalnie właścicielami wyspy są Brytyjczycy, ale od ponad pół wieku zarządzają nią właśnie Amerykanie, płacąc za dzierżawę symbolicznego dolara rocznie. Przejmując pod koniec lat 60. XX w. wyspę od swoich brytyjskich sojuszników, zapewne nie przypuszczali, jak bardzo przyda im się Diego Garcia – tych zaledwie kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych.

Wysepka pośrodku oceanu

Lata 70. XX stulecia były dla USA pasmem porażek w tzw. wojnach zastępczych – gorących frontach konfrontacji Wschodu i Zachodu. Wietnam, przejęcie władzy w Kambodży przez Czerwonych Khmerów, obalenie cesarza Hajle Sellasjego w Etiopii przez wspieranych przez Moskwę oficerów, zwycięstwa lewicowych partyzantek w Mozambiku i Angoli... Fatalną dekadę zamknęły zwycięstwo sandinistów w Nikaragui, islamska rewolucja w Iranie i inwazja sowiecka na Afganistan. Baza na wyspie Diego Garcia znalazła się na pierwszej linii zimnowojennego frontu.



TERRY BOUGHTON / AFP / EAST NEWS

W 2006 r. grupa 102 mieszkańców wysp Czagos, wysiedlonych w latach 60. i 70. XX wieku, otrzymała zgodę na odwiedzinę ziemi rodzinnej. Na zdjęciu z lewej: Marie Rita Isou w towarzystwie opiekujących się nią brytyjskich marines na Peros Banhos, jednej z wysp archipelagu. Z prawej: zdjęcie lotnicze wyspy Diego Garcia z lipca 2013 r.; w środkowej części atolu widoczne amerykańskie lotnisko wojskowe.



GETTY IMAGES

W latach 70. i 80., gdy Bliski Wschód zaczął się buntować przeciw Zachodowi, podnosić ceny ropy naftowej i szantażować przerwaniem dostaw bezcennego paliwa, Amerykanie z Diego Garcii pilnowali bezpieczeństwa morskich szlaków, zwłaszcza tankowców płynących przez cieśninę Ormuz. Na początku lat 90., w pierwszej wojnie z Irakiem (o Kuwejt, zajęty przez Saddama Husajna), z lotnisk w bazie na Diego Garcii amerykańskie bombowce startowały do nalotów na Bagdad. Na początku obecnego stulecia ruszały do powietrznych rajdów nad Afganistan i znów nad Irak. Na wyspę przywzono też wziętych do niewoli mudżahedinów, aby z dala od postronnych przesłuchiwać jeńców metodami uznawanymi na Zachodzie za barbarzyńskie i zakazane.

Nie mogąc odebrać Amerykanom „lotniskowca”, z którego strategiczne bombowce mogły dolecieć nie tylko nad Bliski Wschód, ale też nad Tajwan, w czasach zimnej wojny Związek Sowiecki podburzał przeciw nim zaprzyjaźnionych wtedy Hindusów. Indie, same uważające się za światowe mocarstwo, krzywo patrzyły na obecność Amerykanów na Oceanie Indyjskim i aby się ich pozbyć, żądały ogłoszenia oceanu zdemilitaryzowaną „strefą pokoju”. Dziś Hindusi przyjaźnią się z Amerykanami, a nawet uczestniczą wraz z Japończykami w urządzanych na Diego Garcii wspólnych ćwiczeniach wojskowych.

Amerykańskiemu „lotniskowcowi” zagroził za to wyspiarski mikrus Mauritius:

upiera się, że to jemu i tylko jemu należy się zagarnięty przed laty przez Brytyjczyków archipelag Czagos, wraz z Diego Garcia – największą z pięciu tuzinów wysp.

We wrześniu tego roku sprawa trafiła do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

Trędowni, koloniści i niewolnicy

Brytyjczycy przejęli wyspy Czagos wraz z Mauritiusem jako wojenną zdobycz od Francuzów na początku XIX w., po zwycięstwie nad Napoleonem Bonapartem. Francuzi jako pierwsi uznali, że zagubione na środku oceanu wyspy są coś warte.

Wcześniejsi przybysze z Europy – Portugalczycy, Hiszpanie i Holendrzy – uważali je za pozbawione znaczenia. Poza palmami kokosowymi nie było tam nic. Dopiero pod koniec XVIII w. Francuzi zaczęli wywozić tam trędownych, którzy stali się pierwszymi mieszkańcami wysp.

Później powstały plantacje kokosowe i zaczęto sprowadzać niewolników z Madagaskaru, Sumatry i Indii. To ich potomkowie, a także potomkowie francuskich zarządców i właścicieli niewolników, dali początek kreolskiemu ludowi z archipelagu Czagos. A w zasadzie z Diego Garcii, jedynej zamieszkałej na dobre wyspy.

Brytyjczycy zarządzali Diego Garcią oraz archipelagiem z Mauritiusa, uważając je za jedną wyspiarską posiadłość. Ale gdy po II wojnie światowej doszli do wniosku, że kolonie to przeżytek i ciężar dla państwa, i gdy postanowili się z nimi rozstać, przed

przyznaniem w 1968 r. niepodległości Mauritiusowi odłączyli administracyjnie od niego wyspy Czagos i ogłosili je brytyjskim terytorium zamorskim. Zrobili to wyłącznie po to, żeby wydzierzawić Diego Garcie Amerykanom na wojenną bazę.

Amerykanie chcieli wyspę, ale bezludną, żeby nikt postronny nie miał dostępu do ich wojskowych tajemnic, nikt nie podnosił buntów przeciwko obecności i szarogęszeniu się cudzoziemskich przybyszów. Powiedzieli więc Brytyjczykom, że przed oddaniem im wyspy muszą jeszcze pozbyć się z niej Kreolów. W 1965 r. rząd Wielkiej Brytanii za trzy miliony funtów kupił zatem wyspy Czagos od władz kolonii Mauritiusa, a zaraz potem wykupił od prywatnych właścicieli wszystkie plantacje palm kokosowych, żeby je potem jedna po drugiej pozamykać.

Pozbawieni zarobku robotnicy sami wyjeżdżali z wysp za chlebem. Pozostałym Brytyjczycy obiecywali złote życie na Mauritiuście czy Seszelach. Opornym zaś uprzykrzali życie na Diego Garcii, by zmusić ich do wyjazdu. Najbardziej upartych zapędzono w końcu na statki i wywieziono.

W ten sposób do 1973 r. z wysp – odebranych szykującemu się do niepodległości Mauritiusowi i przekazanych Amerykanom – usunięto około półtora tysiąca ludzi. Część z nich trafiła na Mauritius, część na Seszele (inną brytyjską kolonię wyspiarską na Oceanie Indyjskim, która niepodległość ogłosiła w 1976 r.). →

→ Nieliczni Kreole z Diego Garcii i archipelagu Czagos dotarli aż na Wyspy Brytyjskie. Wszędzie klepali biedę i tęsknili za swoimi wioskami pośród kokosowych palm.

Zanim jeszcze wypędzono Kreolów, 30 grudnia 1966 r. Wielka Brytania podpisała z USA umowę dzierżawną i na 50 lat wyspa Diego Garcia przeszła w ręce Amerykanów. Ustalono, że jeśli żadna ze stron umowy nie wypowie, to w grudniu 2016 r. zostanie ona automatycznie przedłużona na kolejnych 20 lat. Tak też się stało.

Londyn kontra Kreole

Wysiedlonym z Diego Garcii i sąsiednich wysp, a także ich potomkom nie udało się zapuścić korzeni na Mauritiusie ani na Wyspach Brytyjskich. Od lat domagają się od rządów w Londynie prawa powrotu albo odszkodowania za tułaczkę. Dochodzą tego w londyńskich sądach, a te przyznają im rację. Sędziowie z trybunałów rozmaitych instancji nieraz orzekali, że wysiedlenie Kreolów było bezprawne i powinno się im pozwolić wrócić do domu. Na koszt brytyjskiego podatnika.

Jednak londyńskie rządy, odwołując się od kolejnych orzeczeń albo stosując kruczki prawne jeszcze z przepisów kolonialnych, odmawiają zastosowania się do wyroków. Żeby uniemożliwić wygnanie powrót na Diego Garcie, Wielka Brytania ogłosiła nawet cały archipelag Czagos morskim parkiem narodowym, w którym nie wydaje się pozwoleń na budowę domów. Z kolei na żądania odszkodowań odpowiada, że wysiedleńcy otrzymali już po 6 tys. funtów zapomogi na urzędze-

nie się na obczyźnie i żadne dodatkowe odszkodowania im się nie należą. Dodatkowo Londyn wypłacił władzom Mauritiusa 650 tys. funtów na akcję osiedleńczą przybyszów z archipelagu Czagos.

Dziesięć lat temu brytyjski rząd na swój koszt urządził grupie Kreolów z Czagos podróż z Londynu na wyspy nad równikiem. Ale na następne wycieczki, a co dopiero pobyt obcych osadników – za takich zaś USA uważają dawnych tubylców – na Diego Garcii ani na żadnej z wysp archipelagu nie zgadzają się Amerykanie. Zresztą dzierżawne porozumienie z Londynem sprzed pół wieku daje im do tego prawny tytuł.

Ale roszczenie do Diego Garcii i reszty archipelagu Czagos zgłosił po latach także dawny właściciel – Mauritius.

„Wyspy albo niepodległość”

Przywódcy tej wyspiarskiej republiki – uważanej za najbogatszą i najlepiej rządzoną w całej Afryce (wprawdzie Mauritius leży 900 km na wschód od Madagaskaru, ale traktowany jest jako część Afryki) – twierdzą, że Londyn złamał międzynarodowe prawo. I to nie tylko wysiedlając ludność archipelagu Czagos, ale też odłączając go od Mauritiusa. Prawo to zabrania bowiem rozbioru krajów w przeddzień przyznania im niepodległości.

„Jestem jedynym żyjącym spośród tych, którzy w 1965 r. brali udział w rokowaniach mających przynieść Mauritiusowi niepodległość” – mówił we wrześniu przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości sir Anerood Jugnauth, minister obrony Mauritiusa, dobiegający dziewięć-

dziesiątki trzykrotny premier tej wyspiarskiej republiki. „Doskonale pamiętam – argumentował – że do Londynu przyjechało nas pięciu, a przedstawiciele brytyjskiego rządu nie dali nam wiele do wyboru”.

Jugnauth twierdzi, że premier Harold Wilson nie owijał w bawełnę. „Albo wyspy, albo niepodległość” – miał oznajmić prywatnie premierowi Mauritiusa Seewoosagurovi Ramgoolamowi (Jugnauthowie i Ramgoolamowie to polityczne dynastie, których przedstawiciele na przemian rządzą wyspą). „Przystaliśmy na to, bo co innego mogliśmy zrobić?” – skarżył się w Hadze Jugnauth. „To nie były rokowania równych z równymi. Przymuszono nas do tej ugody, a proces dekolonizacji Mauritiusa nie został zakończony”.

Opinię tę podzieliło Zgromadzenie Ogólne ONZ, które (głosami 94 do 15, przy 65 wstrzymujących się) w 2017 r. postanowiło zwrócić się do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości o opinię, czy podczas dekolonizacji Mauritiusa i wysp Czago, Londyn złamał prawo, a jeśli tak, to jakie mogą być tego dzisiaj skutki.

W 1968 r. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych trzykrotnie ostrzegło Wielką Brytanię, że dzieląc swe kolonie w Mauritiusie przed przyznaniem mu niepodległości, narusza rezolucję ONZ. Brytyjczycy zignorowali wtedy te ostrzeżenia.

„Mauritius wziął pieniądze”

Londyn przekonuje, że Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, który wydaje wyroki w sporach wyłącznie międzypa-



stwowych i za zgodą wszystkich stron sporu, w ogóle nie powinien zajmować się wyspami Czagos. Nie powinien nawet wydawać w ich sprawie opinii, choć miałyby ona jedynie charakter doradczy i nie byłaby dla nikogo wiążąca.

Brytyjczycy przyznają dziś, że wysiedlanym Kreolom stała się krzywda, ale nie da się cofnąć czasu. Londyn zaprzecza skargom Mauritiusa, że został zmuszony do ugody. Przeciwnie: przywódcy Mauritiusa przyjęli zapłatę za wyspy, a w 1982 r., już jako władze niepodległego od 14 lat państwa, podpisali z Wielką Brytanią układ, w którym sprawę wysp Czagos uznali za „całkowicie i ostatecznie” załatwioną.

Brytyjczycy obawiają się, że orzeczenie sędziów z Hagi może być dla nich niekorzystne. I choć do niczego ich nie przymusi, będzie prestiżową porażką. Podobną do tej sprzed roku, gdy brytyjskim dyplomatom nie udało się doprowadzić do reelekcji sędziego Christophera Greenwooda na jednego z 15 sędziów trybunału (po raz pierwszy w historii trybunału Wielka Brytania nie ma w nim żadnego sędziego).

Z 22 państw, które zgłosiły chęć udziału w postępowaniu trybunału w sprawie wysp Czagos, tylko Stany Zjednoczone, Australia i Izrael trzymają stronę Brytyjczyków. Pretensje Mauritiusa do spornych wysp popierają m.in. jego afrykańscy kraje z Botswany, Kenii czy Zambii, a także Tajlandia, Gwatemala, Serbia i Cypr, jak też liczące się w międzynarodowej polityce Nigeria, RPA, Brazylia, Indie oraz Niemcy.

Zwłaszcza dyplomaci z RPA zapowiadają, że poruszą niebo i ziemię, by ostatecznie kolonia Wielkiej Brytanii na Czarnym Łądzie została jej odebrana.

Gdy przestaną być potrzebne

Jeszcze jako premier (w 2017 r. przekazał to stanowisko i władzę synowi Pravin-dowi) sir Jugnauth żądał od Wielkiej Brytanii, żeby zwróciła Mauritiusowi wyspy Czagos, tak jak niedawno zwróciła Hongkong Chinom.

Aby uspokoić Amerykanów, rządzący z Mauritiusa powtarzają, że nie mają nic przeciwko dalszemu dzierżawieniu przez nich Diego Garcii ani przeciwko utrzymaniu na niej bazy wojskowej.

Brytyjczycy zaś przypominają Mauritiusowi, że w podpisanej umowie jasno zobowiązali się przeciwieństwo do zwrotu wysp, gdy tylko przestaną być im potrzebne.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

Oskarżona Sara

MARCIN ŻYŁA

Aresztowanie znanej aktywistki wzbudziło w Grecji dyskusję, gdzie kończy się pomoc migrantom, a zaczyna wspomaganie szmuglerów.

WTĘDY BYŁA BOHATERKĄ: POD KO-
niec sierpnia 2015 r., kiedy gu-
mowy ponton, którym płynęła z Turcji
do Grecji, zaczął nabierać wody, 19-let-
nia Sara Mardini wskoczyła do wody.
Przez trzy i pół godziny, z młodszą sio-
strą Yusrą i dwójką innych współ-
pasażerów, pchała ponton siłą własnych
mięśni – prawdopodobnie tylko dzięki
temu osiemnastu syryjskich uchodź-
ców dotarło żywych do brzegów wyspy
Lesbos.

Później siostry Mardini, uciekinierki
z Damaszku, przez Macedonię i Serbię
przedostały się na Węgry, gdzie spędziły
kilka nocy na budapeszteńskim dworcu
Keleti. Ostatecznie przyznano im azyl
w Niemczech. Tam zyskały sławę – tym
większą, że latem 2016 r. Yusra, profes-
jonalna pływaczka, wystąpiła pod flagą
olimpijską na igrzyskach w Rio.

I dobro, i zło

Dziś Sarę Mardini greckie władze uznają
za przestępczynię. 21 sierpnia aresztowa-
ły ją na Lesbos, dokąd wróciła jako
wolontariuszka ERCI, organizacji po-
za rządowej pomagającej migrantom. Zar-
zuty są poważne: członkostwo w orga-
nizacji przestępczej, współpraca z prze-
mytnikami ludzi oraz pranie brudnych
pieniędzy. Policja utrzymuje, że człon-
kowie ERCI m.in. podsłuchiwali komu-
nikację radiową między okrętami greckiej
marynarki, dowiadując się w ten
sposób o lokalizacji łodzi z migrantami.
A także, że kontaktowali się bezpośred-
nio z przemytnikami. Śledztwo, które
doprowadziło do zatrzymania Mardini
(oraz dwóch innych pracowników orga-
nizacji), trwało od pół roku.



ISA FOLTIN / GETTY IMAGES

Yusra i Sara Mardini, 2016 r.

Adwokat kobiety utrzymuje, że jest niewinna. Także Yusra Mardini, którą UNHCR, oenzetowska agen-
cja ds. uchodźców, mianowała przed
rokiem „ambasadorką dobrej woli”,
uważa, że jej siostra padła ofiarą greckiej
nagonki na organizację pozarządową.
Na Lesbos – wyspie na Morzu
Egejskim położonej niedaleko wybrzeża
Turcji, na którą w tym roku dotarło kil-
kanaście tysięcy uchodźców i migra-
ntów – w 114 organizacjach pozarząd-
owych pracuje ponad 7 tys. wolontari-
uszy. Spyros Galinos, burmistrz wy-
spy, mówi o „dobru i złu” oraz cienkiej
granicy dzielącej pomoc na morzu od
współpracy z przestępcami, którzy za-
rabiają na podróży migrantów.

Niezależnie od tego, jak skończy się
sprawa Sary Mardini (a greckie władze
wydają się zdeterminowane, aby do-
prowadzić do procesu), zarzuty pod jej
adresem godzą w inne organizacje po-
mocowe w rejonie Morza Śródziem-
nego. Wielu obrońców praw człowieka
obawia się, że pomoc uchodźcom i mi-
grantom na morzu zaczyna być krymi-
nalizowana. Zaczęło się we Włoszech,
gdzie obecnie rządzący politycy mówią
wprost o prywatnych „łodziach-tak-
sówkach”, przywożących do Europy
migrantów. „Istnieje obawa, że [w spra-
wie Mardini] mamy do czynienia z jesz-
cze jednym przykładem, gdy państwo
usiłuje zdusić przejawy społeczeństwa
obywatelskiego” – powiedział dzienni-
kowi „The Guardian” Jonathan Cooper,
prawnik specjalizujący się w prawach
człowieka. To jednak nie wyklucza, że
zarzuty pod adresem Sary Mardini mogą
się potwierdzić.

© ©

POMÓWMY O CZYMŚ INNYM

Matematyk Theodore Hill ujawnił kulisy trwającej od półtora roku walki o opublikowanie artykułu naukowego, którego jedyną wadą było poruszone w nim zagadnienie. Chodzi o drobną różnicę między płciami.

ŁUKASZ LAMŻA



JEST TO JEDNA Z TYCH HISTORII, KTÓRE jeżą włos na głowie – i chodzi zarówno o detale, jak o to, co mówi na temat świata, w którym żyjemy. Matematycy Theodore Hill i Sergiej Tabacznikow napisali w 2017 r. artykuł na temat przypuszczalnego pochodzenia różnic genetycznych pomiędzy mężczyznami i kobietami. Od tamtej pory spotkały ich rzeczy następujące: tekst został najpierw przyjęty, a potem nagle odrzucony przez czasopismo naukowe; Tabacznikow wycofał się z publikacji po serii gróźb, jakie usłyszał na uczelni; agencja finansująca badania, National Science Foundation, zażądała usunięcia swojej nazwy z treści artykułu; tekst został przyjęty do druku przez nowe czasopismo, jednak na zapowiadanej stronie w ostatniej chwili znalazł się zupełnie inny artykuł.

Tydzień temu przelała się czara goryczy i 7 września Hill opublikował szczegółowy opis całej historii, zawierający wyimki jego korespondencji z przełożonymi, redaktorami, a także matematykami i, zwłaszcza, matematyczkami. Obraz, który wyłania się z tej relacji, jest przerażający. Co się, u licha, wydarzyło?

La petite différence

W naukach biologicznych od paru stuleci przewija się hipoteza (wspomniana choćby przez Darwina, który mógł ją przeczytać w pismach niemieckiego anatoma Johanna Meckela z początku XIX w.), że pod względem niektórych cech osobniczych samce wykazują większe zróżnicowanie od samic. Przypuszczenie to określa się fachowo jako „hipotezę o większym zróżnicowaniu samców” (Greater Male Variability Hypothesis, GMVH), czasem krócej jako „hipotezę zróżnicowania” (*variability hypothesis*); ja będę używał też czasem określenia „zmiennność” w miejsce „różnorodności”. Co istotne: mowa tu nie o średniej wartości danej cechy, lecz o stopniu jej zmienności (co często wyraża się poprzez tzw. odchylenie standardowe, będące miarą tego, jak bardzo grupa wyników odbiega od średniej). W przypadku inteligencji nie, oznaczałoby to więc że mężczyźni mają średnio wyższą inteligencję, lecz raczej, że większy procent mężczyzn ma inteligencję skrajnie niską i skrajnie wysoką.

W artykule „Greater Intrasex Phenotype Variability in Males Than in Females is a Fundamental Aspect of the Gender Differences in Humans” („Większa różnorodność fenotypu u mężczyzn niż

u kobiet jest fundamentalnym aspektem różnic płciowych u ludzi”) z 2008 r. opisano ów efekt na podstawie olbrzymiej próby badawczej: 48 tys. niemowląt, 575 nastolatków, 2700 dorosłych oraz wyników 222 tys. standaryzowanych egzaminów studenckich. Szczególnie przekonujące są analizy tych parametrów, które łatwo zmierzyć. Ot, wzrost. W tym przypadku różna jest oczywiście sama średnia (wyprzedzając pytania statystyków, tu: mediana), wynosząca 178 cm dla mężczyzn i 166 cm dla kobiet (mówimy o dość wysokim społeczeństwie norweskim). Hipoteza GMVH mówi jednak o rozstrzale; odchylenie standardowe wyniosło 6,9 cm dla mężczyzn i 6,2 cm dla kobiet. Przykładowy skutek: nawet mimo większego średniego wzrostu mężczyzn, więcej jest mężczyzn mających poniżej 150 cm wzrostu niż kobiet w tym samym przedziale.

Inny przykład: krew. Autorzy zbadali wyniki standardowego badania 2700 osób w wieku 18-90 lat – mowa tu o 31 parametrach, takich jak poziom magnezu, żelaza czy cholesterolu. W 13 przypadkach zmienność była wyraźnie wyższa u mężczyzn, a tylko w 7 u kobiet (w 11 różnica była nieistotna statystycznie).

Jeszcze jeden przykład: wynik biegu na 60 m nastolatków (13-16 lat). Chłopcy mieli wyniki w zakresie 7,6-12,4 s, a dziewczęta: 8,4-12,1 s. Wzorec jest więc ten sam: wyniki mężczyzn są bardziej rozstrzelone, wyniki kobiet równiejsze.

Hipoteza jak każda inna?

Czy hipoteza różnorodności została jednoznacznie potwierdzona? Nie. Istnieją badania, które wydają się pokazywać czarno na białym, że zmienność u samców jest wyższa niż u samic (jak cytowane powyżej), ale inne temu przeczą. Może być też tak, jak we wspomnianym przypadku parametrów krwi: prawidłowość ta mogłaby dotyczyć tylko niektórych zmiennych, przy czym dla hipotezy istotne byłoby wtedy to, aby różnorodność była częściej większa u mężczyzn.

Dla omawianej tu historii najistotniejsza jest kwestia różnorodności w zakresie możliwości intelektualnych. Dziś na podstawie lektury dużych zbiorczych badań (tzw. meta analiz) z ostatnich 10-15 lat można ostrożnie orzec, że przynajmniej w niektórych aspektach ludzkiej inteligencji mierzonych w standaryzowanych testach – zwłaszcza inteligencji matematycz-

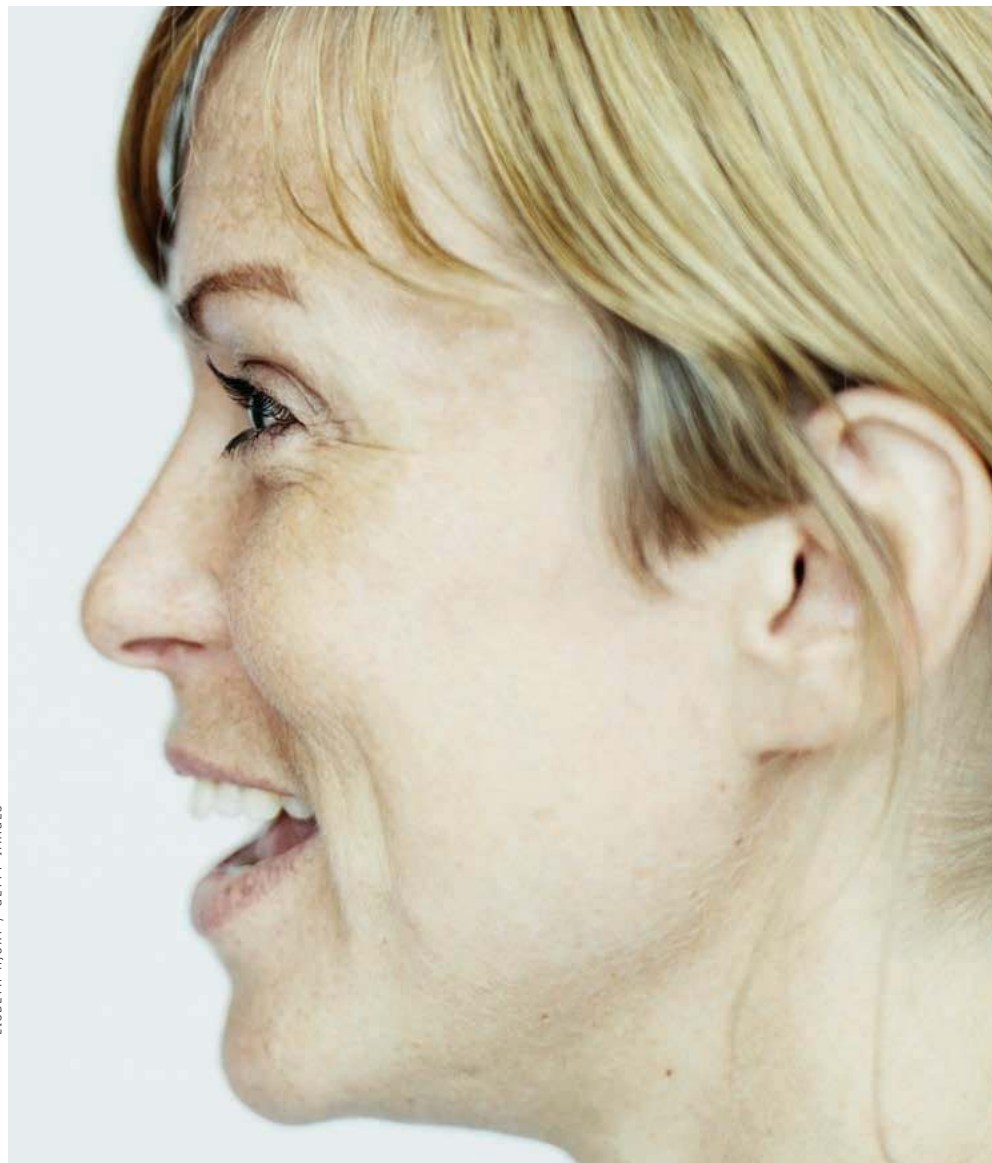
nej i przestrzennej – mężczyźni prawdopodobnie wykazują się większą różnorodnością niż kobiety. Badania takie nie są jednak łatwe, choćby dlatego, że inteligencji nie da się zmierzyć z taką łatwością jak poziomowi bilirubiny we krwi.

Prawdę mówiąc, prawdziwość tej hipotezy nie powinna mieć większego znaczenia. Przecież w nauce rutynowo omawia się i analizuje hipotezy, których jeszcze nie dowiedziono, prawda? Ba, można by wręcz powiedzieć, że na tym właściwie nauka polega! W tym przypadku wymiar, powiedzmy, „polityczny” zagadnienia stoi jednak na drodze zwykłym procedurom naukowym.

Hipoteza różnorodności wpisuje się w szeroki i rwący nurt dyskusji na temat różnic płciowych. Przez długie lata główną odpowiedzią na pytanie o przyczyny ewidentnej nadreprezentacji mężczyzn w górnych warstwach majątności, władzy czy struktury akademickiej były

„różnice kulturowe” – w praktyce oznaczające niewątpliwy i doskonale dziś potwierdzony wpływ stuleci seksizmu. Na poparcie tej tezy mamy stopy wysokiej jakości badań. Ale hipoteza GMVH każe na nowo rozważyć bardziej kłopotliwy aspekt genetyczny: gdyby była prawdziwa, oznaczałoby to, że nawet wtedy, gdy mężczyźni i kobiety są średnio równi pod względem danej cechy, powinniśmy się spodziewać, że będzie w społeczeństwie większa populacja mężczyzn o skrajnie wysokiej wartości tej cechy – i o skrajnie niskiej. Więcej jest bowiem nie tylko mężczyzn noblistów, ale i mężczyzn bezdomnych; mężczyzn arcymistrzów szachowych, ale i tych mających poważne deficyty intelektualne. W więzieniach jest więcej mężczyzn niż kobiet. Mężczyźni częściej popadają w uzależnienia od substancji. Trudno to wyjaśnić przy pomocy kulturowo zakorzenionego seksizmu.

→



LIBBETH HJORT / GETTY IMAGES

→ Artykuł Hilla i Tabacznikowa stanowi w istocie sugestię, że w populacji istot dwupłciowych, które kierują się określą strategią reprodukcyjną (o czym niżej), większa różnorodność samców musi się z czasem wyłonić, co mogłoby częściowo tłumaczyć większą reprezentację mężczyzn w zawodach wymagających szczególnie wysokiej inteligencji. Nie trzeba dodawać, że można pośród tych zawodów odnaleźć takie jak matematyk, dziekan, redaktor czasopisma naukowego, recenzent artykułów matematycznych...

Idźmy już może po kolei.

Recenzja prawie naukowa

Na początku 2017 r. Theodore Hill, zasłużony specjalista w dziedzinie teorii prawdopodobieństwa, oraz geometra Sergiej Tabacznikow napisali artykuł „An Evolutionary Theory for the Variability Hypothesis” („Ewolucyjna teoria dla hipotezy różnorodności”). Przedstawili dość proste w istocie rozumowanie. Jeżeli w populacji składającej się z dwóch płci – które nazywają, jak to matematycy, A i B – jedna płć (powiedzmy A) jest bardziej selektywna (tj. wybiera do rozmnażania się wyłącznie osobniki płci B o szczególnie wysokich wartościach pożądanego cechu), to z czasem osobniki o płci B będą cechowały się większą zmiennością tych cech. Inaczej mówiąc: większa zmienność u samców miałyby, zgodnie z ich modelem, być skutkiem tego, że samice są bardziej wybiórcze niż samce i decydują się mieć potomstwo tylko z osobnikami należącymi do, powiedzmy, górnych 25 proc. populacji ze względu na pewne cechy.

I tyle. Dużo wzorów i wykresów, parę ścisłych dowodów, imponująca lista cytatów na korzyść hipotezy różnorodności, wybrana z dziesiątków rozmaitych źródeł naukowych.

Artykuł został najpierw wysłany do czasopisma „Mathematical Intelligencer”. Nie jest to typowe czasopismo naukowe,

W nauce była, jest i zawsze być musi tylko jedna zasada

– dyskutować można na każdy temat. W tym przypadku „polityczny” wymiar zagadnienia stoi jednak na drodze zwykłym procedurom naukowym.

raczej forum akademickie, na którym matematycy publikują prowokujące, czasem żartobliwe teksty. Redaktor naczelna pisma, Marjorie Wikler Senechal, tak napisała w upublicznionym przez Hilla mailu: „z zasady lubię budzić kontrowersje, a mało tematów rodzi ich więcej niż ten”. Przy jej wsparciu 3 kwietnia 2017 r. artykuł został przyjęty do druku, a w maju – jak to jest w zwyczaju – robocza wersja tekstu została upubliczniona w serwisie www.arXiv.org, aby społeczność matematyków mogła się z nim zapoznać przed publikacją.

I tu zaczęły się schody. 16 sierpnia do Tabacznikowa zgłosiła się przedstawicielka organizacji Women in Mathematics (WIM), zajmującej się „wspieraniem kobiet matematyków” na Penn State University, gdzie pracuje geometra. Autorka maila przestrzegła go, że choć sama „popiera otwarte mówienie o kontrowersji”, ktoś mniej biegły w matematyce mógłby odebrać jego artykuł jako głos poparcia dla „kontrowersyjnych, potencjalnie sexistowskich poglądów”. Wywiązała się korespondencja mailowa i 4 września Tabacznikow pisał już do Hilla z wyraźnym niepokojem: „Skandal na naszym wydziale nie wydaje się cichnąć”. Na spotkaniu wydziału matematycznego dziekan przestrzegł, że wolność słowa stoi czasem w sprzeczności z „innymi wartościami, które wyznaje Penn State”, a koleżanka po fachu stwierdziła wprost, że sugestia, iż „kobiety mają mniejszą szansę na osiągnięcie sukcesu w matematyce”, jest przejawem uprzedzenia.

Tłumaczenia nie pomogły. Badania nad hipotezą różnorodności porównano do naukowego rasizmu, a samemu Tabacznikowowi zasugerowano usunięcie swojego nazwiska z listy autorów „dla świętego spokoju”.

Dzień 8 września 2017 r. Hill i Tabacznikow zapamiętają na długo. W porannym mailu National Science Foundation – duża amerykańska agencja finansująca naukę, podobna do Fundacji Nauki Polskiej – zwróciła się do nich z żądaniem usunięcia z sekcji podziękowań wzmianki, że badania były prowadzone przy wsparciu NSF. Jest to sytuacja rzadka, w zasadzie bezprecedensowa, a umieszczanie tego typu informacji jest wręcz obowiązkiem naukowców, którzy otrzymują granty badawcze. Zdezorientowani autorzy zgodzili się, przypuszczając, że zadecydowały mało istotne względy formalne.

Po kilku godzinach przyszedł jednak drugi mail, od Marjorie Senechal, która „z głębokim żalem” poinformowała o wycofaniu artykułu z publikacji. Jest to sytuacja zdarzająca się właściwie tylko w przypadkach ujawnionego oszustwa naukowego i nigdy bez formalnego postępowania. Przyjęty formalnie do druku artykuł to w świecie akademickim świętość. Senechal przyznała wprost, że nie ma do tekstu zastrzeżeń merytorycznych, jednak otrzymała szereg ostrzeżeń, że publikacja spotka się z „ekstremalnie silną reakcją” i że artykuł może przynieść czasopismu złą prasę.

Co zaszło w międzyczasie? Późniejsze dochodzenie Hilla wykazało, że matematyczka Amie Wilkinson z Uniwersytetu w Chicago dowiedziała się o planowanej publikacji artykułu i rozpoczęła skierowaną przeciwko niemu kampanię mailową, w którą włączyła również swego ojca – zasłużonego matematyka – oraz innych znajomych akademików.

A to nie koniec przygód. 13 października Mark Steinberger, redaktor naczelny „New York Journal of Mathematics” (NYJM), wyraził chęć publikacji kontrowersyjnego artykułu. Na tym etapie Tabacznikow, bojąc się o swoją karierę, wykreślił już swoje nazwisko z listy autorów i na placu boju pozostał tylko Hill, który – jak sam pisze – jako emeryt i weteran wojny w Wietnamie nie dał się tak łatwo zastraszyć. 6 listopada publikacja została formalnie potwierdzona i autor odetchnął z ulgą. „NYJM” ukazuje się online i w ciągu kilku godzin badania zostały upublicznione.

Radość była jednak przedwczesna. Po trzech dniach artykuł zniknął, a kolejnych parę dni później na jego miejscu – na tych samych stronach tego samego numeru „NYJM” – pojawił się niezwiązany z tematem tekst innych autorów. Wszelkie ślady po artykule Hilla znikły z internetu i do



ŁUKASZ LAMŻA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie”

Radia TOK FM w środę 19 września o godz. 15.40
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

dziś pozostaje po nim tylko kopia na serwisie arXiv. Ewaporacja.

Okazuje się, że znów interweniowała Wilkinson. Tym razem pomógł jej mąż, Benson Farb, będący nie tylko matematykiem, ale, jak się okazuje, członkiem redakcji „NYJM”. Steinberger przyznał potem wstydliwie, że otrzymał tyle pogroźek, włącznie z groźbą rezygnacji ze współpracy większej grupy członków kolegium redakcyjnego, że postanowił po prostu usunąć kłopotliwego gościa z lamów.

Tymczasem kampania medialna nabrała pełnego rozmachu, zwłaszcza na Facebooku. W jednym z szczególnie emocjonalnych wpisów z kwietnia 2018 r. profesor Wilkinson zagroziła, że usunie ze swojej listy znajomych wszystkich ludzi, którzy wspierają publikację nieszczonego artykułu.

A fe, nieładnie tak mówić!

Historia Hilla to wyjątkowo spektakularny przypadek szerszego zjawiska. W 2005 r. głośno było o ataku na rektora Harvardu Lawrence’a Summersa, gdy ten przelotnie wspomniął w trakcie wykładu, że hipoteza różnorodności może częściowo tłumaczyć, dlaczego na wydziałach matematycznych, technicznych i ścisłych wciąż większość stanowią mężczyźni – mimo heroicznych starań władz uczelni, aby temu przeciwdziałać. Summers został publicznie potępiony i zmuszony do przeprosin. Jedną z uczestniczek spotkania, profesor biologii Nancy Hopkins, powiedziała reporterom, że „zrobiło jej się słabo”, „serce jej waliło i miała płytki oddech”. Wyszła więc z pomieszczenia w trakcie wystąpienia rektora. „Tego typu uprzedzenia osłabiają mnie fizycznie – gdybym została, mogłabym zemdleć albo zwymiotować”, wyjaśniła.

7 sierpnia 2017 r. z Google’a zwolniony został inżynier James Damore po tym, jak zasugerował, że nierówny udział mężczyzn i kobiet na niektórych stanowiskach w jego firmie może wynikać z różnic biologicznych. W jego tekście pojawiły się cytowania artykułów naukowych i wykresy, również te ilustrujące hipotezę różnorodności. W mediach wybuchła burza, a pod szczególnym ostrzałem znalazła się Danielle Brown, wiceprezydent Google’a ds. różnorodności, która była *de facto* odpowiedzialna za jego zwolnienie. Tłumacząc decyzję o zwolnieniu podwładnego napisała, że „sugerowanie, iż pewna grupa pracowników jest ze wzglę-

dów biologicznych mniej odpowiednia na pewnych stanowiskach [czego Damore nie twierdził – ŁŁ] jest obraźliwe i nie jest OK”.

W komentarzach towarzyszących atakowi na Summersa, zwolnieniu Damore’a, a teraz wycofaniu artykułu Hilla i Tabacznikowa poświęca się nieproporcjonalnie dużo energii na kwestię wiarygodności hipotezy różnorodności – jak gdyby miało to znaczenie dla oceny tego, co ich spotkało. Uwagę powinniśmy skupić przede wszystkim na antybohaterach tej opowieści: osobach takich jak Amie Wilkinson, Nancy Hopkins czy Danielle Brown, które próbują dyktować w imię wyznawanej przez siebie ideologii, jakie hipotezy naukowe wolno dyskutować publicznie. W nauce tymczasem była, jest i zawsze być musi tylko jedna zasada – dyskutować można na każdy temat.

Nietrudno dostrzec, że kobiety domagające się wyciszenia badań nad hipotezą różnorodności są w sytuacji konfliktu interesu. Gdyby w populacji osób o wybitnie wysokiej inteligencji matematycznej czy przestrzennej było tyle samo kobiet, co mężczyzn, domaganie się parytetu w zawodzie profesora matematyki czy inżyniera w Google’u byłoby uzasadnione przynajmniej na poziomie statystycznym. Gdyby natomiast w populacji tej była autentyczna

nadrepzentacja mężczyzn, argument ten zostałby obalony. Wilkinson i Brown, walcząc z hipotezą różnorodności, działają po prostu w interesie własnego zatrudnienia.

Dodajmy na koniec, że wysuwany przez nie argument, iż omawianie hipotezy może „obrazić” albo „zniechęcić” kobiety, jest w istocie głęboko obraźliwy dla kobiet: sugeruje bowiem pośrednio, że są zbyt nierozumne, by zauważyć, że, po pierwsze, ta abstrakcyjna, statystyczna regularność w żadnym stopniu nie determinuje ich losów jako odrębnych, samodzielnych jednostek (bo statystyki przecież nigdy nie mówią nic o jednostce...), ale też, po drugie, że dochodzenie prawdy o różnicach między kobietami i mężczyznami (bo takie różnice, na Boga, po prostu są...), podobnie jak prawdy na jakikolwiek temat, nigdy, ale to przenigdy nie może być i nie będzie szkodliwe dla żadnego racjonalnie myślącego człowieka. Rysowany jest przez nie obraz kobiety niepewnej siebie, dającej się zastraszyć przez wykres słupkowy, mdlejącej na samo wspomnienie o groźnej hipotezie biologicznej. To seksistowski absurd.

©ŁUKASZ ŁAMŻA

Linki do cytowanych w tekście źródeł znajdują się w wersji online artykułu, na powszech.net/lamza-roznica.

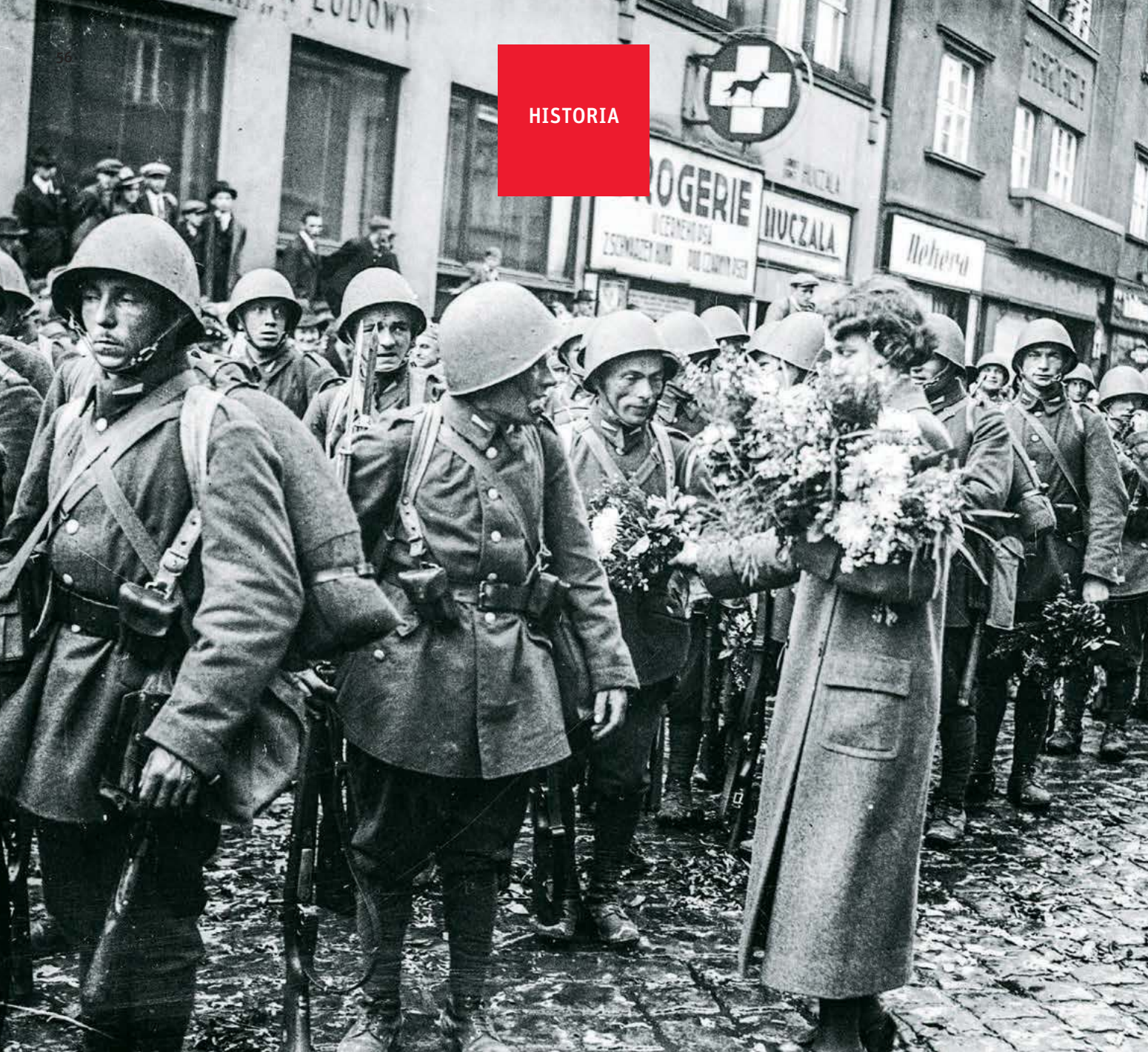
Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 56/18 toczy się postępowanie z wniosku Elżbiety Nagajek z udziałem Stanisława Amela i Marii Mitura o stwierdzenie zasiedzenia prawa własności między innymi nieruchomości położonej w Lipie, województwo podkarpackie, powiat stalowski, stanowiącej działkę numer ewidencyjny 1318/4 o powierzchni 0,1521 ha, objętej księgą wieczystą numer TB15/00028241/3, w której jako właściciele ujawnieni są Władysław Pasztaleniec, syn Marianny, i Maria Pasztaleniec, córka Jana i Antoniny.

Wzywa się, aby wszyscy zainteresowani w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, a jeżeli w terminie tym nikt się nie zgłosi, albo zgłoszący swoje własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku pod sygn. I Ns 658/18 toczy się postępowanie z wniosku Aliny Firlej sprawa o zasiedzenie nieruchomości położonej we wsi Kawka Kolonia Pierwsza, obręb 12, gmina Niemce, powiat lubelski, o powierzchni 0,93 ha, stanowiącej działkę gruntu o numerze ewidencyjnym 116 wraz z pasem gruntu o powierzchni 219 m² i wymiarach 73 m x 3 m, stanowiącym dojazd od szosy asfaltowej, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 154 (droga gminna) do działki o numerze ewidencyjnym 116, wzdłuż granicy z działką o numerze ewidencyjnym 117/1.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w szczególności zaś właścicieli wyżej wskazanej działki, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazali swoje prawa, w przeciwnym bowiem razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

HISTORIA



Polacy z Zaolzia wkroczenie wojsk polskich traktowali jak wyzwolenie. Czeski Cieszyń, październik 1938 r.

ZAOLZIE NIEZGODY

„Tramwaj by jeździł pod górę, za rzekę” – śpiewał Jaromír Nohavica o podzielonym Cieszyń. 80 lat temu tramwaj znów pojechał za rzekę, która przestała być granicą: Polska zajęła Zaolzie.

JOANNA HYTREK-HRYCIUK

O STATNIEGO DNIA WRZEŚNIA 1938 R. rząd polski zażądał od Czechosłowacji oddania Zaolzia – części przygranicznych powiatów Śląska Cieszyńskiego. Gabinet premiera Felicjana Składkowskiego ustami szefa MSZ Józefa Becka argumentował, że w Czeskim Cieszynie, Karwinie, Jabłonkowie, Frysztaście, Boguminie i Polskiej Ostrawie mieszka ponad 170 tys. obywateli czechosłowackich narodowości polskiej, którzy mają prawo do samostanowienia.

W rzeczywistości Polaków było mniej – choć nie ulegało wątpliwości, że jako mniejszość byli w Czechosłowacji dyskryminowani. „Moi przodkowie przyjmowali przyłączenie Zaolzia w 1938 r. jako wyzwolenie” – wspominał na łamach „Tygodnika” historyk Grzegorz Gąsior, sam pochodzący z Karwiny [patrz „TP” nr 49/2009 oraz na powszech.net/zaolzie – red.].

Ale było też więcej powodów do roszczeń. Wraz z tym terenem polska gospodarka otrzymywała m.in. 18 kopalń węgla kamiennego. Beck uważał też, że dzięki twardemu stanowisku wobec sąsiada Polska wzmocni pozycję na arenie międzynarodowej – w chwili, gdy sypał się już ład utworzony w Europie Środkowej po I wojnie światowej.

Wojna polsko-czeska

Do 1919 r. określenie „Zaolzie” oznaczało tereny położone za rzeką Olzą, gdzie w czasach ck monarchii mieszkała ludność polskojęzyczna. „Na Śląsku Cieszyńskim polski ruch narodowy rozwijał się od połowy XIX w., gdy szersze warstwy ludności zaczęły zyskiwać prawa obywatelskie i uczestniczyć w życiu publicznym. Utworzenie w październiku 1918 r. Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego było wyrazem samostanowienia miejscowych Polaków, zwieńczeniem ich własnej drogi do Polski” – pisał Gąsior w „Tygodniku”.

Jednak w styczniu 1919 r., gdy polscy ochotnicy z tego regionu walczyli na wschodzie z Ukraińcami, Czesi zaatakowali – i zajęli ten teren.

„W Stonawie i kilku innych miejscach mordowano polskich jeńców i cywilów, czemu do dziś zaprzeczają niektórzy historycy czescy, którzy wolą pisać o obustronnym okrucieństwie” – pisał Gąsior, cytując dowódcę wojsk czechosłowackich ppłk. Josefa Šnejdárka, który we wspomnieniach nie ukrywał, że zdobył

dla swojego kraju „kopalnię węgla o miliardowej wartości”.

Wojna polsko-czeska skończyła się wtedy szybko rozejmem – pod naciskiem państw zachodnich. Ale przelana krew i poczucie krzywdy po stronie polskiej sprawiły, że termin „Zaolzie” stał się od-tąd symbolem sporu z południowym sąsiadem.

Poczucie krzywdy było tym silniejsze, że Pradze udało się zapobiec plebiscytowi – w tej części Europy powszechnemu wówczas sposobowi na rozwiązywanie sporów terytorialnych. Edvard Beneš i Tomáš Masaryk, mający świetne kontakty wśród polityków ententy, w zaiszu gabinetów wyjednali więcej niż rząd polski, który musiał stawiać czoło bolszewikom.

Dzięki wpływowi Beneša i Masaryka planowany początkowo plebiscyt zastąpiła decyzja Rady Ambasadorów w Paryżu. W lipcu 1920 r. – gdy Armia Czerwona szła na Warszawę – przyznała ona Czechosłowacji najbardziej uprzemysłowioną część Śląska Cieszyńskiego. W tym Trzynieć, Karwinę, Jabłonków i część Cieszyna (a także fragment Spisza i Orawy). Liczbę Polaków, którzy zostali z przymusu obywatelami Czechosłowacji, Gąsior szacuje na 140 tys. Zaolzie zamieszkiwali też Czesi (w okresie międzywojennym ich liczba się zwiększyła na skutek stymulowanego od-górnictwa), Niemcy i nieznaczny odsetek ludności żydowskiej.

Symbolem podzielonego odtąd miasta stała się linia tramwajowa – uruchomiona przed I wojną światową i zawieszona po 1921 r., gdyż nie mogła jeździć przez granicę. Jej motyw, w piosence „Cieszyńska”, spopularyzował w Polsce Jaromír Nohavica (i tłumacz jego utworów Artur Andrus).

Rząd polski odpuścił. Także w zamian za obietnicę, że Czesi przepuszczą transporty z bronią dla polskiego wojska. Ale przez Olzę na polską stronę nie przejechał żaden transport.

Polityki władz w Pradze wobec Zaolzia nie sposób określić inaczej niż antypolska – presja na tutejszych Polaków, aby stali się Czechami, była powszechna i dotyczyła właściwie wszystkich sfer życia: od edukacji przez gospodarkę po kulturę.

Radość Polaków, smutek Czechów

Temat południowej granicy wrócił 18 lat później.

W 1938 r. kanclerz Adolf Hitler zażądał od Czechosłowacji przekazania Niem-

com przygranicznego rejonu, który od I wojny światowej zamieszkiwała w większości ludność niemiecka (dawni poddani ck monarchii, zwani Niemcami Sudeckimi).

Na terenach położonych przy granicy z Austrią i Niemcami, które po 1918 r. znalazły się w Czechosłowacji, stanowili oni spójną społeczność. Jednocześnie tzw. Kraj Sudecki (Sudetenland) był cempionem czechosłowackiej gospodarki – a tym samym łakomym kąskiem dla szykujących się do wojny Niemiec. Ta część granicy była zresztą przygotowana do odparcia ataku ze strony niemieckiego sąsiada. Nieco na wyrost zwano ją „czeską linią Maginota”.

Europa przystała na żądania Hitlera, ignorując rząd Czechosłowacji. A podpisany 30 września 1938 r. w Monachium układ przewidywał kilka innych międzynarodowych posunięć – w tym zwołanie w przyszłości konferencji, która miałaby rozstrzygnąć spór o Wolne Miasto Gdańsk czy Zaolzie.

Polscy dyplomaci, obawiając się sprowadzenia Rzeczypospolitej do roli politycznego przedmiotu, postanowili nie czekać. Jeszcze tego samego dnia notą dyplomatyczną rząd w Warszawie zażądał od Pragi korekty granicy nad Olzą. Jednocześnie Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk” dowodzona przez gen. Władysława Bortnowskiego przygotowywała się do akcji zbrojnej. „Nad granicą nie istniejącą w sercach narodu polskiego” – jak pisał do Bortnowskiego naczelny wódz armii, marszałek Rydz-Śmigły – stanęło 35 tys. żołnierzy.

Ostatecznie w protokołach podpisanych pod koniec 1938 r. Polska otrzymała obszar 1871 km², a Czechosłowacja teren cztery razy mniejszy. Zajęte tereny Śląska Cieszyńskiego włączono do Polski jako powiat cieszyński zachodni, frysztański oraz dwie części miasta Cieszyna. Administracyjnie Zaolzie przyłączono do autonomicznego Górnego Śląska. W trakcie uroczystych obrad z tej okazji posłowie Sejmu Śląskiego zdecydowali, aby Beckowi, „wielkiemu rzecznikowi nieprzedawnionych praw polskich do Śląska Zaolziańskiego”, wysłać telegram z podziękowaniami. Wymienieni w nim byli również „bracia-posłowie” z Zaolzia. W granice Rzeczypospolitej włączono też niewielkie fragmenty Orawy i Spisza.

Entuzjastyczne nagłówki w polskiej prasie sprawiły, że kraj ogarnęła euforia. Dał jej się ponieść Melchior Wańkowicz, →

→ który w „Sztafecie”, książce prekursorce dzisiejszego reportażu, opisywał „dziejową sprawiedliwość” kończącą „czeską niewolę Polaków” i malował obrazy kobiet płaczących z radości w ramionach polskich żołnierzy.

Inaczej widzieli to europejscy dziennikarze: tak złej prasy, pełnej zarzutów o moralną współpracę z Hitlerem, Polska nie miała od lat.

Wszystko wyliczone

„Czeska niewola” była argumentem chętnie wysuwany przez polski rząd na rzecz zajęcia Zaolzia. W jednym z dokumentów opracowanych przez Polski Instytut Współpracy z Zagranicą podawano, że rodaków, którzy po 1920 r. otrzymali czechosłowackie obywatelstwo, jest ponad 121 tys. Z kolei Witold Sworakowski w analizie opublikowanej przez tę samą instytucję obliczył, że powinno być ich 170 tys. Na jednym z propagandowych plakatów domagano się „uwolnienia 250 tysięcy Polaków”.

Dziś liczbę Polaków zamieszkujących Zaolzie można tylko szacować. O tym, czy ktoś jest Polakiem, decydowała – jak w innych regionach pogranicznych – głównie samoświadomość, osobista decyzja.

Bo z pewnością nie świadczyła o tym znajomość polskiego. Pochodzący z Trzynca Gustaw Pietroniec wspominał, że w pierwszych latach szkoły, do której chodził jeszcze przed I wojną, językiem wykładowym był polski, ale z roku na rok zakulał coraz więcej niemieckiego, a w klasie szóstej wolno było uczniom posługiwać się w szkole już tylko niemieckim. Między sobą mówili jednak cieszyńską gwarą. W klasie Pietronca było też kilku chłopców mówiących po czesku, których rodziny emigrowały tu z Moraw za pracą, i dwóch Niemców. Po 1920 r. rząd w Pradze dołożył licznych starań, by czeska kultura i język zdominowały region.

Kryterium polskości nie było też nazwisko. W kwietniu 1939 r. wojewoda śląski Michał Grażyński anulował zmiany w metrykach urzędów stanu cywilnego lub dokumentach kościelnych, które „przekreślały” polskie nazwiska.

Nieoczywiste były również kwestie wyznaniowe. Po październiku 1938 r. administratorem Zaolzia z ramienia Kościoła rzymskokatolickiego został biskup katowicki Stanisław Adamski, który pisał w liście do kardynała Augusta Hlonda, że musi szybko zorganizować tam silny

Po zajęciu Zaolzia polskie władze wprowadziły antyczeską politykę, zwłaszcza w oświacie, kulturze i pracy.

Z regionu wyjechało ok. 35 tys. Czechów.

ruch katolicki, ze względu na znaczną liczbę protestantów i husytów, energicznie ewangelizujących po czesku.

Ale równie ważne na Zaolziu było to, co można było dokładnie policzyć. Wraz z przejściem powiatów w granicach II RP znalazły się kopalnie węgla, które w 1937 r. dały 7,6 mln ton surowca. Była to niemal połowa całej czechosłowackiej produkcji węgla i nieco ponad 10 proc. produkcji polskiej. Znajdujące się na zajętych obszarze koksownie produkowały prawie połowę tego, co udawało się uzyskać wszystkim zakładom koksowniczym w II RP.

Pierwsze strzały drugiej wojny

Po zajęciu Zaolzia w 1938 r. polskie władze wprowadziły antyczeską politykę, zwłaszcza w dziedzinie oświaty, kultury i zatrudnienia. W efekcie z regionu wyjechało ok. 35 tys. Czechów. Już 8 października 1938 r. delegat wojewody nakazał używanie w regionie tylko języka polskiego, również na szyldach i w nazwach ulic.

Rok później temat przestał istnieć. Nie było już II Rzeczypospolitej. W miejsce Czechosłowacji powstały – jeszcze wiosną 1939 r. – Protektorat Czech i Moraw oraz sprzymierzona z Hitlerem Słowacja (1 września 1939 r. jej wojska uderzą wspólnie z Wehrmachtem na Polskę). Zaolzie włączono do niemieckiej Prowincji Śląskiej ze stolicą we Wrocławiu.

W tym regionie padły też jedne z pierwszych strzałów II wojny światowej. Nocą z 25 na 26 sierpnia 1939 r. niemieccy dywersanci próbowali zająć strategiczny tunel kolejowy na Przełęczy Jabłonkowskiej – do oddziału nie dotarła informacja, że niemiecki atak na Polskę, pierwotnie planowany na noc 25/26 sierpnia, został przesunięty na 1 września. Wymiana ognia z polskimi żołnierzami skończyła się ucieczką Niemców i przeprosinami niemieckich władz. 1 września polscy saperzy wysadzili tunel.

Po wrześniu 1939 r. niemieckie władze zaczęły represje wobec ludności Zaolzia. Zamknięto żydowskie sklepy, prowadzono rewizje w domach podejrzanych o działalność polityczną. Już w listopadzie 1939 r. zaczęto aresztowania wśród polskiej inteligencji. W Zagładzie zginęła niemal cała żydowska ludność regionu.

Symbolem terroru wobec Zaolziaków stało się więzienie Gestapo w (dziś) Czeskim Cieszynie – i liczne groby zbiorowe cywilów, np. w parku pod Wałką, gdzie w 1942 r. powieszono członków polskiego ruchu oporu, albo na cmentarzu żydowskim, z którego w latach 70. XX w. ekshumowano ciała 18 czeskich harcerzy. Najbardziej znana jest masakra mieszkańców Żywocic w sierpniu 1944 r.: 27 Polaków, 8 Czechów i jednego wpisanego na niemiecką listę narodowościową. Zginęli w odwecie za zabicie przez AK dwóch oficerów cieszyńskiego Gestapo.

Lekcja Zaolzia

Po wojnie władze czechosłowackie uznały, że korekta granicy z 1938 r. jest nieważna. Ale po stronie polskiej ponownie pojawiły się argumenty o „kluczowej sprawie koksu”, a nawet idee „przehandlowania” Zaolzia w zamian za (także sporną) Kotlinę Kłodzką. Ostatecznie umowę pozostawiającą Zaolzie po stronie czechosłowackiej podpisano w 1958 r.

Czy jesienią 1938 r. rząd II RP mógł nie zajmować Zaolzia? Być może inny ruch nie był możliwy w ówczesnych realiach – po doświadczeniach roku 1919 i 1920, po dwóch dekadach antypolskiej polityki władz czeskich, w klimacie społecznym, któremu uległ wszak nawet tak krytyczny obserwator jak Wańkowicz. Ale jakkolwiek polskie roszczenia do Zaolzia byłyby uzasadnione, nie zmienia to faktu, że Polska wzięła udział w niszczeniu Czechosłowacji. Nawet jeśli jej odpowiedzialność trudno porównać do odpowiedzialności Brytyjczyków czy Francuzów – tych, których Czesi uważali za swych przyjaciół i patronów.

W tym roku mija 80 lat. I znów słyszymy o Zaolziu. „Robi się klimat Zaolzia. Polski MSZ powinien opowiedzieć, czym grożą takie zabawy w środku Europy” – tak Paweł Kowal komentował na Twitterze wieść, że premier Węgier Viktor Orbán żąda od Ukrainy – od ponad czterech lat stawiającej czoło Rosji – autonomii dla mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu.

© JOANNA HYTREK-HRYCIUK



Premier Chamberlain ogłasza, że układ monachijski zapewni Europie pokój. 30 września 1938 r.

Pułapka samostanowienia

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

„Mieli do wyboru wojnę lub hańbę. Wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak” – powiedział pewien brytyjski dżentelmen po konferencji w Monachium, na której 80 lat temu Londyn i Paryż ustąpiły wobec żądań Hitlera.

BYŁ STYCZEŃ 1918 R., GDY PREZYDENT USA Woodrow Wilson – występując w orędziu do Kongresu – sformułował program pokojowy dla świata niszczzonego I wojną światową. Zawierał on także postulat samostanowienia narodów. Zniewolonym narodom, w tym Polakom, dawał nadzieję na niepodległość. 20 lat później kanclerz Niemiec Adolf Hitler wykorzysta właśnie tę zasadę w swojej grze, w której będzie niszczyć suwerenne państwa.

Idea Wilsona

Pod koniec I wojny światowej wydaje się, że pierwsze skrzypce w globalnej polityce będą grać odtąd USA – zrywając wszak z izolacjonizmem i angażując się w budowę nowego światowego ładu. A gdy kończy się wojna, pod auspicjami Wilsona powstaje światowa organizacja państw, czyli Liga Narodów, która ma na celu pokojowe regulowanie sporów.

Wilson uważa, że o kształcie nowych granic ma decydować wola ludności. Ale koncepcja ta nie uwzględnia faktu, że wiele regionów kontynentu – zwłaszcza Europy Środkowej – ma charakter pogranicza, z wielonarodową ludnością, a także kontekstami historycznymi, społecznymi i strategicznymi.

Zresztą Stany, przekonane o swej potęgze i bogactwie, szybko tracą zainteresowanie Europą i przez ponad 20 lat nie będą uczestniczyć w polityce europejskiej. A Wilsonowska zasada – wbrew intencjom jej orędownika – zostaje wykorzystana do legitymizacji agresywnej polityki. Stoi za tym Adolf Hitler, którego partia, NSDAP, zdobywa najwięcej głosów w wyborach w 1932 r.; dzięki koalicji z mniejszymi formacjami w styczniu 1933 r. Hitler zostaje kanclerzem. Domaga się unieważnienia tzw. ładu wersalskiego. W jego języku: dyktatu.

Wcześniej, w wyniku traktatu podpisanego w Wersalu w 1919 r., Niemcy mu-

sieli oddać Francji Alzację i Lotaryngię, Belgii obszar z miejscowościami Eupen i Malmedy, na 15 lat oddać pod zarząd Ligi Narodów obszar Saary, stracili też wszystkie kolonie. Musieli przy tym spłacać wielkie reparacje i ograniczyć armię oraz zbrojenia. W powszechnym odbiorze społecznym Niemców były to warunki upokarzające.

Program NSDAP, ułożony jeszcze w 1920 r., wykorzystuje właśnie Wilsonowską koncepcję – żądając zjednoczenia wszystkich Niemców w Wielkich Niemcach (Grossdeutschland) na bazie prawa narodów do samostanowienia.

Krok po kroku

Mocarstwa zachodnie początkowo ignorują Hitlera. Ten zaś konsekwentnie łamie postanowienia traktatu wersalskiego. W październiku 1933 r. wycofuje Niemcy z genewskiej Konferencji Rozbrojeniowej i Ligi Narodów. W marcu 1935 r. odtwarza lotnictwo wojskowe i przywraca powszechny pobór do wojska. W 1936 r. pogardzany przez europejskie salony „czeski frajter” (jak mawiał o nim prezydent Republiki Weimarskiej Paul von Hindenburg) zajmuje zdemilitaryzowaną Nadrenię. Zamiast zdecydowanej reakcji – Polska postuluje podjęcie działań zbrojnych przeciw Niemcom – Francja zwraca się do Ligi Narodów z wnioskiem o napiętnowanie niemieckiej akcji.

Ale Liga to kolos na glinianych nogach. Brakuje jej zwłaszcza „argumentu siły” (czyli wojska), który najlepiej przemawiałby do Hitlera. W sierpniu 1936 r. nakazuje on osiągnięcie gotowości do wojny do końca 1940 r. Od jesieni 1936 r. Niemcy wspierają militarnie generała Franco w Hiszpanii. W listopadzie tego roku Hitler wypowiada postanowienia Wersalu dotyczące międzynarodowego statusu Dunaju, Łaby, Niemna, Odry i Renu oraz swobody żeglugi międzynarodowej w Kanale Kilońskim. W tym samym miesiącu Niemcy i Japonia zawierają pakt antykominternowski, zobowiązując się do wspólnego zwalczania komunizmu. Później przystępują do niego faszystowskie Włochy (1937 r.) i Hiszpania (1939 r.).

Założenia strategiczne Hitler przedstawia 5 listopada 1937 r. na naradzie w Kanclarii Rzeszy. Ogłasza, że dla „ochrony narodu i zapewnienia mu przyszłości” jego celem jest zajęcie Austrii i Czechosłowacji, a później pokonanie Francji.



→ W tej grze Hitler z ręcznie odwołuje się także do Wilsonowskiego prawa do samostanowienia. Wykorzysta je jako pretekst do „przyłączenia” (niem. *Anschluss*) Austrii w marcu 1938 r. Liga Narodów milczy. Europa wykonuje gest Piłata, uznając, że Hitler – „syn ziemi austriackiej” – realizuje „tylko” plan zjednoczenia Niemców i nie należy się temu sprzeciwiać. W przekonaniu, że „nic się nie stało”, utwierdza opinię publiczną plebiscyt z kwietnia 1938 r., w którym blisko sto procent Niemców i Austriaków popiera Anschluss.

„W interesie Europy”

Podobny schemat Hitler stosuje wobec Czechosłowacji. W jej północno-zachodniej części mieszka ok. 3 mln Niemców. Po Anschlussie działający w tym środowisku naziści, skupieni w inspirowanej przez Berlin Partii Niemców Sudeckich Konrada Henleina, żądają autonomii i organizują działania sabotażowo-terrorystyczne na pograniczu. Prezydent Beneš wierzy w solidarność Europy i proponuje brytyjską mediację. W lipcu 1938 r. przebywająca w Pradze misja lorda Waltera Runcimana dochodzi do wniosku, że Praga powinna pójść na ustępstwa na rzecz Niemców Sudeckich.

Kulminacja politycznego dramatu państwa Czechów i Słowaków następuje we wrześniu 1938 r. Najpierw henleinowcy zrywają rozmowy z rządem w Pradze, wykorzystując jako pretekst zamieszki, do których dochodzi 7 września w Morawskiej Ostrawie między ich zwolennikami a policją i czeskimi mieszkańcami miasta. Później (12 i 13 września) inicjują nieudany pucz w powiatach zamieszkałych przez Niemców. Rząd w Pradze rozwiązuje Partię Niemców Sudeckich, jej liderzy uciekają do Rzeszy.

W tym samym miesiącu brytyjski premier Neville Chamberlain rozmawia z Hitlerem, nakłaniając go do kompromisu. 15 września słyszy, że Niemcy żądają od Pragi ustępstw terytorialnych. W tej sytuacji „we wspólnym interesie Europy” Anglia i Francja zmuszają Beneša do cesji terytorialnych – wszak stawką jest pokój.

19 września zostają przedłożone Pradze żądania oddania terytoriów, na których ponad połowę ludności stanowią Niemcy. Praga przyjmuje plan angielsko-francuski i 21 września zgadza się oddać III Rzeszy ziemie przygraniczne (Czeski Las, Rudawy, Sudety, Szumawy i południowe

O kształcie nowych granic ma decydować wola ludności. Ale koncepcja

ta nie uwzględnia faktu, że wiele regionów Europy ma charakter pogranicza, z wielonarodową ludnością.

Morawy). Przez Czechosłowację przechodzi fala protestów, uczucie rozgoryczenia jest powszechne. Tymczasem Chamberlain zawozi Hitlerowi stosowny dokument. Ale ten – w tzw. memorandum godesberskim (*de facto* ultimatum) – żąda dalszych ustępstw terytorialnych. Praga sygnalizuje, że nie zgodzi się na „nowe i okrutne żądania”, ogłasza mobilizację. Napięcie sięga zenitu.

Skutki appeasementu

Aby za wszelką cenę ratować pokój, z inspiracji włoskiego przywódcy Benito Mussoliniego zostaje zwołana do Monachium konferencja, na której 29 września 1938 r. Chamberlain, premier Francji Édouard Daladier, Hitler i Mussolini (Czechosłowacji nie zaproszono) podpisują układ przewidujący natychmiastowe przekazanie Niemcom żądanych terenów (korzystają na tym również Polska i Węgry, anektując – w imię obrony swych mniejszości narodowych – skrawki Czechosłowacji).

Praga nie ma wyjścia i przyjmuje dyktat. A Chamberlain otrzymuje w Monachium od Hitlera „uroczone przyrzeczenie” i słowo honoru, że nie zgłosi więcej roszczeń terytorialnych. Po powrocie do Anglii premier, witany owacyjnie na lotnisku Heston, oznajmia, że rozwiązanie problemu czechosłowackiego przyniesie pokój Europie.

Kwestia kształtu granic Czechosłowacji zostaje uregulowana ostatecznie w listopadzie 1938 r. W grudniu tego roku ogłoszone zostają angielsko- oraz francusko-niemieckie deklaracje o nieagresji; rodzi się wrażenie stabilizacji. Polityka appeasementu osiąga kulminację.

A Hitler? On rozgrywa partię czechosłowacką do końca – łamiąc ustalenia z Monachium. Skłania słowackich nacjonalistów do oderwania się od Czech, co następuje w marcu 1939 r. Tego samego dnia Węgrzy wkraczają na Zakar-

pacie, a Wehrmacht do okręgu przemysłowego morawskiej Ostrawy. Zastraszeni wizją nalotu na Pragę, prezydent Czechosłowacji Emil Hácha i szef MSZ František Chvalkovský podpisują w Berlinie 15 marca dokument, który składa „los narodu i kraju czeskiego” w ręce Hitlera. Ten tworzy okupacyjny Protektorat Czech i Moraw. Słowacja zwraca się o „opiekę” do Niemiec, zawierając odpowiedni układ 23 marca (w istocie oznacza on podległość). Tego samego dnia Berlin wymusza na Litwie odstąpienie Kłajpedy (po I wojnie światowej Niemcy oddali to miasto aliantom, a w 1923 r. zajęli je Litwini).

Następnym celem Hitlera jest Polska. Lecz ta stawia tamę „pokojujowej” ekspansji Rzeszy. 1 września 1939 r. zaczyna się wojna, która obejmie cały świat.

Znaczone karty

Losy Wilsonowskiego prawa do samostanowienia narodów pokazują, że w pewnych uwarunkowaniach szczytne zasady mogą zostać wykorzystane do legitymizacji agresji. Robił to zresztą nie tylko Hitler – podobną drogą poszedł wtedy Stalin, który m.in. we wrześniu 1939 r. tłumaczył przed światem rozbiór Polski tym, że Białorusini i Ukraińcy rzekomo chcieli przyłączyć się do Związku Sowieckiego. Z kolei po 1945 r. oderwał od Czechosłowacji Zakarpacie, bo miejscowa ludność też „zapagnęła” jednności ze Związkiem Sowieckim.

Wyrażona w 1938 r. przez państwa Zachodu zgoda na żądania Hitlera w sprawie egzekwowania swoiście rozumianego „prawa do stanowienia” nie wyrastała z faktycznego poszanowania tej zasady i troski o mniejszości narodowe. Była to gra znaczonymi kartami, w której wielcy, naginając normy prawa międzynarodowego, wybrali „mniejsze zło” w celu zachowania pokoju. Ale próba zaspokojenia ambicji Führera kosztem państw Europy Środkowej – mało zrozumiałych dla ludzi Zachodu w swej specyfice i na pozór odległych od Paryża i Londynu – była ułudą.

„Mieli do wyboru wojnę lub hańbę, wybrali hańbę, a wojnę będą mieli i tak” – powiedział po Monachium pewien polityk, który wtedy znajdował się na bocznym torze brytyjskiej polityki. Nazywał się Winston Churchill. Niedługo potem poznał siłę własnego prorocтва, a *appeasement* zastąpiły „krew, pot i łzy”.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Świat odbity w listach

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Pojedynek epistolograficzny między dwojgiem świetnych pisarzy, zapis klimatu ponurych lat 80. i opowieść o pięknej przyjaźni.

ZBYT WIELKA MNIE OGARNIA TREMA, KIEDY mam pisać wiersz dla Lema"... Tak zaczyna się okolicznościowy utwór, który Ewa Lipska napisała na 80. urodziny autora „Solaris”. Wypadały one 12 września 2001 r., ale jubileusz z lekkim i żartobliwym programem artystycznym zaplanowano na dzień poprzedni. Gdy jednak goście zebrali się wczesnym popołudniem w sali nowego biurowca przy ulicy Lubicz, nikomu nie było do śmiechu – wieże World Trade Center na Manhattanie leżały już w gruzach. Zabawny panegiryk Lipskiej też nie został odczytany...

Teraz trafił do książki, która stanowi rodzaj kolażu: znalazły się w niej listy, jakie Lipska i Stanisław Lem wymieniali w latach 1983–1991, trzy rozmowy przeprowadzone przez nich już na początku nowego wieku (o samochodach, snach i kryzysie), korespondencja poetki z Tomaszem Lemem z czasów jego studiów w Princeton (ukończył tam fizykę) i dużo fotografii. Przypomnijmy tło biograficzne: kilka miesięcy po 13 grudnia Stanisław Lem wyjechał do Berlina Zachodniego, później wraz z rodziną zamieszkał w Wiedniu i został tam do 1988 r. Po zmianie ustroju w Wiedniu znalazła się z kolei Ewa Lipska – jako podwładna ambasadora RP Władysława Bartoszewskiego.

Lektura jest to świetna i wielowarstwowa. Po pierwsze, mamy tu rodzaj pojedynku epistolograficznego między dwojgiem świetnych pisarzy. Łączy ich ironiczno-sceptyczny dystans do spraw tego świata, krytyczny stosunek do walorów gatunku *homo sapiens*, zamiłowanie do groteski i czarnego humoru, a także niebywała inwencja i wrażliwość językowa. Niezależnie od tego, czy piszą o kłopotach



Barbara, Stanisław i Tomasz Lemowie oraz jamnik Proton przed domem na Klinach

dnia codziennego, czy o sprawach fundamentalnych, każdy list staje się wysmakowanym dziełkiem literackim, najeżonym przy tym aluzjami do bieżących wydarzeń, dla młodszych pokoleń nie zawsze zapewne czytelnymi, ale pouczającymi.

Przykłady? Choćby „pisanie machejką” – cytowane przez Lipską próbki niepowtarzalnego stylu tego funkcyjariusza, pisarza i redaktora „Życia Literackiego” zachwyca każdego! Albo „Audery” (Lipska) i „ciocia Auderska” (Lem) – kto pamięta, że chodzi o Halinę Auderską, pisarkę, która po likwidacji Związku Literatów Polskich zgodziła się przesować nowej prorządowej organizacji i przypłaciła to lekką manię prześladowczą, przekonana, że stanie się teraz celem antyrządowego podziemia... Te listy chwytają ponury i dławiący klimat tamtego czasu.

W dodatku ponuro jest nie tylko w Krakowie: dla Lema pobyt w Wiedniu na „Hycyngowej Górze” (czyli w willowej dzielnicy Hietzing) nie był szczęśliwy, trapiły go choroby (nie zawsze dobrze leczone), kilkakrotnie trafiał na stół operacyjny, a w dodatku irytowały go oznaki ksenofobii gospodarzy. „Austria niechybnie miłym jest krajem dla wszystkich, co w niej nie mieszkają – pisał w grudniu 1984 – i gdybym wiedział, jacy chłopacy są Austriacy (plus ichnia medycyna), to bym gdzieś indziej pojechał był się kurować”.

W warstwie drugiej książka pięknie odzwierciedla narodziny i rozwój przyjaźni. Zaczyna się od „Drogi Panie Stanisławie” i „Droga Pani Ewo”, dopiero po kilku latach zaczynają mówić sobie po imieniu, ale bliskość wyczuwalna jest od początku. Ta bliskość obejmuje zresztą szerszy krąg: do listów Lipskiej dopisuje się jej mąż Włady-

śław Janicki, w korespondencji nieustannie obecna jest, niby dobry duch, żona Lema, pani Barbara, pojawia się też jej siostra Jadwiga. Tomasz Lem okazuje się utalentowanym, nieco melancholijnym sprawozdawcą z życia codziennego prestiżowej amerykańskiej uczelni, a także ilustratorem własnych listów. Jest też jamnik Proton, zwany Tupciem, wedle słów Lema „bardzo silnie skłonny do wzruszeń pieseczek”. To właściwie krąg rodzinny, którego Ewa Lipska staje się uczestnikiem.

I jeszcze jedna warstwa czy też temat: twórczość. Lem pisze wtedy „Fiasco” – ostatnią swoją powieść, zamówioną przez wydawnictwo Fischera, i sporo o niej opowiada. Można się np. stąd dowiedzieć, że postać dominikanina Arago, jednego z uczestników fatalnej wyprawy do planety Kwinta, autor wprowadził zainspirowany lekturą „Hadriana VII”, powieści ekscentrycznego Anglika Fredericka Rolfe’a, czyli Barona Corvo. O takiej zaś recenzji, jakiej od Lema doczekał się w liście z marca 1987 r. „Wybór wierszy” Lipskiej, marzyłby chyba każdy poeta. Najpierw solidna, precyzyjna analiza, a potem słowa: „Należą się Pani wszystkie nagrody, których Pani nie dostała. Satysfakcja, jaką miewa się z lektury dobrych wierszy Rilkego, Leśmiana, Miłosza, jest chłodna, czasem zimna. Nie znam nikogo, kto by pisał wiersze tak przejmujące i tak intymnie bijące w niewypowiedziane sensy egzystencji jak Pani. (...) Dla mnie Pani jest pierwsza”.

©P

Stanisław Lem, Ewa Lipska, Tomasz Lem „BOLI TYLKO, GDY SIĘ ŚMIEJĘ...”. LISTY I ROZMOWY, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

PRAWDZIWA BABA

ANNA DYMNA:

Przez 45 lat przeżyłam w Starym Teatrze wiele zmian dyrekcji, a w Polsce – zmian władzy. Ale dopiero w ostatnim sezonie byłam przerażona, że mój teatr może się rozpaść.



ANNA GOC: Zauważył Panią sąsiad.

ANNA DYMNA: Tak, Jan Niwiński. Gdyby nie on, nie byłabym aktorką. W mojej rodzinie nie było artystów, może poza dziadkiem, który grał na skrzypcach, pisał wiersze, uczył łaciny i greki. Tata – inżynier lotnik, mama – księgowa.

Był sąsiad – aktor.

Pan Jan mieszkał w tej samej kamienicy, na pierwszym piętrze, my na drugim. Nośił długie, czarne peleryny, kolorowe szale. Nocą fechtował na korytarzu, ćwiczył głos „mi, mi, mi, ma, ma, ma”. Myśleliśmy, że to diabeł. Z żoną Ireną Mścichowską-Niwińską prowadzili w Klubie Łączności przy Poczcie Głównej w Krakowie Koci Teatr dla dzieci i młodzieży. Na jego balkonnie wiersze recytowali Ania Polony, Ryśiek Filipiński, Ewa Wawrzona, Ola Górńska.

I Pani też chciała być aktorką.

Ja aktorką? Nigdy w życiu. Codziennie stawać przed ludźmi, zdawać egzaminy, płakać na zawołanie? Byłam chorobliwie nieśmiałym dzieckiem. Potrafiłam kilka razy wyjść z kolejki w sklepie, byle nie powiedzieć na głos: „Poproszę kilogram cukru”.

To kto się uparł?

Niwiński właśnie! Najpierw spytał moich rodziców, czy mogłabym dołączyć do zespołu. Zgodzili się. Na próbach spotykałam się z małym Jasiem Fryczem, Moniką Niemczyk, Mietkiem Grąbką. Kiedyś, po długiej antybiotykowej walce z gronkowcem złocistym, kiedy miałam mnóstwo czyraków, m.in. na buzi, Niwiński zawiózł mnie do szpitala i powiedział znajomemu lekarzowi: „To dziecko będzie kiedyś aktorką, zlikwiduj czyraka tak, żeby nie została blizny”. Chyba więc miał wobec mnie poważne plany.

Po maturze i tak złożyła Pani dokumenty na psychologię.

Niwiński się o tym dowiedział. Krzyczał: „Ty na psychologię? Już, won, zdawać do szkoły teatralnej!”.

Co na to rodzice?

Chyba sobie nie wyobrażali, że mogę być aktorką. Tuż przed drugim etapem egzaminu do szkoły teatralnej słyszałam, jak

tata mówił mamie: „Nie martw się, może się nie dostanie”. Być może bali się, że takie niewinne i dzikie dziecko sobie w tym zawodzie nie poradzi. Wie pani, że ja nie znałam nawet brzydkich słów? Byłam naiwna, dziecinna, nie miałam pojęcia o złej stronie życia, o alkoholu, nienawiści, walce z kimś. Moi rodzice musieli się strasznie o mnie bać, gdy weszłam w ten niebezpieczny, dziwny świat.

Był taki?

Dla tak młodego człowieka poszukiwanie w sobie i uruchamianie różnych skrajnych emocji jest bardzo niebezpieczne. Kazimierz Kutz uświadomił mi, że praca aktora jest aktem odwagi. Na próbach musimy często obnażyć się zupełnie, odkrywać swoje najbardziej wstydlive tajemnice – często wołałabym stanąć nago na Rynku w Krakowie. Dlatego w tej pracy potrzebne jest zaufanie, życzliwość i między aktorami nawiązują się tak silne, trudne do określenia więzi. Aktorstwo to ciągła praca nad sobą – reżyser często uświadamia nam nasze słabości, odkrywa coś, o czym sami nawet nie wiemy, że jest w nas schowane. Mistrzem w tym był Konrad Swinarski.

Każdy reżyser jest inny. Jerzy Jarocki był precyzyjny, wymagający, mówiono czasem, że torturuje aktorów. Ale nawet gdy po próbie wyjmowałam drzazgi z policzków, byłam szczęśliwa, że wchodzę w jego świat i że mam szansę z nim pracować. Z Jerzym Grzegorzewskim czułam się jak w dziwnym śnie – pokochałam go, nawet nie musiałam wszystkiego do końca rozumieć. Trzeba było ufać i poddać się tej magii bez warunków. Andrzej Wajda dawał wolność, radość, odwagę, przypinał aktorom skrzydła, które niosły... i niosą nadal.

Ale w tym świecie jest wiele niebezpieczeństw. Nagła pułapka popularności, okładki, sława... szybko mnie to dotknęło. Trudna sprawa. Trzeba mieć obok kogoś, kto kopnie, i powie: „Myślisz, że jesteś gwiazdą? Jesteś normalnym człowiekiem”. Do nagród, do falującej popularności trzeba się nauczyć mądrego dystansu. Teraz młodym aktorom jest jeszcze trudniej. Sympatyczna rola w serialu daje błyskawicznie ogromną, choć często chwilową sławę.

Pani seriali nie uważa.

Nie mam nic przeciwko. Co teraz mają robić aktorzy, z czego żyć? Ludzie kochają seriale, są im potrzebne. I dobrze, gdy grają

w nich wspaniali aktorzy. Nigdy nie mówię „nigdy”. Choć mnie na granie w serialach nie stać – musiałabym zrezygnować z moich studentów, z pracy – wciąż wolontariackiej – w mojej fundacji, i z teatru. A teatru nigdy nie rzucę. Odejdę dopiero wtedy, gdy teatr mnie porzuci.

W reklamach też Pani nie występuje.

Pracowali na mnie tacy reżyserzy jak Swinarski, Jarocki, Grzegorzewski czy Wajda. Nie mogę.

Kto Pani mówił w młodości, żeby się Pani nie czuła gwiazdą?

Dymny. W naszym domu wszystko robiliśmy sami – meble, murowaliśmy ściany, malowaliśmy je. Powtarzał: „Jesteś normalnym człowiekiem”. Zawsze przychodził na moje spektakle. Po „Nocy listopadowej” był błądliwy i milczał ze dwie godziny. Tak się wzruszył. Dawał mi fantastyczne uwagi aktorskie. Mówił np., że rolę komponuje się jak obraz. Tłumaczył: „Jeśli masz w jakiejś scenie porazić uśmiechem, to nie łaż cały czas uśmiechnięta, bo nie zadziała”. Wiedziałam, że zabije każdego, kto mnie skrzywdzi, ale też nie pozwoli, żeby mi woda sodowa uderzyła do głowy. Czułam się przy nim bezpiecznie.

Teatr to mój prawdziwy dom i rodzina. Gdyby nie moi przyjaciele z teatru, pewnie dawno by mnie nie było. Po pożarze naszego mieszkania to Ela Karkoszka zabrała mnie, Dymnego i naszą kociczkę do siebie. Oddawała nam na noc swój piękny salon, a rano zwiłaliśmy łóżko i wynosiliśmy je na strych. Piotr Skrzynecki przybiegł do nas tamtej nocy. Patrzył na pogorzelisko, a po chwili powiedział: „Ania, to się wszystko uratuje. Zobaczysz”. Mieliliśmy tysiące książek, wydawaliśmy na nie z Dymnym ostatnie pieniądze. Ogień palił się naokoło, więc uratowały się prawie wszystkie na „K” i „L”, mam całego Lema, Konwickiego. Skrzynecki wziął jedną z książek i całą noc, kartka po kartce, rozrywał nadpalone strony i przekładał je gazetą. „No widzisz, Ania. Udało się wszystko uratować” – wzruszony powiedział nad ranem.

Grała Pani następnego wieczoru, po pożarze?

Aktor gra zawsze, niezależnie od wszystkiego. Graliśmy wtedy „Noc listopadową”. W drugim akcie wychodziłam z głębi sceny sama. I nagle widzę, że wszyscy moi koledzy i koleżanki stoją za kulisami i coś



→ krzyczą. Po chwili zrozumiałam: „Ania, Ania, nie bój się, nie pali się, to jest spektakl”. W tej scenie były dymy i oni się zorientowali, że ja muszę w nie wejść, a przecież wciąż jestem w szoku po pożarze.

Dymny umarł trzy miesiące później. Po jego śmierci też grałam. Gdyby nie koledzy i nie teatr, nie poradziłabym sobie. Często po spektaklu siedzieli ze mną w SPATiF-ie, nieraz do czwartej nad ranem. Wiedzieli, że nie mogę spać, więc ze mną po prostu byli. To są najbliżsi mi ludzie. Za Jerzym Bińczyckim, Dziadziem Nowakiem, Ewą Lassek tęsknię jak za moim tatą, mamą, bratem. Wmawiam sobie, że nie umarli, tylko wyjechali na plan filmowy.

Grając w „Nocy listopadowej” poznała Pani Zofię Jaroszewską.

Dwie najważniejsze kobiety w moim życiu to moja mama i Zofia Jaroszeńska. Kiedy się poznałyśmy, ona miała 72 lata, ja – 22. To ona powiedziała mi, co jest najważniejsze, by nie stracić siebie, kiedy się jest aktorką. Przychodziłam do jej mieszkania przy ul. św. Jana, okna były nad literą „N” z napisu nad klubem Feniks. Opowiadała o przedwojennych premierach, bankietach, i o tym, że aktorki często nie miały wtedy dzieci – mogły je mieć tylko żony dyrektorów. „Czy trzeba tak walczyć o karierę i wszystko oddać teatrowi?” – pytałam. „Ania, a zobacz, czy teraz liczy się to, że zagrałam jedną czy dwie role więcej? Poszło w zapomnienie. Ale wiesz, co się liczy? Że teraz nie ma mi kto zrealizować kartek na mięso. Dobrze, że ty jesteś”. Powtarzała: „Będą ci mówili, że dla teatru trzeba poświęcić wszystko, ale nie słuchaj tego, Ania. Musisz mieć miłości poza teatrem”.

Chciała Pani mieć dzieci?

Chciałam, ale po trzech wypadkach samochodowych wydawało się, że to niemożliwe. Jednak udało się, miałam 34 lata i zaszłam w ciążę. I przysięgam, to był jedyny moment, który nie był podporządkowany teatrowi. Nie mogłam powiedzieć synowi: „Nie ródź się teraz, bo mam spektakl”.

Szybko wróciła Pani po urlopie macierzyńskim do pracy. Co się zmieniło?

W ciąży przytyłam 32 kilo. Jeszcze w siódmym miesiącu robiłam film u Wojciecha Hasa, moja ciąża nie była widoczna, i potem nagle – taka zmiana. W dodatku miałam anemię. Pierwsza rola po powro-

ANNA DYMNA:

Przez lata byłam najmłodsza w zespole, ale pamiętam, gdy uklęknęła obok złotowłosa dziewczynka i spytała: „Pani Aniu, czy może mi pani pomóc?” – to była Dorotka Segda.

cie to „Republika marzeń” w reżyserii Rudolfa Ziolo. I pamiętam te chwile wstydu. Zapisalam się ludziom w głowach jako Ania Pawlaczka, Marysia Wilczur. Nawet jak już miałam 33 lata, mówiono – Ania to taka wiotka, śliczna sarenczka. Co mnie nawet już trochę upokarzało. Obawiałam się, że ludzie nie będą mnie takiej zmienionej chcieli. I miałam rację.

Skąd Pani wie?

Wysyłali listy, choćby stąd. A w nich: „Nie żryj tyle, ty prosiaku”. Ludzie są szczerzy.

Wtedy zagrała Pani jedną ze swoich wymarzonych ról – Małgorzatę w „Mistrzu i Małgorzacie” w reżyserii Macieja Wojtyłki.

Kiedy zaproponował mi tę rolę, powiedziałam: „Spóźniłeś się. Nie mogę już grać Małgorzaty, jestem wstrętna i gruba”. A on na to, że zależy mu na moich oczach, a nie na ciele. To był jeden z najładniejszych komplementów, jakie usłyszałam. A Kazio Kutz w sekundę rozwił mój wstyd. Na planie spektaklu „Opowieści Hollywoodu” usłyszałam: „No, wreszcie jesteś prawdziwa baba... masz, co trzeba”. I wszystko mi przeszło. Ale siłę dawały mi też inne kobiety. Pamiętam uwagi Ewy Lassek jeszcze ze studiów. Mówiła: „Niczego nigdy nie udawaj, jesteś po prostu jaka jesteś, widać taka jesteś potrzebna, nie mizdrz się, mów prosto, o co ci chodzi, wyglądem zajmą się inni”.

Dziecko mnie uspokoiło. Było bardzo trudno, ale jakoś mądrzej. Nabrałam dystansu. Poczułam, co jest najważniejsze w moim życiu: dziecko i teatr. Dwie miłości. Żadna nie ucierpiała nigdy kosztem drugiej. Usłyszałam kiedyś: „Anka, ty się bierz w garść, pracuj, nie rezygnuj z niczego ważnego dla dziecka, bo potem twój

syn będzie miał 18 lat, będzie ci pyskował, a gdy mu powiesz, że dla niego zrezygnowałaś z kariery, on ci odpowie: »Matka, a kazał ci ktoś?«. I będzie miał rację”. Czasem słyszę, że ktoś nie urodzi dziecka, bo nie da sobie rady. Baba ze wszystkim da sobie radę.

Czego widzowie oczekiwali, przychodząc do teatru w latach 80.?

Przychodzili po prawdę, chwilę zapomnienia, poezji, nowe doznania... Nic się nie zmieniło od tamtego czasu. W Starym Teatrze zawsze pracowali z nami najlepsi artyści. I publiczność o tym wiedziała. Ich spektakle były o wolności, miłości do ojczyzny, do człowieka.

Zawsze czuliśmy, że niezależnie od tego, w jakich żyjemy czasach, teatr powinien przekazywać prawdę, piękny język, poezję, mówić o bolesnych problemach codzienności i naprawdę zawsze jest potrzebny. Nigdy nie zapomnę, jak po wprowadzeniu stanu wojennego graliśmy „Mord w katedrze” Eliota w reżyserii Jerzego Jarockiego. Przychodziły tłumy ludzi, płakali. A myśmy się czuli, jakbyśmy byli kapłanami. Choć wiedzieliśmy, że ta funkcja nam się przecież nie należy.

Czuliście, że pełnicie tę rolę wyjeżdżając z Polski komunistycznej ze spektaklami?

Pamiętam Łzy Murzyna, który nie rozumiejąc języka polskiego, oglądał „Dziady” w katedrze w Londynie. Jakaż musiała być magiczna siła w tym spektaklu! Pamiętam wzruszenie widowni na Tasmanii, gdzie graliśmy „Męża i żonę” w reżyserii Gustawa Holoubka. Przecież to komedia, a podczas ukłonów publiczność wstała i śpiewała hymn polski. Wszyscy płakali, ja z Anią Seniuk zresztą też. Siła teatru jest wielka i oczyszczająca. Podobnie jest teraz z „Weselem” Klaty. Widzimy, jak bardzo jest ludziom potrzebna rozmowa o trudnych sprawach, o tych dramatycznych problemach z niemożliwością dogadania się.

„Wesele” zawsze było wstrząsającym i aktualnym przedstawieniem. Bo ono jest o nas, o naszych niemocach, o kompletnym braku umiejętności porozumiewania się między sobą. Kiedy mamy problemy z demokratyczną wolnością, gdy trwa ostra walka polityczna, która bez sensu zapętla nienawiść, nie pozwala spokojnie żyć, czyż teatr nie powinien być przestrzenią porozumienia, swobodnej



W roli Klitajmestry w „Orestei” w reżyserii Jana Klaty, 2007 r.

dyskusji o naszych przekonaniach, bólach, marzeniach?

Pierwsza Pani premiera to 1970 rok, „Wesele” w reżyserii Lidii Zamkow. Później grała Pani w „Weselu” u Jerzego Grzegorzewskiego, Andrzeja Wajdy, a teraz u Jana Klaty. Jak się zmieniała publiczność „Wesela”?

Jeśli jesteś aktorem, patrzysz na widownię od prawie 50 lat, to możesz tam zobaczyć wszystkie zmiany społeczne. W czasie komunizmu, gdy na nasze spektakle przychodzili uczniowie szkół, zdarzało się, że ktoś się źle zachował. Ale wystarczyło jedno spojrzenie aktora, by na widowni wróciła cisza.

Potem, gdy padła komuna, gramy w Łodzi „Pana Tadeusza”, na widowni gadają, strzelają z puszek. Kolega przeżywa spektakl i słyszy od młodego widza: „Co aktor? Graj, nie patrz się”. Dla tego młodzieńca wolność znaczyła „wszystko wolno”. Teatr zmienia się tak jak i rzeczywistość. Kiedyś była zwykłe czwarta ściana, nie widziało się publiczności, teraz się z nią rozmawia, prowokuje. Przez te 45 lat widziałam, jak zmieniał się je-

zyk teatru. Ci, którzy rządzą naszym światem, dopuszczają niegodne formy zachowania, wyrażenia brutalne, ostre, kiedyś niemożliwe. Teatr szuka drogi, by się przez ten język przebić.

Jak się Pani odnajduje w tym nowym?

Na szczęście nowe mnie zawsze fascynuje, bo pozwala zrozumieć rzeczywistość. Kiedyś było bezpieczniej. Opowiadało się role spokojniej, z jednej sceny wynikała druga, konsekwentnie, psychologicznie. Grając w „Orestei” Klaty, na początku nie mogłam się w jego propozycji odnaleźć. Ale Kłata na pierwszej próbie wyjaśnił nam, do których współczesnych kłątów chce nawiązać. W tym samym czasie robiłam program w TVP2 o chłopaku z zespołem Tourette’a. Musiał kłąć, ciąć się przy goleniu żyletką, walić książką po głowie, choć nie chciał. To były takie jego kłątwy. Klitajmestra musiała zabić męża, choć go kochała, bo taka była kłątwa bogów.

Oglądaliśmy z Klatą setki teledysków – mówiliśmy o zmieniających się nagle obrazach, o napięciu. Części z nich nie zapamiętujesz, ale one i tak w tobie zostają.

W starszym aktorze powstaje czasem bunt – nie rozumiem, nie chcę tak, ja byłam inaczej uczona. Przecież grałam wielkie role i inaczej je konstruowałam. Ale trzeba się odważyć i w to wejść.

To był zupełnie nowy język teatralny, on wciągnął mnie zupełnie. Ale jeśli nic nie rozumiem, to rezygnuję z roli.

Dobrze, gdy teatr komentuje rzeczywistość polityczną?

Od aktorów wymaga się, by zabierali głos, m.in. przed wyborami. To jedno z tych oczekiwań społecznych, z którego nie zdajemy sobie sprawy, kiedy zaczynamy wykonywać ten zawód. Całe życie mam z tym problem. Przecież udzielając wywiadów, a przede wszystkim grając role, odsłaniam, w co wierzę, co jest moimi wartościami. Muszę być wolna od uprzedzeń, politycznych przymusów i ograniczeń. Pomagam chorym ludziom, nie pytając ich, z jakiej są partii i w co wierzą. Wolność w teatrze też jest bardzo ważna.

Gdy zmarł Piotr Szczepny, wyszli Państwo z hasłem „Wolności oddać nie umiem”, podczas ubiegłorocznych ➔



WOJCIECH PLEWIŃSKI / STARY TEATR

Anna Dymna jako Kora (z tyłu Zofia Jaroszevska w roli Demeter),
„Noc listopadowa” w reżyserii Andrzeja Wajdy, 1974 r.

→ protestów na ukłonach pojawiał się plakat z hasłem „Konstytucja”.

„Wesele” jest spektaklem, w którym nie ma żadnych naiwnych nachalności, choć jest bardzo aktualne. Wśród moich kochanych kolegów w teatrze są ludzie o różnych przekonaniach, są i tacy, którzy wykorzystują teatr do pokazywania swoich przekonań politycznych. Staram się ich rozumieć, choć myślę, że sam udział w spektaklu „Wesela” pokazuje, że to, co się dzieje w naszej rzeczywistości, nie jest nam obojętne. A to, że uderzamy kosami podczas ukłonów, wynika raczej z naszego buntu i bólu, bo ktoś próbuje zniszczyć nasz dom. Trudno nawet opowiadać, co przeżyliśmy w ostatnim roku w Starym Teatrze, miejscu, które budowały pokolenia największych twórców. Zabrano nam poczucie bezpieczeństwa i wolności artystycznej, ale zapowiada się, że powoli je odzyskujemy.

Czy to prawda, że aktorkom po trzydziestce mniej się wybacza?

Powiedziała mi o tym Zofia Jaroszevska. Grając „Noc listopadową” czekałyśmy razem za kulisami na wejście na scenę. „Pani Zosiu, pani się strasznie denerwuje?” – spytałam. Jaroszevska miała zawsze pod ręką kwaśne landrynki. „Dziecko, śliny mi brakuje z nerwów – powiedziała. – Zobaczysz, jeśli ci się

uda być wielką aktorką, dobrą aktorką, to będą od ciebie wymagali więcej. Teraz jesteś taka śliczna, malutka, nawet jak się pomylisz, nawet jak się przewrócisz na scenie, to będą mówić, jak się ślicznie pomyliła, jak się ślicznie wywróciła. Ale potem, znając cię od tylu lat, będą się zastanawiać: ciekawe, co nam dziś nowego pokaże”.

Sprawdziło się?

Teatr oczekuje od nas, starych, tej samej sprawności, co od młodych. Ale nerwy, adrenalina sprawiają, że ze złamanymi nogami, z gorączką, podskakujemy na scenie. A przecież nasze organizmy były latami torturowane. Mój nigdy nie wiedział, kiedy będzie spał, kiedy będzie jadł i co go czeka. Denerwuję się, że oczy przestają dobrze widzieć. Ale od 50 lat wchodzę z ciemności w reflektory. Jakże oczy by to wytrzymały? I tak są kochane, że jeszcze coś widzą. Gdy graliśmy razem z Krzysiem Globiszem w „Trylogii”, schodziliśmy umordowani ze sceny i tak sobie mówiliśmy: „Jezu, żeby tylko do windy dojść, a potem tylko do samochodu”. I zawsze się udawało.

Takie zwycięstwa nad organizmem to jednak radość i napęd do życia.

Z czasem pojawiają się też kłopoty z pamięcią. Wielu z nas odchodzi z zawodu ze strachu. Moja głowa jeszcze jakoś pracuje

i się tych tekstów uczy, ale na pewno nie łatwiej niż kiedyś.

Nie bała się Pani starości?

Gdy grałam w „Wiśniowym sadzie”, przed spektaklem przygotowywałam się w garderobie, w której były lustra-skrzydła. Można je było otwierać i zamykać. Malowałam się przed nimi. Stawała za mną Ewa Lassek ze słowami: „Aniu, dziecko kochane, ty musisz się teraz fotografować. Błagam cię, fotografuj się, nago też, bo młodość tak szybko przemija”. A ja patrzyłam w lustro, jeden profil, drugi, zamykałam oczy i tak sobie marzyłam: jak mi się uda być w tym teatrze dużo lat, to pewnego dnia otworzę oczy i zobaczę siebie starą. I tak się stało. Przez wiele lat byłam najmłodsza w zespole, ale pamiętam moment, gdy uklękła obok młodzieńca, złotowłosa dziewczynka i spytała: „Pani Aniu, czy może mi pani pomóc?” – to była Dorotka Segda. A później przyszli kolejni. Siłą takich zespołów jak nasz jest to, że są wielopokoleniowe.

Teraz, po zmianie dyrekcji, odejściu na znak protestu reżyserów, kilka osób z najmłodszego pokolenia, nasze ukochane dzieci, znalazło pracę w innych teatrach. Rozumiem ich, muszą grać, nie mogli czekać. Ale bardzo za nimi tęsknimy. Tak to czuję, jakby moje dzieci odeszły z domu. Przez 45 lat przeżyłam w Starym Teatrze tyle zmian dyrekcji, rządów, zmianę ustroju, ale zawsze mieliśmy nasz teatr, naszych reżyserów i to nigdy nie rujnowało teatru.

Dopiero w ostatnim sezonie byłam przerażona, że mój teatr może się rozpaść. Nigdy nie wzięłam pod uwagę tego, że tak się może stać. Tak, bo takich miejsc jak Stary Teatr się nie niszczy.

Po przejęciu odpowiedzialności za program przez Radę Artystyczną wrócili reżyserzy. Od połowy września zespół aktorski Starego Teatru zaczyna próby z Moniką Strzępką.

Tak. Jestem w obsadzie. I wie pani, denerwuję się tak jak wtedy, kiedy w 1970 r., gdy byłam po drugim roku PWST i grałam w tym teatrze w spektaklu „Król Mięsopest” w reżyserii mojego profesora Bogdana Hussakowskiego, u boku dwóch kochanych Jurków: Treli i Bińczyckiego, Ewy Ciepieli, Tadzia Kwinty. Ale to chyba oznacza, że nie się jeszcze we mnie nie wypaliło i mogę nadal wykonywać ten zawód.

© Rozmawiała ANNA GOC



MONIKA BIELEŃSKA / TEATR BRAMA

Parada artystów i mieszkańców Goleniowa podczas Festiwalu Ludzka Mozaika, 25 sierpnia 2018 r.

Nad inną rzeką

DARIUSZ KOSIŃSKI

Niedziela w Goleniowie nie wydaje się różnić od niedziel w wielu innych niewielkich polskich miastach. Odświętnie ubrani ludzie niespiesznie wracają z południowej mszy obok zamkniętych sklepów. Gdy jednak minie się pustawy parking przy jednym z nich, otwiera się Brama do innej wersji świata.

WSTYD PRZYZNAĆ, ALE DO GOLENIO-
wa przyjechałem po raz pierwszy. Wprawdzie z Teatrem Brama spotykałem się już wcześniej kilka razy, ale zawsze na występach gościnnych czy festiwalach. Przy każdej z tych okazji słyszałem, że koniecznie trzeba przyjechać do nich, do Goleniowa, bo wtedy najłatwiej zrozumieć sens ich pracy i to, z czego wyrastają ich przedstawienia.

Trochę mnie te namowy złościły, bo brzmiały tak, jakby propozycje artystyczne Bramy były same w sobie nie dość interesujące i dopiero poznanie lo-

kalnego kontekstu i społecznego wymiaru działalności zespołu mogło uczynić je pełnowartościowymi. Takie opinie o teatrze niezależnym słyszę od lat („żeby zrozumieć »Gardzienice«, musisz do nich pojechać”) i zawsze uważałem je za krzywdzące. Inna sprawa, że Goleniów jest dla Małopolanina wyjątkowo daleki, chyba że ktoś chce się tam wybrać samolotem – niedaleko jest szczeciński port lotniczy.

Dopiero zaproszenie na tegoroczny Festiwal Ludzka Mozaika sprawiło, że ruszyłem w drogę na Pomorze Zachodnie.

Wyspa

Teatr Brama działa w Goleniowie od 22 lat. Jego historia zaczyna się zwyczajnie – od założenia koła teatralnego przy miejscowym domu kultury. Choć koło założył świeżo upieczony maturzysta, a już po trzech latach zespół zorganizował pierwszy festiwal teatralny Brama, to nadal był to zespół, jakich w Polsce wiele: w lokalnym domu czy ośrodku kultury wokół jakiegoś zapaleńca i wrażliwca spotyka się grupa młodych ludzi, którzy chcą „czegoś innego” i wydaje im się, że tym czymś jest teatr. Często zaczynają od amatorskiego „wystawiania sztuk” i uboższej wersji teatru dramatycznego.

Niektórzy przy tym zostają, ale wielu albo szybko się to nudzi, albo od początku stawia sobie zupełnie inne cele. Osoby, które organizują taką pracę, często bowiem mają świadomość jej odmienności i wynikającej z niej potrzeby szukania niekonwencjonalnych języków scenicznych. Nie chodzi im o żadną „zabawę w teatr”, ale o to, by znaleźć sposób na wypowiedzenie własnego doświadczenia świata, wypowiedzenie nie indywidualne, lecz właśnie zespołowe, co wymaga zbudowania grupy jako podmiotu. To bardzo poważne ➔

→ i trudne zadania, zwłaszcza że zazwyczaj pracuje się z ludźmi na granicy dzieciństwa i dorosłości, którzy po ukończeniu lokalnych szkół opuszczają swoje rodzinne miasta i wszystko trzeba zaczynać od nowa. Wielu po pierwszym czy drugim takim exodusie i rozbitciu zespołu rezygnuje, szczególnie ze wsparcie ze strony lokalnych władz i otoczenia na ogół ogranicza się do poklepywania po plecach, że „całkiem fajny ten teatrzyk”.

Daniel Jacewicz, założyciel i do dziś lider Bramy, nie zrezygnował, choć po dziesięciu latach działalności wydawało się, że historia jego teatru się skończyła, a on sam wyjechał z Goleniowa na dwa lata. Ale wrócił, by od 2008 r. prowadzić działalność niezależną, łączącą teatr i społeczny aktywizm konsekwentnie nastawiony na pracę lokalną. Brama tworzy kolejne spektakle i projekty artystyczne, ale nawet sami jej członkowie nie wydają się uważać ich za najważniejszy cel swojej pracy. Na stronie teatru, w zakładce „O nas”, napisali: „Przez wiele lat funkcjonowania Bramy udało się stworzyć w mieście tętniące życiem środowisko teatralne. Brama skupia dużą ilość niespokojnych i twórczych młodych ludzi, którzy swoją odmiennością nie mogą wpisać się do końca w ramy archetypów małego miasteczka”.

Te okrągłe formuły stają się realne, gdy tylko przejdę parking i minę zamknięte w niedzielę budy znajdujące się obok targowiska. Po drugiej stronie placu grupka ludzi gromadzi się obok bramy wjazdowej ozdobionej dziwaczными manekinami. Za nią otwiera się nagle wielokolorowy i wielojęzyczny zespół ludzi, którzy tworzą wspólnotę, mimo że każda i każdy zdaje się zachowywać i dbać o swoją indywidualność. Żadnych strojów organizacyjnych, a choć trendy wiodące alternatywnych mód rozpoznać łatwo, to radosna abnegacja bez zgrzytów spotyka się tu z wystylizowaną hipstersko indywidualnością, akceptując też bez problemów niedzielną, pomszalną elegancję.

Przy foodtrucksu serwującym wegańskie jedzenie grupka Włochów omawia przygotowania do jutrzejszego przedstawienia plenerowego, a obok nich przebiega kilkoro rozbawionych arabskich dzieci. Pod ścianą niewielkiego budynku, w którym mieszczą się sala teatralna i biura Bramy, trwa jakiś warsztat, do którego w każdej chwili można się przyłączyć, nawet jeśli nie bardzo wiadomo, o co chodzi. Z drugiej



Spektakl „Ghost Dance” Teatru Brama na Festiwalu Ludzka Mozaika w Goleniowie

strony dochodzą dźwięki instrumentów i śpiew – w przylegającym do budynku amfiteatrze trwa próba przed wieczornym koncertem. Nikogo się nie zmusza do wspólnotowych deklaracji.

Gdy spotykam Daniela, niemal natychmiast po powitaniu zaczynamy rozmawiać o sytuacji, która położyła się cieniem na rozpoczynającym się właśnie dziesięciodniowym Festiwalu Ludzka Mozaika. Dziennikarz lokalnej gazety „wyśledził” w programie elementy „lewackie” i postanowił zaalarmować opinię publiczną, że oto pod pozorami dialogu i wielości atakuje Goleniów homolobby i potwór *gender*. Atak nie jest niczym wyjątkowym w dzisiejszej Polsce, w której dominuje ideologia jedności mocno zdefiniowanych i lojanych wobec siebie watah. Znana jest więc jedna forma kontaktu: ustawka – nieważne czy medialna, czy leśna.

Wszystko, co robi Jacewicz i związani z nim ludzie, jest przeciwko temu sposobowi myślenia i działania. Przedstawienia Bramy, cała jej praca opiera się na indywidualnych głosach, a choć czasem układają się one w chór, to tworzy on harmonię połączonych na chwilę wielości.

Ludzka Mozaika to tecz w Polsce prawie niewyobrażalna, ale na szczęście, mimo upartej pracy zastępów śledczych, wciąż możliwa.

Sceny równoległe

Przecinając parking w Goleniowie, przechodzi się niemal na kraj historycznego

centrum miasteczka, którego granicę wyznacza rzeka Ina. Nagromadzenie znaków nie wydaje się przypadkowe: na uboczu, u brzegów innej rzeki symbolicznie, ale i bezpośrednio doświadcza się tego, co nazywa teatralny off, kiedyś zwany teatralną alternatywą, a jeszcze wcześniej teatrem niezależnym. Wszystkie te słowa i nazwy są problematyczne i natychmiast podważalne.

Niezależność zawsze wydawała się niewątpliwą fikcją i rodziła pytanie „od czego?”. Alternatywność – mniej generacyjnie najbliższa – miała sens dopóty, dopóki udawało się utrzymywać wyraźną różnicę estetyk i sposobów pracy między stałymi teatrami repertuarowymi a grupami organizowanymi z powodów innych niż wykonywany zawód.

Gdy w latach 60. XX w. eksplodowało zjawisko „teatru otwartego”, przez jakiś czas wydawało się jasne, że zniesienie granicy między sceną a widownią, otwarte sytuacje spotkania, rezygnacja z wystawiania literatury i tworzenie scenariusza w czasie prób, często na podstawie aktorskich improwizacji lub pracy zespołowej, to domena tego drugiego. Na dodatek to on przyjmował w dekadach następnych zdecydowanie odważniejsze postawy polityczne, bardziej otwarcie mówił o sytuacji zniewolenia i jej wielorakich konsekwencjach. W rezultacie teatralna alternatywa łącząca artystyczną niekonwencjonalność z wyrazistością polityczną miała jak najbardziej realny i konkretny sens.

Utraciła go w latach 90. i na początku nowego tysiąclecia wraz z pojawieniem się „nowego teatru”, który wykorzystywał i wykorzystuje wszystkie zdobycze rewolucji teatralnych XX w., dysponując zarazem o wiele większymi siłami i środkami niż alternatywne teatry ubogie. Zaburzyło to dotychczas wyraziste i względnie trwałe przeciwieństwa. Wraz z Krystianem Lupą, Krzysztofem Warlikowskim czy Janem Klatą alternatywa teatralna rozgościła się na scenach głównego nurtu i dopiero dziś zaczyna być (nadal nieskutecznie) z nich spychana przez władze wspierające tradycyjne konwencje, zapewniające również tradycyjny spokój kulturalnie spędzonego wieczoru.

Przejęcie strategii i estetyk, które położyło kres teatralnej alternatywie w jej XX-wiecznej formie, było jedną z przyczyn długotrwałego kryzysu i lekceważenia „teatrzyków” – jak nazywał zespoły nieinstytucjonalne jeden z promotorów „nowego teatru”. Ale ich praca trwała – lokalnie, na mniejszą skalę, z nastawieniem na społeczny aktywizm wspierany stopniowo coraz silniej funduszami europejskimi.

Wkrótce okazało się, że teatr grup był o wiele lepiej niż teatr instytucji przygotowany do realizacji idei partycypacji i emancypacji przez sztukę, i to w tym środowisku przede wszystkim rozwijały się nowe programy animacji kultury i pedagogiki teatru.

Nieależnie od tego, jak bardzo poszczególne zespoły i ludzie byli zaangażowani w działalność społeczną, nigdy nie zrezygnowali z poszukiwań własnego języka artystycznego. Tyle że dziś jego odmienność nie wydaje się już wynikać z jakichś dążeń do zrewolucjonizowania teatru jako sztuki, ale wyrasta z sytuacji zespołów i potrzeb tworzących je ludzi. Ale właśnie dlatego, że niczego nie narzuca i jednocześnie znajduje własne miejsce na uboczu, wytwarza silne poczucie różnicy i odzyskuje siłę przyciągania.

Wzmacnia ją młodość tworzących ten teatr ludzi, którzy właśnie o tę młodość są mądrzejsi – nie wiedząc, że się „nie da”, robią niemożliwe, nie znając prac poprzedników, z lekkością przekraczają granice i przenikają ściany, do których tamci dotarli, by przez lata bić w nie głowami. Czasem ich przedstawienia są jak pokój nastolatki – panuje w nich bałagan egzaltowanych deklaracji, przewrotnych dowcipów i nieuporządkowanych emocji. Ale właśnie dlatego chwilami chwytają za gardło,

rzucając w twarz nie wyrafinowane prowokacje, ale proste pytania, których już dawno nie traktujemy poważnie.

Łaknąć

Słyszeliście kiedyś o Grupie Teatralnej Forma ze Ślupska albo o Teatrze Narybek From Poland? Nie? A o teatrach Ujście ze Świnoujścia albo Tetraedr z Raciborza? Zapewne też nie...

Nic w tym dziwnego, bo wszystkie wymienione grupy to uczestnicy Festiwalu Młodości Teatralnej Łaknienia, który z zasady gromadzi przedstawienia zespołów mało znanych, czasem początkujących. Z grona tych, które w tym roku przyjechały do Goleniowa, znałem tylko Tetraedr – niewiarygodnego wręcz finalistę pierwszej edycji konkursu na najlepsze przedstawienie teatru offowego The Best Off. Ci bardzo młodzi ludzie pracujący pod opieką artystyczną Grażyny Tabor stworzyli w swoim poprzednim spektaklu „Gwoli jakiejś tajemnicy” nieprawdopodobnie dojrzałą adaptację prozy Gombrowicza. W tym roku przyjechali do Goleniowa z własną wersją „Błaszanego bębenka” Güntera Grassa – przedstawieniem równie dopracowanym, precyzyjnym, a zarazem celnie wymierzonym w odradzające się w Europie tendencje faszystowskie. Jest w nim wszystko to, czego tak często na próżno domagamy się od teatru głównego nurtu: energia twórców, zaangażowanie społeczne, świadomość użytych środków, funkcjonalność rozwiązań. Znowu patrzyło się na scenę nie wierząc, że to przedstawienie stworzyli „po godzinach” licealiści spotykający się w domu kultury.

Takich niedowierzań było na Łaknieniach więcej. Nieprawdopodobne wydawało mi się to, w jaki sposób aktorki z Grupy Teatralnej Forma wcielają się we własne matki i dramatyzują swoje z nimi relacje, wydobywając humor z otwartych ran, mieszając wściekłość z czułością, a bunt z próbą zrozumienia. Prawie nie wierzyłem, gdy aktorzy ze Świnoujścia przeskakowali nad poprawnością polityczną, naśmiewając się z usłużnego podejścia współmieszkańców do niemiec-kich turystów, by po chwili budować poetyckie obrazy marynarskiej samotności.

Nieprawdopodobne wydawało mi się to, co robiła ze swoim ciałem Julia Adamczyk z Teatru BABA z Gorzowa Wielkopolskiego, eksplozjami śmiechu z samej siebie wysadzającą w powietrze normy wyciskane na ciałach przez pozornie przy-

milną kulturę zdrowia i urody. Niewiarygodna była odwaga i cienka ironia, z jaką mówiła o seksualności Marta Zamora z Teatru Nieoetykietkowni z Zabrze i to jak jednoznacznie i otwarcie polityczny teatr tworzą ludzie z Narybku From Poland z Mysłowic.

Niemal niemożliwe wydawało mi się jakiegokolwiek sensowne wystawienie „Małego księcia”, dopóki zespół Zamkowa 2 z Bytowa w czysty i prościutki sposób nie udowodnił, że nie mam racji. W końcu – nie wierzyłem w możliwość otwartej i zarazem krytycznej rozmowy z poszanowaniem dla krytykowanych i krytykujących, aż dyskusje po przedstawieniach przypomniły, że to nie tylko możliwe, ale wręcz oczywiste. Ze swoimi nawykami wyniesionymi z pararytualnych rzezi statusowych, będących codziennością życia akademickiego, poczułem się jak słoń w składzie porcelany, intruz wymagający resocjalizacji.

W werdykcie jury, którego byłem członkiem, podziękowaliśmy wszystkim uczestnikom za przywrócenie wiary w teatr. Przyznając: to ja wpisałem to zdanie w werdykt, bo to moja wiara nie jest wcale taka silna, jak czasem zdarza mi się deklarować. Być może jest wręcz tak, że piszę o potrzebie i roli teatru tak dużo, bo wciąż w nie wątpię. Na co dzień mieszkam w mieście niewiele większym od Goleniowa, w którym teatru nie ma (choć oczywiście jest młodzieżowa grupa w domu kultury).

Jeśli pamiętać, że Polska składa się w większości z takich miast, a ich mieszkańcom brak teatru w niczym nie przeszkadza, to łatwo nabrać dystansu do wydarzeń i sporów, którymi żyje środowisko. Kiedy więc słyszę, jak na pytanie o sens pracy w teatrze młodziutka aktorka z Bytowa z przejęciem odpowiada, że jedna próba w tygodniu to dla niej umocnienie na wszystkie pozostałe dni, to odzyskuję wiarę teatralną, ale o wiele dawniejszą i jakby młodszą.

A potem uświadamiam sobie, że takich zespołów jak ten bytowski jest w kraju tysiące, że setki ludzi, których praca może nigdy nie spotka się z niczym więcej niż klepaniem po ramieniu, co tydzień uchyla tę samą bramę, którą Daniel Jacewicz otworzył na oścież w Goleniowie. I choć na pozór niczego to nie rozstrzyga i o niczym nie decyduje, opuszczam Pomorze z żalem, ale dużo spokojniejszy.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

„DZIEŃ” BEZ „CIEŃ”

MICHAŁ SOWIŃSKI, KATARZYNA TRZECIAK: Pretekst naszego spotkania to: „Związek literatury i muzyki”.

Które z tych słów jest Wam najbliższe?

DOROTA MASŁOWSKA: Ja wybieram „związek”.

PAWEŁ SOŁTYS: Też je chciałem. Zostaje mi zatem „muzyka”.

FILIP ŁOBODZIŃSKI: To ja biorę cudzysłów spinający cały tytuł.

Bez uzasadnienia się nie wymigacie.

PS: To proste – muzyka to mój zawód. Nie kończyłem co prawda żadnej szkoły muzycznej, co pewnie słyhać na moich płytach, ale jednak nagrałem ich piętnaście, a książkę napisałem tylko jedną. I kto wie, czy nie ostatnią.

DM: Z tym „związkiem” to oczywiście zgrywa. U mnie zawsze było odwrotnie niż u Pawła, czyli dominowała literatura. Nawet w przypadku piosenek – nie powstałyby, gdybym nie uznała ich warstwy tekstowej za piękną.

FL: A ja będę bronił mojego cudzysłowu, bo od lat przyglądam się temu, co dzieje się na styku muzyki i literatury. Interesują mnie twórcy, którzy stawiają pytania i macają bolące zęby, bo uważam, że muzyka nie powinna służyć wyłącznie prostej rozrywce. To oczywiście ważna funkcja, ale ważniejsze jest stwarzanie przestrzeni dla rozmowy.

Jak powstają wasze teksty? Czy czujecie różnicę między tekstem literackim a muzycznym?

DM: Różnica jest umowna, choć przy książkach dużo więcej myślę. Piosenki to dla mnie twórczość bardziej instynktowna. Przy ich tworzeniu poddaję się intuicji i chwytliwości frazy, bo w piosence słowa muszą układać się naturalnie. Dzięki temu rodzi się językowy wirus, który na długo infekuje mózg słuchających. Fascynuje mnie ten efekt. Aby jednak go osiągnąć, trzeba wyłączyć myślenie. Piosenka o Kindze Rusin chyba pokazuje, że to dobra droga.

PS: Dorota mówi o „języku zaumnym”, którym władał między innymi poeta Wielimir Chlebnikow. Nie mam na tyle odwagi, by iść w tym kierunku. U mnie praca nad tekstem piosenki i opowiadaniem wygląda podobnie. W pierwszym



PAWEŁ WODZIŃSKI / BEW

DOROTA MASŁOWSKA:

Rzeczy, na które poświęca się dziesiątki słów i linijek, w piosence można wyrazić jedną, mocną frazą.
Ekscytują mnie takie rebusy.

przypadku mam już zazwyczaj gotową muzykę, do której muszę się odnieść. Pisanie piosenek jest oczywiście mniej czasochłonne, bo są krótsze niż opowiadania. Choć bywa różnie – czasem coś się zablokuje i potrzeba dwóch lat, żeby wrócić do tematu.

FL: Wypowiem się jako fan obojga moich przedmówców. W ich przypadku rozgraniczenie na prozę pisaną do książek i teksty tworzone na płytę nie ma sensu. Gdy zaczyna się to czytać na głos, widać, że to jest ich naturalne środowisko. Bo treść to jedno, ale w tej prozie dzieje się sporo w samych dźwiękach. Dlatego wasze piosenki świetnie się czyta, a literaturę doskonale śpiewa.

PS: Melodia jest dla mnie najważniejsza. Pozwolę sobie na ryzykowne wyznaczenie: brzmienie bywa dla mnie ważniejsze niż znaczenie.

DM: Odkrycie piosenek było dla mnie nowym nabytkiem, który nazwałabym kondensatorem treści. Rzeczy, na które zazwyczaj poświęca się dziesiątki słów i linijek, można wyrazić jedną, mocną frazą. Ekscytują mnie takie rebusy.



M. LASYK / REPORTER

FILIP ŁOBODZIŃSKI:

Poza hip-hopem polska piosenka nie ma fabuły – to raczej opis jakiegoś stanu, a nie opowieść. Namawiam wszystkich, żeby to zmieniać.

Literackość została już dawno wyparta z mainstreamu polskiej muzyki. O poetyckości nie wspominając.

DM: Istnieje kategoria piosenki przemysłowej, do której słowa tworzą generatory tekstów. Takie konstrukty są wypadkową wszystkich innych piosenek, czyli składają się z wyslizganych, dobrze znanych fraz. Chodzi oczywiście o wpasowania się w już ustalone gusta – nowe piosenki mają być od razu dobrze znane. W teorii to bardzo ciekawe, w praktyce jednak mamy do czynienia z utworami, które znaczą dokładnie nic.

PS: Są mistrzowie piosenek zaczynających się od „znowu nadszedł dzień”, co zazwyczaj rymuje się z „cień”. Ale mówiąc serio – dużo zależy od tego, jak zdefiniujemy *mainstream*. Bo jeśli szerszej, to zmieścimy tam na przykład Nosowską, która bez wątpienia kombinuje bardzo po swojemu. Jestem jej fanem, teksty ma świetne. Takich twórców jest więcej, choćby grupa Pogodno.

Ciekawe jest jednak co innego. Wschodzący na przełomie lat 70. i 80. punk rock buntował się przeciw zawodowym autorom tekstów, takich jak Bogdan Olewicz czy Andrzej Mogielnicki.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

PAWEŁ SOŁTYS (PABLOPAVO):

Miałem czternaście lat, kiedy pierwszy raz usłyszałem Świetliki. Głowa mi wtedy odpadła i toczyła się po podłodze.

I słusznie, zgadzam się z Wojtkiem Waglewskim, że kapele rockowe powinny śpiewać własne teksty. Jednak dziś tych tekstarzy dotkliwie brakuje w głównym nurcie muzycznym. Co by nie mówić, trzymali pewien poziom, a czasem zdarzały im się rzeczy niezwykle, jak choćby „Jolka, Jolka” czy „Autobiografia”. To się oczywiście pokryło już grubą warstwą pleśni, mchu i porostów, ale wtedy było genialne. A dziś – wystarczy, żeby „cień” zrymował się z „dzień”. Ale jeśli ktoś szuka dobrych tekstów w polskiej muzyce, to je znajdzie.

FŁ: Znowu wypowiem się z perspektywy kibica. W Polsce piosenki mają inną genezę niż na Zachodzie, gdzie ważne teksty pochodzą wprost z tradycji wędrownych śpiewaków. Nasi tekstarze wzięli się z tradycji kabaretowej, która z konieczności jest bardziej sztuczna, ma charakter kreacji.

Mówisz o Bobie Dylanie?

FŁ: On jako pierwszy wprowadził folkową tradycję do muzyki rozrywkowej. Pokazał, że piosenka nie musi być o niczym →

→ – może jątrzyć rany czy dotykać ważnych kwestii społecznych. Z tego czerpali kolejni – John Lennon, Lou Reed czy całe pokolenie punkowców, którzy pisali o rzeczach bolesnych. I co najważniejsze – odkryli, że ich problemy i zdziwienia mogą być czymś wspólnotowym. U nas było odwrotnie. Teksty piosenek powstawały odgórnie, w bardzo literacki sposób: Jeremi Przybora, Agnieszka Osiecka czy Jonasz Kofta to zupełnie inne tekściarskie DNA.

PS: Istniała przecież tradycja piosenki podwórzowej w Warszawie, ale też Łodzi czy Krakowie. Sformułowanie „miejski folklor” jest straszne, coś jednak jest na rzeczy. Nie był to bardzo silny strumień, choć najlepsze piosenki Małęczuka z niego właśnie się wywodzą. To chyba też najbliższy odpowiednik anglosaskiego bluesa. Podobnie zresztą z piosenką więzienną, która często w nieporadny sposób mówiła o rzeczach ważnych. Kiedy pisałem teksty na pierwszą płytę Ludzików, to chciałem właśnie te tradycje przenieść do XXI wieku. Ale sięgałem też do Jeremiego Przybory czy Agnieszki Osieckiej – nie da się od nich uciec w Polsce. Gdybyśmy trzymali do dziś poziom Przybory, a nie Jacka Cygana, to byłoby lepiej dla wszystkich.

DM: Dochodzi do tego ciekawy problem. Od paru lat obserwujemy w całej Europie, a w Polsce szczególnie, silne wzmożenie narodowe i tożsamościowe. Jeszcze na początku XXI wieku obowiązywał wyłącznie język angielski, a dziś w piosenkach jest głód polskich słów. Dlatego generatory piosenek pracują pełną parą, czasem bardzo precyzyjnie skalibrowane. Nosowska, o której wspominał Paweł, była zjawiskiem oryginalnym i ważnym, dlatego istnieją generatory piosenek mających ją przypominać. To oczywiście nieudane symulacje, bo pracują na niepodrabialnej poezji.

PS: Decydują niestety prawa rynku. Ale też wiele osób po prostu chciało byś pisać jak Nosowska, tylko im nie wychodzi.

Muzyka jest dla większości pierwszym prawdziwym, bo nie wymuszonym przez szkołę ani żadną inną instytucję, kontaktem z poezją. Generatory tekstów mogą zabić kolejne pokolenia czytelników.

PS: Pamiętam, jak pierwszy raz usłyszałem Świetliki – miałem czternaście lat – głowa mi odpadła i toczyła się po podłodze.

DM: Świetliki oczywiście też, ale jednak dla mnie bardziej Nosowska, która – przypomnijmy – zaczynała od rzeczy okropnych, ale już trzecia płyta okazała się czystą poezją. To było dla mnie przełomowe doświadczenie, bo wywracało myślenie o tekście piosenki: okrutna prawda egzystencjalna, rzeczy odrażające zmysłowo i brutalnie odważny przekaz. Oczywiście Kora pierwsza przesunęła granice, jeśli chodzi o kobiecą ekspresję, ale to jednak Nosowska dokonała rewolucji.

Dlaczego?

DM: Bo to było dzikie, a przez to zupełnie nieseksowne. Zerwała z założeniem, że kobieta ma w piosence czarować i uwodzić.

PS: Wybuch hip-hopu też przyniósł nowe opowieści do polskiej muzyki. Początkowo kopiowano z USA, szybko jednak wypracowano własny język. Gdyby polski hip-hop nie opisywał tego, co tu i teraz, nie miałby sensu. Dlatego też najbliższy jest tradycji, o której wcześniej mówił Filip, bo to jest właśnie oddolne, niewymuszone snucie opowieści. Gdy Molesta czy Tede w swoich kawałkach opowiadali historie z życia wzięte, to byłem poruszony. Wcześniej nikt

nie opowiadał o tym, że wyszedł rano po zasilacz, ale go policja zwinęła...

(*śmiech z sali*)

PS: Nie ma się co śmiać, zasilacz ważna rzecz.

FL: Ale poza hip-hopem polska piosenka nie ma fabuły – to raczej opis jakiegoś stanu, a nie opowieść. Namawiam wszystkich, żeby to zmieniać.

Przy okazji hip-hopu pojawia się temat szczególnie ważny – problematyczne pojęcie autentyczności...

DM: Autentyczność jest w ogóle ważna w muzyce, bo łatwiej tu wyczuć fałsz. Literaturę, pod którą podłożymy muzykę, odbieramy zupełnie inaczej, bardziej organicznie. Dlatego nawet jeśli technicznie coś kuleje, to wciąż może przekazać prawdziwą historię. Jestem fanką wielu kawałków disco-polo, choć gdyby osobno rozpatrywać tam muzykę i tekst, to jedno i drugie byłoby niedopuszczalne. Fascynuje mnie jednak pierwiastek autentyzmu, który momentalnie przenosi mnie w czyjś świat. To zawsze jest niezapomniana podróż, nawet jeśli bardzo brzydka. Moja twórczość muzyczna jest właśnie tego rodzaju.

PS: W hip-hopie ulicznym ta autentyczność jest wciąż wyczuwalna. Oczywiście wszystko z czasem zamienia się w kicz – jest wielu chłopaków, którzy najzwyczajniej w świecie udają.

FL: Słowo „autentyczność” zawsze budzi we mnie nieufność. Mario Vargas Llosa napisał kiedyś esej, gdzie udowadnia, że literatura jest kłamstwem, w którym można znaleźć prawdę. Ale szukać jej należy bardziej w stylu niż w samej historii. Weźmy choćby bohaterów piosenek Pawła i Doroty – ich historie mogą być całkowicie wymyślone, ale autentyczność tkwi w sposobie wykonania, w indywidualnej, niepodrabialnej ekspresji.

DM: Autentyczność to oczywiście umowna kategoria, ale jej miarą jest intymne, wręcz fizyczne doświadczenie. Rewers to oczywiście masowa produkcja muzyczna, czyli piosenki obliczone wyłącznie na podobanie się. One mogą być przepiękne i formalnie doskonałe, ale czuje się, że stoją za nimi wyłącznie inżynierowie kultury i nikt więcej.

PS: Zgadza się z tobą z jednym zastrzeżeniem: mówisz o sobie. Mam podobnie jak ty, ale pamiętaj, że na świecie jest kilkanaście milionów ludzi, którzy słuchają nowych płyt Stinga. Nie rozumiem, jak to możliwe, ale jednak taka muzyka ich porusza.

DM: Śpiewanie własnych tekstów to zajęcie ekshibicjonistyczne – dlatego potrzeba zasłon, czyli fikcyjnych postaci i historii. Trudno wyjść do obcych ludzi i całkiem się obnażyć. Bez bufora bezpieczeństwa nie da się powiedzieć o sobie czegoś bolesnego.

PS: I tak, i nie. Napisałem kilka piosenek na tyle osobistych, że nie potrafiłbym ich opowiedzieć obcej osobie. A było to możliwe wyłącznie dlatego, że piosenka sama w sobie jest cudzysłowem. Każdy by uciekł, gdybym nagle podszedł i zaczął opowiadać, jak mój dziadek umierał miesiącami na raka.

Muzyka zwiększa więc możliwości ekspresji tekstu. A co dzieje się w sytuacji odwrotnej, kiedy mamy same teksty piosenek, na przykład wydane w formie książki?

FL: Mam na koncie grubą książkę z przekładami Dylana. W druku, ale i w przekładzie zawsze coś się traci, a jednocześnie daje się szansę czytelnikowi zorientować się, o czym ten dziwny facet w ogóle śpiewa. Ale to nie tylko Dylan, wychodzą albo już wyszły książki z tekstami takich muzyków jak Kora,



Rozmowa jest zapisem dyskusji „O związkach literatury i muzyki”, która odbyła się podczas festiwalu Miasto Słowa, który towarzyszył 13. Nagrodzie Literackiej GDYNIA. „Tygodnik Powszechny” był partnerem tegorocznej edycji festiwalu.

Janerka, Ciechowski czy Fisz i Emade. To zupełnie inny kontakt z ich tekstami.

PS: Tu akurat jestem przeciwny. Zdarzało mi się odmawiać drukowania moich tekstów osobno. Uważam, że działają wyłącznie z muzyką.

Ale do płyt są dołączone.

PS: Zacząłem je dołączać po pierwszej płycie Vavamuffin, bo znalazłem w internecie amatorsko spisane teksty. Ktoś piękną etiopską frazę „satta massagana” zamienił na „sado-maso gania”. Od tego czasu zawsze jest wkładka z tekstami. Ale serio – moje teksty nie bronią się na kartce. Działają, bo pod spodem chodzi bas, bo perkusista robi przejście. W muzyce można sobie pozwolić na tekściarski kicz, bo akurat potrzebny ci jest konkretny rym – ale potem, na kartce, wszystko widać i zęby bołą.

DM: Jedną z większych przyjemności było dla mnie czytanie ostatniej strony „Bravo”, gdzie zagraniczne piosenki, w bardzo uznaniowy sposób, tłumaczone były na polski. Tekst piosenki przeniesiony na kartkę, nawet w tak koślawy sposób, ma w sobie coś fascynującego. Ostatnio znalazłam przypadkiem książkę z tłumaczeniami piosenek Bruce’a Springsteena. Autor przekładu próbował oddać język kowbojów, odwołując się do bieszczadzkiej mitologii. Możecie wyobrazić sobie, jak niesamowity efekt to dało. Uwielbiam też takie zjawiska, jakie przed chwilą opisał Paweł – gdy mózg czegoś nie rozumie i doszywa własne sensy.

PS: Patrzymy na muzykę z zupełnie różnych pozycji – ciebie interesują najróżniejsze odpryski, przekręcenia i niedociągnięcia. Jestem zbyt narcystyczny, aby tak myśleć o swoich piosen-

kach, staram się być poważny. Oczywiście „sado-maso gania” mnie rozbawiło, ale raz czy dwa, potem chciałem już swojego słuchacza potraktować możliwie serio.

FŁ: Dylan potrafił za każdym razem inaczej śpiewać tę samą piosenkę – choćby „Tangled Up in Blue”, która ma pięć radykalnie różnych wersji. Dlatego uwielbiam książki z tekstami piosenek, bo można w nich znaleźć fascynujące rzeczy. Pawle, gdybyś kiedyś się złamał, to z przyjemnością kupię książkę z twoimi tekstami. A jeśli nie, to sam ją sobie zrobię.

©© Rozmawiali MICHAŁ SOWIŃSKI i KATARZYNA TRZECIAK

FILIP ŁOBODZIŃSKI (ur. 1959) jest muzykiem, dziennikarzem i tłumaczem. Członek zespołu dylan.pl, który wydał płytę „Niepotrzebna pogodyńka żeby znać kierunek wiatru” z polskimi aranżacjami piosenek Boba Dylana. Tłumacz antologii tekstów Dylana „Duszny kraj” wydanej w 2017 r.

DOROTA MASŁOWSKA (ur. 1983) jest pisarką, dramatopisarką, felietonistką. W 2014 r. wydała album muzyczny „Społeczeństwo jest niemiłe” pod pseudonimem Mister D. W tym roku ukazała się jej książka „Inni ludzie”.

PAWEŁ SOŁTYS (ur. 1978) jest wokalistą, pisarzem, autorem tekstów piosenek i kompozytorem. W świecie muzycznym znany jako Pablopavo. W 2017 r. ukazał się jego zbiór tekstów prozatorskich „Mikrotyki”, za który otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia.



Pieski świat

ANITA PIOTROWSKA

Matteo Garrone wciągając w historię, równocześnie pozostawia swego widza trochę na zewnątrz, z rozłożonymi bezradnie rękami. Budzi w nim litość i trwogę, ale ten emocjonalny wstrząs nie prowadzi do wyzwolenia.

TRZEBA MIEĆ „BIZARNE” POZUCIE HUMORU, by zaśmiać się na widok pieska rasy chihuahua schowanego żywcem do zamrażarki. Albo lubić kino Mattea Garronego – zwykle dużo brzydsze niż samo życie i zawsze surrealistycznie przekręcone. Niezależnie od tego, czy ubrane zostało w gangsterski dres („Gomorra”) czy baśniowe szaty („Pentameron”). Gdzieś na skrzyżowaniu tych dwóch przeskalowanych konwencji sytuuje się „Dogman”. Przypowieść o prostaczku z rzymskich

przedmieść szokuje okrucieństwem. A jednocześnie grubym komiksowym konturem oddziela nas od prawdziwego „mięsa”. Z dwojakim skutkiem.

Nagrodzony w Cannes Marcello Fonte, naturšczyk z kryminalną przeszłością, ma spojrzenie zbitego psa i swą mikrą posturą przypomina ratlerka pośród rottweilerów i pitbulli. Garrone, zainspirowany głośną historią z końca lat 80., portretuje mieszkańców włoskiego półświatka szafując bez umiaru psimi sko-

jarzeniami. Filmowy Marcello, tytułowy „dogman”, prowadzi salon piękności dla czworonogów na mocno zdezelowanym nabrzeżu, gdzie stosunki międzyludzkie mają wiele wspólnego z relacjami panującymi w zdziczałym stadzie. Rządzi prawo silniejszego i bezwzględna lojalność. Do szczekających podopiecznych bohater odnosi się *con amore*, uwielbia też spędzać czas z córeczką, ulica jednak na każdym kroku upomina się o niego. Jako najslabsze ogniwo w łańcuchu pokarmowym Marcello traktowany jest z pogardą, choć bywa przydatny.

„Dogman” wystawia na ciężką próbę naszą solidarność z ofiarą losu. Tytułowy bohater wydaje się zrazu typem pocziwego safandudy, którego ukochała filmowa komedia – od Charliego Chaplina po Roberta Benigniego. Nieporadny, choć niepozbowiony wdzięku „przegryw” próbuje zachować niewinność w świecie zdominowanym przez narkotyki i przemoc. I nawet jeśli bywa naiwny i słuŹalczy wobec lokalnego rozrabiaki Simonego (w tej roli zawodowy aktor Edoardo Gero), to prze-



Kadr z filmu „Dogman”

cież ktoś, kto tak bardzo kocha psy i dzieci, musi być człowiekiem z gruntu dobrym. Chyba że inny człowiek złamie reguły pieskiego świata i w ten sposób zasłuży na los dużo gorszy od psa.

Z mieszaniną fascynacji i odrazy, trochę na modłę dokumentalną, filmuje Garrone i jego operator Nicolai Brüel wszechobecną brzydotę: te wszystkie tłuste karki i tępe twarze, nie wspominając o wypranej ze światła i koloru nadmorskiej scenerii czy obskurnych wnętrzach. Jedynie zwierzęta, bo tak postrzega je główny bohater, zasługują na cieplejsze spojrzenie. Aż się prosi, by w tym zdegradowanym estetycznie i etycznie otoczeniu zasiać ziarno nadziei. Garrone nie ma jednak złudzeń: dla Marcella ważniejsze od marzeń o normalnym życiu, od ojcowskiej miłości, a nawet od zemsty za doznane krzywdy, staje się tzw. „szacun na dzielni” (opowiadanie tej dresiarzkiej bajki aż się prosi o miejski slang). Tylko on gwarantuje przetrwanie. I bohater musi sobie ów „szacun” wywalczyć.

Czy przez taką konkluzję „Dogman” staje się filmem moralnie dwuznacz-

nym? To nieistotne, Garrone nakręcił przecież bajkę dla dorosłej publiczności. Zastosowana przez niego metoda, oparta na tragikomicznym przerysowaniu, każe wziąć całą opowieść w cudzysłów, choć tym samym odbiera jej część właściwego ciężaru. Na tym też polega prowokacyjność tego filmu – wciągając w opowiadaną historię, równocześnie pozostawia widza trochę na zewnątrz, z rozłożonymi bezradnie rękami. Budzi w nim litość i trwogę, ale ten emocjonalny wstrząs nie prowadzi do wyzwolenia. Na szczęście, przede wszystkim dzięki obecności Fontego, który w równym stopniu gra, co po prostu w tym filmie jest, „Dogman” nie oddala nas od swego bohatera. Powołuje do życia figurę żalostną w swojej desperacji, może nawet podwójnie przegraną, za to niepokojąco swojską. Marcello uosabia bezowocne wysiłki tych wszystkich, których natura wyposaża gorzej od innych, a środowisko skazało na odgrywanie podrzędnych ról.

Można buntować się przeciwko zwykłemu determinizmowi, ale film stawiając w centrum figurę tak poślednią, przywraca jej utraconą podmiotowość. Chętnie porównywany do westernu „Dogman” pozostaje bliższy raczej miejskiego antywesternu – jak „Taksówkarz” Martina Scorsese’go (Fonte zagrał zresztą epizod w „Gangach Nowego Jorku” tego reżysera). Koszta przywracanej gwałtem sprawiedliwości są tu równie niewspółmierne do osiągniętego celu. Garrone, zaniepokojony brunatnieniem dzisiejszej Europy, zachęca także do zobaczenia w jego filmie metafory faszyzmu, czyli rządów ślepej siły, rozprzestrzeniającej się niczym wirus. Tkwi w tym zapewne polityczna nadinterpretacja, co nie zmienia faktu, że osobniki najsłabsze i pozostawione same sobie, takie jak Marcello właśnie, najłatwiej tym wirusem zarazić. ©

DOGMAN – reż. Matteo Garrone. Prod. Włochy 2018. Dystryb. M2 Films.

**RADIO
KRAKÓW**

goszczą dziennikarke „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków

WARTO ZOBACZYĆ W TV [22 – 28 IX]

1. Niedziela z... Małgorzatą Szumowską



*Blok programowy,
Polska 2018, TVP
Kultura, 23 IX, od 17.15*

Jedna z najbardziej wyrazistych i uhonorowanych na świecie polskich reżyserek, autorka pokazywanej niedawno „Twarzy”, będzie gościem studia TVP Kultura. Przypomniany zostanie dokument Szumowskiej „A czego tu się bać?” (2006), a także jej fabularny debiut „Szczęśliwy człowiek” (2000) oraz nagrodzone na Berlinale „Body/Ciało” (2015).

2. Dunkierka



*Wojenny,
reż. Christopher Nolan,
Wielka Brytania 2017,
HBO, 23 IX, 20.10,
24 IX, 16.05, 26 IX,
20.10*

W taki sposób nikt jeszcze nie pokazał wojny na ekranie. Brawurową ewakuację wojsk alianckich latem 1940 r. oglądamy jednocześnie z powietrza, morza i lądu, z perspektywy mikro i makro, a eksperymenty z czasem czy wyrafinowane efekty dźwiękowe pozwalają zanurzyć się w przedstawionym świecie.

3. Polegaj na mnie



*Dramat, reż. Andrew
Haigh, Wielka Brytania
2017, Cineman VOD*

To nie jest film o przyjaźni chłopca i konia. Twórca „Zupełnie innego weekendu” i „45 lat” okiem europejskiego outsidersa patrzy na współczesną amerykańską prowincję, gdzie pracujący w stadninie wrażliwy szesnastolatek po śmierci ojca wyrusza na spotkanie z niewiadomym. Na swojej drodze musi zmierzyć się z tym, co w ludziach najgorsze i najlepsze.

4. Prawie na miejscu



*Dokumentalny,
reż. Jacqueline Zünd,
Francja/Szwajcaria
2015, ARTE po polsku*

Trzech mężczyzn w jesieni życia spogląda wstecz i zastanawia się nad sensem dotychczasowych wysiłków. Przypisani przez lata do określonych ról, nie mieli odwagi ani czasu, by robić to, co naprawdę ważne. Dokument śledzi ich losy w chwili, kiedy postanawiają dać sobie szansę – być może ostatnią.

JAN

Klata:

Najważniejsze nagrody



WŁAŚNIE PRYZNANO NAJWAŻNIEJSZE NAGRODY wszechświata. Ujawniono zdobywców Ig Nobli!

Zacznijmy od nagrody w dziedzinie literatury: zespół naukowców z Australii, Wielkiej Brytanii oraz Salwadoru odkrył, że ludzie nie czytają instrukcji obsługi przedmiotów, które nabyli. Udokumentowali to nawet! Mam nadzieję, że nowe tłumaczenie „Life Is Too Short to RTFM: How Users Relate to Documentation and Excess Features in Consumer Products” (wszak mamy teraz modę na nowe tłumaczenia absolutnie wszystkiego) zdobędzie w przyszłym roku Nagrodę Literacką Gdynia, a autorzy zostaną hurtem zaproszeni na Festiwal Conrada.

Nagroda z dziedziny odżywiania uzmysłowiła ludzkości, że nie warto się wzajemnie zjadać, gdyż ludzkie mięso jest mało kaloryczne, natomiast warto coś czasem polizać, żeby było mniej brudne – co udowodniły portugalskie badania nagrodzone w dziedzinie chemii. Polizać, ewentualnie napluć i po-

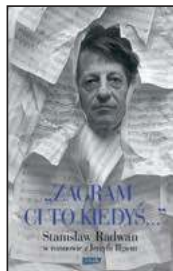
trzeć. Efektywność badań na temat wyższości kolonoskopii na siedząco nad standardowo banalną kolonoskopią na leżąc dyskretnie pominę bolesnym milczeniem, podobnie jak ekscentryczne sposoby stymulacji wydalania kamieni nerkowych (bungee rzadzi!), aby przeskoczyć do nagrody biologicznej. Trust tęgich naukowych głów ze Szwecji, Kolumbii, Niemiec, Francji i Szwajcarii dowiódł, że znawcy wina potrafią przy pomocy zmysłu węchu wykryć muszkę w kieliszku wina. Co więcej, sommelier jest w stanie określić płęć muszki. Ciekawe, czy da się wyczuć również płęć kulturową – tu również dostrzegam pole do dalszych badań.

Pokojowa Nagroda Ig Nobla – w przeciwieństwie do wielu pokojowych Nagród Nobla – trafiła w wyjątkowo właściwe ręce, za badania nad agresją na drogach. Siedmiu hiszpańskich naukowców (w ogromnej większości kobiety) analizowało częstotliwość przeklinania i pokrzykiwania za kółkiem, odkrywając korelację ze wzrostem incydentów na drodze. Zważywszy że na drogach co roku ginie dwa razy więcej Polaków niż Hiszpanów, warto czasem zdusić w sobie grubsze wyrażenie, zamiast tego stoicko cedząc: „Motyla noga!”

Na zakończenie ukoronowanie nauki, nauk królowa, czyli ekonomia. Kanada, Chiny, Singapur, USA – naukowcy tych kapitalistycznych potęg badali, czy wyżywianie się na laleczce voodoo wyobrażającej szefa pomaga pracownikom dojść do siebie po robocie. I wiecie Państwo co? Pomaga. Ponaglany więc kolejnymi esemesami Piotra Mucharskiego, wysyłam mu tekst i idę poszukać jakichś gałganków oraz szpileczek. ©

Lektor:

Adres: Wawel 2



■ „ZAGRAM CI TO KIEDYŚ...”.
STANISŁAW RADWAN
W ROZMOWIE Z JERZYM
ILLGIEM

Posłowie Dorota Segda.
Znak, Kraków 2018, ss. 542.

Z TYM ADRESEM TO NIE POMYŁKA: chodzi o gotyckie domy na skraju wzgórza wawelskiego, obok katedry. Stanisław Radwan mógł tam zamieszkać dzięki ks. Stanisławowi Czar-toryskiemu, kanonikowi kapituły katedralnej, a wcześniej proboszczowi w Makowie Podhalańskim, gdzie Radwan-senior był organistą. Wątek kościelny jest w tej biografii w ogóle mocny: kardynał

Sapieha jako patron, ks. Czar-toryski jako opiekun, i jeszcze ks. Karol Wojtyła, poznany w tzw. małym seminarium, w którym młody Radwan uczył się w latach stalinowskich, nieprzyjęty do liceum muzycznego z powodu złego pochodzenia... Życie Stanisława Radwana, kompozytora, pianisty i współtwórcy mnóstwa spektakli teatralnych i filmów,

współpracującego z Hübne-rem, Swinarskim, Wajdą, Jarockim i Grzegorzewskim, jest pełne nieprawdopodobnych zdarzeń i zbiegów okoliczności. On sam zaś to postać niezwykła, człowiek wielkiego talentu, mądrości, wrażliwości i skromności oraz równie wielkiego uroku, a przy tym mistrz anegdoty. Wspaniale się stało, że dał się namówić na tę rozmowę – a że jest to rozmowa dwóch przyjaciół, ma szczególny, ciepły klimat. I – co może najbardziej frapujące – pozwala podejrzeć myślenie artysty i choćby trochę zrozumieć tajemnicę współdziałania wielkich osobowości przy narodzinach teatralnego czy filmowego arcydzieła (np. ekranizacji „Wesela”). Z innych powodów nadzwyczaj ciekawa jest przystępna Radwana jako dyrektora Starego Teatru w latach 1980-90. To rzecz o związkach sztuki i polityki, o negocjowa-

niu z autorytarną władzą, o sile wspólnoty. I smutna refleksja: nawet w stanie wojennym rządzący nie zdobyli się wobec Starego Teatru na krok tak brutalny jak minister Głiński. A jeszcze Piwnica pod Baranami, podróże (zwłaszcza Włochy, Francja i Rosja)... Fantastyczna to lektura! Zachwyty tyle, że pozwolę sobie wytknąć błąd, który redakcja powinna była wychwycić: w reżyserowanej przez Wajdę „Nocy listopadowej” Demeter zagrała Zofia Jaroszevska, nie Zofia Niwińska! Nie kończmy jednak pretensjami. Rozmowa Jerzego Illga inkrustowana jest wypowiedziami wielu znakomitych osób o bohaterze książki. Zakończmy najkrótszą, autorstwa wybitnej scenografki Barbary Hanickiej: „Stanisław Radwan to szelczycający twór zmyślony od początku do końca. Nie da się opisać go w trzech zdaniach”. I w tej nocy też się nie da. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Trawieńce Tessy Capponi



PAMIĘTAM »BABĘ OD CIEŁĘCINY«, ZAWSZE mnie dziwiło, że oddawała niektóre podroby za darmo, na przykład »nereczki dla kota« – wspomina Tessa Capponi-Borawska proces osławiania się z Polską we wcześniejszych latach 80. Potrafię sobie wyobrazić to

zdarzenie i zderzenie, sam miałem wówczas styczność z szarą strefą rzeźniczą, no i dane mi było poznać Tessę tuż po jej przyjeździe w nasze strony. Ale przytaczam to, nie żeby się chwalić swym poważnym wiekiem, tylko że scenka ta stanowi nierozpłatalny supełek, w którym zbiegają się różne wątki obecności tej osoby wśród nas. Oto kwiat ogrodów patrycjatu Florencji, czyli miasta, które najbardziej (może poza Wenecją) umiało szlifować przez stulecia swoje elity na obłądny połysk kulturowy, estetyczny i obyczajowy, ląduje w środku Warszawy tak wizualnie i zapachowo brzydkiej, a zarazem tak ludzko pięknej. Gdzie elita umysłowa, z racji materialnej miserii świata życia codziennego, potrafiła swoje snobizmy i pozerstwo – odruchy niezmiennie związane z samookreślaniami się elit – skierować na obszary ducha, lektur oraz anarchiczno-destrukcyjnego stylu picia.

Z energią, jaka zawsze rozświeślała jej promieniejące oblicze, Tessa rzuciła się szukać ścieżek dobrego życia w szarej kartoflandii, napotykać na jednej z nich ciełęcą emisariuszkę wschodniopolskiego ludu. A lud ów, co prawda znękany wiecznym niedoborem, potrafił, ku jej zdumieniu, niefrasobliwie odrzucać dobra, którymi natura go obdarza. W tej arcywłoskiej nonszalanckiej wobec nerek, skonstruowanej z faktem, że *contessa* przywiozła ze sobą typowe dla Toskanii nabożeństwo dla piątej ćwiartki, mamy ilustrację tezy, że wysoka kultura jedzenia oznacza niekoniecznie homara w polu truflowym, lecz uwagę i staranność dla wszystkiego, co się pod nóż napatoczy, choćby było pracochłonne albo śmierdzące.

Odkryłem niedawno w Krakowie, w enklawie prawie niekniętego reklamowym kiczem postindustrialu, jakim jest fabryka na Dolnych Młynów, miejsce z kanapkami mięsnymi. W karcie oprócz szarpanej wołowiny, żeberek i innych oczywistości stoi tam jak byk napisane: trawienie. Czyli jeden z krowich żołądków, zwykle w Polsce traktowanych zbiorczo i bez różnicy jako „flaki”. Ciekaw jestem, czy fakt, że ktoś zaczął to odróżniać, to daleka konsekwencja pedagogicznej pracy Tessy, we Florencji bowiem odpowiednio uduszony trawieniec, zwany *lampredotto*, jest lokalnym specjałem street foodowym.

Żadne pióro nie opisze jej zasług dla osławiania nas, zwłaszcza w latach 90., z podejściem do gotowania, które nawet nie tyle było „włoskie”, ile po prostu radośnie uważne, bezgrzesznie niepokorne, idealnie wyważone między tradycjonalizmem, fizjologiczną pamięcią dzieciństwa a odwagą łapania świata w jego zmienności.

Ostatnio Tessa wydała wspólnie z Agnieszką Drotkiewicz zbiór wywiadów i refleksji „Smak kwiatów pomarańczy”. Lekka to

książka i nieufryzowana, w swojej nieco chaotycznej budowie pozwalająca poczuć się gościem podsłuchującym żywą rozmowę. „Przywilejem wieku średniego” autorka nazywa w niej fakt, że „może, ale nie musi”, że wystarczą jej proste rzeczy złożone z paru dobrych składników. Wbrew pozorom to jest duża sprawa i ważne upomnienie się o to, że sposób, w jaki traktujemy gotowanie, jest przede wszystkim częścią naszej wewnętrznej biografii i jej dynamiki, kontekstów rodzinnych, towarzyskich, losowych. Uświadomiłem to sobie zaskakująco mocno czytając króciutki akapit o muzyce, jakiej Tessa słucha w kuchni: radosny przebieg „Tristezza va via” Ornelli Vanoni (nie kojarzycie tej pani? Sam niedawno odkryłem ją z radością), „Layla” Erica Claptona, „Smoke on the Water” Deep Purple...

Muzyka do gotowania. Coś więcej niż tło dźwiękowe. W prawie każdej knajpianej kuchni, w jakiej zdarzyło mi się bywać, charczy podłże radio z najgłośniejszym popem – co zapewne odzwierciedla średnią krajową gustów w branży gastro. Chodzi mi o to, co puszcza sobie sami, kiedy czeka nas kawał żmudnej dłubaniny lub mieszaniny. Wybór stacji lub playlisty ma znaczenie strategiczne, bo potem tłustymi palcami nie za bardzo można przełączyć. Muzyka musi być raczej energetyczna, trudno mi sobie wyobrazić dobry obiad zrobiony pod Arvo Pärta. Energia niekoniecznie płynąca ze słów. Mam znajomą, która gotuje z Brassensem, chociaż, jak mi wyznała, tylko dlatego, że nie rozumie jego słów. I słusznie, spora część jego piosenek ma w sobie dużą gorzką pestkę – dzielna Margot nakarmiła kotka, ale zazdrosne baby go załutkły, żeby ich mężowie nie gapili się na jej biust. Ja bym przy tym nie umiał zrobić deseru... A wy, czego słuchacie? ©P

Kiedy myślę o XII-wiecznych korzeniach rodu Capponich i teatrum florenckich bankietów, to nachodzi mnie ochota na jedyny naprawdę „stary” przepis, jaki umiem wykonać – deser biancomangiare, pewnego rodzaju przodek panna cotty. Lubię go w wersji sycylijskiej z mlekiem migdałowym (bo są różne, jak ze wszystkim, co tradycyjne). Obieramy ze skórki 80 g migdałów sparzonych w wodzie, miksujemy, uważając, by ich zbyt nie rozgrzać. Tak uzyskaną „mączkę” dodajemy do gotującego się mleka (250 ml) i cukru (ok. 60 g). Odstawiamy na parę godzin, co jakiś czas mieszamy, po czym przelewamy przez bardzo drobne sito albo gazę. Otrzymamy w ten sposób mleko migdałowe oraz papkę migdałową, która jeszcze się nam przyda. Mleko podgrzewamy z powrotem wraz z 250 ml śmietany. Kiedy się zagotuje, wyłączamy i dodajemy namoczone w zimnej wodzie 3-4 listki żelatyny (6-8 g). Studzimy i wstawiamy do lodówki na parę godzin. Tymczasem prażymy papkę migdałową na patelni albo rozsmarowaną na papierze do pieczenia wstawiamy do piekarnika na kwadrans, po czym kruszymy, posłuzymy do dekoracji.



SKOPP / CC BY-SA 3.0



WINA ELIT

MAREK WĘCOWSKI, BADACZ ANTYKU:

Nie byłoby Europy, gdyby nie starożytni Grecy. Nie byłoby Greków, gdyby nie wino. To rytualne picie wina stworzyło etos kulturalnego człowieka.

ATENY, SIERPIEŃ 2018 R. STOIMY W DŁUGIEJ kolejce turystów na Akropol. Przed Propylejami, monumentalnym wejściem na świętą górę Greków, rozpościera się widok na Partenon. Tu się rozdzielamy. Tłum skręca w prawo, idzie w stronę świątyni Ateny. Pstrykają aparaty, rozjaśniają się miny do *selfie*. My skręcamy w lewo. Kilka kroków dalej jest Pinakoteka. W starożytności była to galeria antycznego malarstwa. Ale jeszcze wcześniej...

MAREK WĘCOWSKI: ...to była sala biesiadna. „Bankietowa” – moglibyśmy powiedzieć. Do rytualnego spożywania wina.

MICHAŁ WÓJCIK: Alkoholizowanie się w świętym miejscu!? O tempora, o mores!

Nie przesadzajmy. W wielu greckich sanktuariach są takie pomieszczenia. Nie inaczej było w Atenach. Podczas świąt, po

odprawieniu rytuałów, czyli złożeniu bogom ofiar ze zwierząt, następowała uczta. Obywatele spożywali mięso ofiarne, a potem elita udawała się na sympozjon.

Czyli również na ucztę, tyle że suto zakrapianą.

To było nocne picie. Możemy sobie wyobrazić, że konsumowano czasem do trzech litrów rozcieńczonego wina na głowę. Owszem, trwało do rana, w miarę

Grecki sympozjon przedstawiony na wazie czerwonofigurowej, V wiek p.n.e., Stare Muzeum w Berlinie



opróżniania kraterów arystokraci czuli się coraz swobodniej, ale tego, co pan sugeruje, nie było.

A co ja sugeruję?

Pański uśmiech zdradza podejrzenie, że dochodziło tu do ostrego picia w naszym stylu. Czasami mogło tak być, ale najczęściej sympozjarcha, czyli szef uczt, cały czas pilnował jej przebiegu. Nie tylko dyktował tempo picia, ale i dbał o odpowiednie proporcje mieszania wody z winem. No i dyktował temat do rozmowy. Proszę pamiętać, że to było picie zrytualizowane: obwarowane zasadami, które wymyśliła i narzuciła sobie arystokracja – moim zdaniem już w połowie IX w. p.n.e.

W kolejnym stuleciu sympozjony były już tak popularne, że do naszych czasów zachowało się wiele naczyń do picia. Niektóre mają nawet stosowne inskrypcje poetyckie, jak chociażby gliniany kubek znaleziony w grobowcu na wyspie Ischia w Zatoce Neapolitańskiej. Napis, zresztą jeden z pierwszych w języku greckim, mówi, że tego, kto z tego naczynia się napije, natychmiast ogarnie czar bogini Afrodyty. Sam napis przedstawia nam właściciela kubka jako Nestora. To ewidentne nawiązanie do sceny z „Iliady”, stąd dzisiejsza nazwa kubka „czara Nestora”. Inskrypcja nadaje temu naczyniu dodatkowy wymiar – nie chodzi już tylko o picie, ale także o popis erudycji. Choć ma pan rację, że to była erudycja „pod wpływem”.

Popisywanie się znajomością przyspiewek często idzie w parze ze spożyciem. Jak recytować Lermontowa na trzeźwo?

A jednak dostrzegam różnice. Sympozjony to były biesiady polegające tylko i wyłącznie na picu wina. Jedzono tylko drobne przegryzki. Tu nie chodziło o zaspokojenie głodu ciała, tylko – jak byśmy dziś powiedzieli – duszy. Sympozjon zaspokajał potrzeby intelektualne.

Takie biesiady odbywały się w nocy. To ważne jako deklaracja społeczna. W ten sposób grupa uczestników ostentacyjnie pokazywała całej reszcie, że nie musi pracować. Uczestnicy piją, bo mogą. Rano, na kacu, nie muszą zrywać się do pracy.

Rozrywka klasy próżniaczej.

Tyle że pić trzeba było umieć. Sympozjon obwarowany był ścisłymi przepisami i tabu. To był rytuał, a nie czysta zabawa. Odbywał się pod opieką bogów. Grek pod-

czas sympozjonu pił nie tylko pod opieką Dionizosa, ale boga... spożywał. Bo Dionizos to nie tylko patron wina i picia wina, bóg sam jest winem. Była to zatem swego rodzaju komunია z bogiem, wchodzenie z nim we wspólnotę, oddawanie mu się we władanie. Co ciekawe, pierwszych toastów nikt nie wypijał. Ofiarowało się je „ciemnej” stronie Dionizosa, po to, by przebłagać go za to, co się niebawem miało wydarzyć.

No właśnie... Alkohol szkodzi zdrowiu. Nawet mity o tym mówią. Choćby ten o Ikariosie, ateńskim królu, który jako pierwszy poczęstował winem sąsiadów, ale nie rozcieńczył trunku z wodą. Goście po paru łykach padli jak martwi. Ich krewni, gdy to zobaczyli, zadźgali króla widłami, sądząc, że ich otruli. Na ten widok z kolei córka Ikariosa powiesiła się na najbliższym drzewie. A miało być tak przyjemnie.

Picie starożytnych to rzeczywiście nie przelewki. Po pierwsze: jeśli się zbyt upijesz i przestaniesz być dobrym kompanem, zdolnym do kulturalnej rozrywki, już cię nie zaproszą. Po drugie: picie na sympozjonie to było balansowanie na krawędzi *hybris*, czyli pychy. Arystokraci pijąc całą noc rywalizowali. Czy to tworząc na poczekaniu przyspiewki, czy śpiewając „klasyków” ówczesnej poezji, czy wreszcie grając w kottabos, grę zręcznościową polegającą na strzelaniu kropkami wina w wyznaczone cele. Stawiali się antagonistami.

W takim alkoholowym napięciu łatwo o jedno słowo za dużo, wiemy to doskonale. Sam Arystoteles zwrócił uwagę, że od *skomma*, czyli „żądła” (to m.in. nazwa gry biesiadnej, polegającej na przerzucaniu się przez biesiadników złośliwościami), jest tylko krok do śmiertelnej obrazy wynikającej z upokorzenia. Ideałem było wiedzieć, kiedy się zatrzymać. W praktyce nie każdy ma mocną głowę, nie każdy umie panować nad emocjami, utrzymać za gradobój zębów – cytując klasyka – żart, który wydaje mu się doskonały, a może urazić do żywego. Po przekroczeniu tej niewidocznej na rauszu bariery popada się właśnie w *hybris*.

Pycha groziła również w sferze erotyki. W sympozjonach biorą przecież udział mężczyźni. Równieśnicy, ale także dużo młodszy członkowie rodzin czy koledzy zaproszonych przyjaciół. Mogło się zdarzyć, że pod wpływem wina ktoś poczynił

pod czyimś adresem jakiś za daleko idący awans. Od erotycznego żartu do krwawej zemsty już niedaleko. To wymiar rzeczywisty *hybris*. Ale jest jeszcze inny, o czym również wiemy ze źródeł pisanych. Niektórym pijącym o czarkę za dużo może się wydawać, że są równi bogom. Jak oni, mogą być szczęśliwi bez żadnych ograniczeń. Że mogą oddawać się przyjemnościom, np. pić czy flirtować – z niewolnikami albo z heterami obecnymi na sympozjonie – bez żadnych konsekwencji. A przecież to właśnie bogów Grecy nazywali Szczęśliwymi, tak po prostu, ponieważ bóstwa nie tylko nie starzały się i nie umierały, ale przede wszystkim nie ponosiły żadnych konsekwencji swoich działań. Były poza dobrem i złem.

Greckie picie można porównać do chwilowej uzurpacji takiego statusu przez ludzi. Wiele z rytuałów, jakie spotykamy na sympozjonie, miało przebłagać bogów już za sam akt beztroskiej zabawy, bo oddawali mu się ludzie, których natura według Greków polegała na cierpieniu. Bogowie na każdym kroku uczyli ludzi granic, jakich nie wolno im przekraczać.

Czyli impreza małej grupki mogła się zemścić na całej wspólnotcie?

I tak, i nie. Mówimy tu o zagrożeniach, o tym specyficznym balansowaniu na krawędzi ryzyka, ale pomówmy też o zyskach i zaletach. Również dla całej wspólnoty. Sympozjony organizują ci, których na to stać. Mówiliśmy już o tym. Stać ich na nocne imprezowanie i stać na hodowlę winnej latorośli albo na importowanie wina. Biedniejsi nie mogli sobie pozwolić na całonocne zabawy. Ale napić się w doskonałym towarzystwie, towarzystwie ludzi możliwych, którzy bawiąc się razem politykują czy załatwiają interesy, chciałby każdy. Wino wywołuje zatem aspiracje, pragnienie naśladowania. Skłania do wspinania się po społecznej czy towarzyskiej drabinie.

Kto w tej rywalizacji ma duże szanse? Otóż tylko i wyłącznie jednostki uzbrojone w bagaż kulturowy. Innymi słowy: jesteś biedniejszy, ale cenisz poezję czy dobrą literaturę, to masz szansę wykaazać się w kulturalnej rywalizacji na rauszu – oczywiście jeśli zostałeś zaproszony. Podczas samej biesiady wyróżnisz się, jeśli potrafisz wypowiedzieć się błyskotliwym wierszem albo w złośliwy sposób odciąć się czy utrać komentarz antagonisty. Twój rywal to może za dnia ważny →

→ polityk, ktoś o statusie dla ciebie nieosiągalnym, ale na sympozjonie szanse się wyrównują.

Nie wiedziałem, że Grecy to takie snoby.

A dziś jest inaczej? Zapraszają cię „na salony” możnych – przynajmniej tak to sobie wyobrażam – jeśli jesteś „człowiekiem kultury”. Rozmowa przy greckim stole – choć pamiętajmy, że sympozjony odbywały się w pozycji półleżącej i każdy miał swój mały stolik przed sobą – nawet jeśli dotyczyła polityki, rolnictwa czy zakładania zamorskich kolonii, odbywała się w specyficzny sposób. Trzeba było mówić wierszem, wykazać się kunsztem, choćby odtwórczym. Wino może w tym zarówno pomagać, jak i bardzo przeszkadzać. W każdym razie otwiera pewne możliwości. A jeśli tego nie potrafisz, to zawsze można nauczyć się na pamięć wierszy wielkich poetów i zabawnie żonglować frazami na zadany temat.

Czegoś nie rozumiem. Przecież wino w starożytnej Grecji było dostępne dla każdego. Każdy mógł zaprosić do domu przyjaciół na mniej lub bardziej wystawny sympozjon.

Otóż nie. Każdy mógł zaprosić przyjaciół na popijawę. Na sympozjonach spotykała się tylko kulturalna elita, a w praktyce ludzie, którzy mieli wolny czas, by umiejętności kulturalnych nabierać, kiedy inni, biedniejsi od nich, w tym czasie ciężko pracowali.

Czyli można to porównać do spotkań towarzyskich organizowanych w XIX w., podczas których rozmowom towarzyszyło recytowanie Mickiewicza. Czy do spotkań w latach 80. XX w., kiedy uczestnicy – coraz bardziej zmęczeni „walką z komuną” – przerzucali się cytatami z Kaczmarzkiego.

Tak, pić może każdy, ale nie każdy na sympozjonie. Należąc do elity, musisz umieć pić. Kto tego nie potrafi, niech idzie do karczmy. Tam też można się napić. Szybciej i skuteczniej. I bez niezbędnych podczas sympozjonu umiejętności kulturalnych.

Całą noc gadać wierszem, by uznali cię za „kulturalnego”?

Nie całą noc! Wystarczy kilka zabawnych ripost, którymi dajesz do zrozumie-

Należąc do elity, musiałeś umieć pić.

Kto tego nie potrafi,
niech idzie do karczmy.
Tam też można się napić.
Szybciej i skuteczniej.
I bez umiejętności
kulturalnych.

nia, że jesteś czytany, a poezja nie jest twoim wrogiem.

Rozumiem, że kulturalne picie wina w antyku nie odbywało się tylko dla przyjemności. Że grecka kultura wykładała się w bólu i strachu, w dodatku w karchach obsesyjnie przestrzeganych reguł, tak aby nie obrazić bogów. Pytanie tylko: po co to wszystko?

Trudno mówić o instytucjach społecznych w takich kategoriach. Pewne ceremonie pojawiają się, odpowiadając jakimś potrzebom społecznym. Chyba łatwiej odpowiedzieć na pytanie: do czego sympozjon służył greckim elitom? Otóż picie wina, o którym rozmawiamy, odbywało się po to, aby odróżnić elity od nie-elity. W realiach greckiej polityki od czasów Homera do czasów wojen perskich, a nawet dłużej, wszyscy obywatele *polis* są sobie zasadniczo równi. A zatem nie ma tu prawnych podziałów. Taka jest teoria. A jednak wśród tych równych są „równiejsi”. To niekoniecznie bogacze. Aby należeć do elity, nie wystarczy być bogatym. To inni decydują, czy należysz do elity, czy nie. A jak się w niej znaleźć? Właśnie przez sposób życia, przez to, co manifestujesz swoim zachowaniem, ubiorem, ryturkami, którym się oddajesz.

Tyrmand został uznany za dandysa, bo kochał jazz, nie łąsił się do komunistów i nosił czerwone skarpetki.

W Atenach było podobnie. Złota atenska młodzież ubierała się np. po spartańsku. Ale to jest powierzchowne. Aby trafić do elity, Ateńczyk musiał posługiwać się umiejętnościami kulturowymi. Musiał rywalizować na polu kultury i sztuki. Jeżeli posiadał te m.in. „bieszadne” umiejętności, mógł być uznawany za „równiejszego”, zyskiwał niepisany status kogoś

lepszego, członka grupy, do której inni chcą należeć, ale nie znaleźli nigdy czasu np. na to, by nauczyć się recytować poezję na zadany temat.

W swojej książce „Sympozjon, czyli wspólne picie...” postawił Pan tezę, że właśnie ten sposób spożywania alkoholu doprowadził do stworzenia modelu kultury, w której żyjemy w zasadzie do dziś. Kultury basenu Morza Śródziemnego.

Tak. Sympozjony to nie tylko atmosfera intelektualna. To tam powstawała nasza refleksja etyczna. Wystarczy pomyśleć o tworzących biesiadną poezję myślicielach-moralistach, jak Ateńczyk Solon, skądinąd wielki polityczny reformator. To właśnie podczas biesiad, na zadane pytanie uczestnicy, cytując różnych poetów, udzielali odpowiedzi, co jest największym dobrem albo największym bogactwem człowieka. Jedni odpowiadali, że złoto, inni, że woda. A jeszcze ktoś, że to wszystko furda. Bo najważniejsza jest przyjaźń.

Nie zapominajmy również o sztuce. Uczestnicy biesiad pili wino z malowanych naczyń, w takich też naczyniach mieszano wino z wodą, a jeszcze inne służyły do nalewania wina biesiadnikom. Z czasem artyści zaczęli malować na nich scenki biesiadne, w pełni zrozumiałe tylko dla uczestników spotkań. Np. na dnie kielicha znajduje się często wizerunek młodzieńca, który wymiotuje. Obrazek ukazywał się pijącemu, ale dopiero po opróżnieniu kielicha. To dowcipny sygnał: wypileś o ten jeden kielich za dużo. Biesiadnik mógł to zabawnie skomentować. Odrzucić taką haniebną sugestię. Taka umiejętność nie zawsze zabawnej, bo tematy malarskie mogły być bardzo różne, interakcji artysty z uczującym zakłada wspólnotę wrażliwości. Z kolei z pieśni śpiewanych podczas mniej lub bardziej hałaśliwego powrotu do domu wywodzą się np. nasze serenady, które w Grecji przybierały czasem formę tzw. pieśni przed zamkniętymi drzwiami – kochanka albo kochanki.

Wiedziałem! Na każdej imprezie jest taki moment, kiedy rusza się w miasto.

Tak, i miało to swoją nazwę: *komos*. Formalnie rzecz biorąc to też rytuał. To rytualna procesja, która towarzyszy świętom, np. dionizyjskim. *Komos* sympozjalny polega na tym, że ci, którzy byli jeszcze w sta-

nie, ruszali o świcie w miasto i zachowywali się mniej lub bardziej hałaśliwie. W jednej ze sztuk Arystofanesa mowa jest o komosie, który skończył się demolką, bijatykami i procesem. W tym wypadku również mamy do czynienia z ostentacją, z działaniem o wyraźnym sensie społecznym. Zresztą znamy je dziś np. z pomeczowych zachowań grup kibiców. Od czasu do czasu, kiedy opuszczają stadion, idą w miasto i je demoluja. To nic innego jak komunikat znany już w starożytności.

A brzmi on: spać, hołota, teraz k..., my! Bo nam wolno!

Mniej więcej tak, choć ująłbym to nieco inaczej. Niemniej uczestnikom sympozjonu wolno było w ten sposób wyrażać swoje emocje. Owszem, często wskutek pijaństwa dochodziło do czegoś więcej niż naruszenia ciszy nocnej – do burd i gwałtów. I tu znowu mówimy o *hybris*, tym razem jako kategorii prawnej. Czyli do wykroczeń lub zbrodni w celu upokorzenia drugiego człowieka. Jeśli ktoś dokonał go pod wpływem alkoholu, wracając z biesiady, automatycznie podpadał pod „paragraf” o *hybris*. Bo co innego pobić kogoś i okraść (za co w niektórych greckich miastach groziła łagodniejsza kara), a co innego pobić dla czystej przyjemności. Takie upokorzenie było w Atenach o wiele surowiej karane. Mimo to pijana elita dopuszczała się takich ekscesów.

Mało tego. Dopuszczała się jeszcze bardziej wyrafinowanych. To *pistis*, czyli rytuał wierności, wzajemnej lojalności, i oznacza sytuację, w której pijani przyjaciele dokonywali wspólnie jakiegoś przestępstwa, po którym członkowie grupy nie mogli już się z niej wycofać. Taka mafijna przysięga na wierność do końca. Prawdopodobnie właśnie coś takiego zdarzyło się w Atenach w roku 415 p.n.e.,

Na dnie kielicha
znajdował się
wizerunek młodzieńca,
który wymiotuje.

**Obrazek ukazywał się
po opróżnieniu naczynia.**

To sygnał: wypić
o ten jeden kielich za dużo.

kiedy pewnej nocy, jak miasto długie i szerokie, okaleczono uliczne posągi Hermesa, tzw. hermy. Miały one formę kamiennego słupa z twarzą boga i sterzącym przyrozdzeniem. Ateńczycy podejrzewali, że dokonała tego antydemokratyczna młodzież, która w ramach biesiadnego rytuału *pistis* posunęła się aż do świętokradztwa. Znamy też inne podobne zachowania, rytuały *quasi*-satanistyczne, polegające na rzuceniu wyzwania samym bogom.

A jak wyglądał grecki świat pijackich rojeń? Wiemy coś na ten temat? Jakie były sny o potędze pijanych Greków?

Istnieje przekaz o pewnym domu w Agrygencie na Sycylii, gdzie urządzono sympozjon, który przerodził się w wielodniowe pijaństwo. Zaszło to tak daleko, że uczestnicy biesiady uroili sobie, że są na okręcie, który złapała morską burza. Aby nie pójść na dno, postanowili odciążyć okręt i wyrzucić za burtę ładunek, w tym wypadku domowe sprzęty. Meble zaczęły wylatywać na ulice, co zaalarmowało sąsiadów. Zawołano urzędników miejskich i gdy tylko ci przybyli, biesiadnicy padli na kolana. Byli święcie przekonani, że to bóstwa morskie, które przybyły im na po-

moc podczas nawałnicy. Od tej pory dom był zwany Okrętem, trierą.

Inny przekaz, tym razem wiersz Pindara, oddaje tłumione marzenia uczestników biesiady. Biesiadnicy, wśród których w rzeczywistości znajdują się biedniejsi i bogatsi członkowie elity, wyobrażają sobie, że wszyscy biorą udział w wyprawie handlowej do Egiptu, że na obładowanych statkach wracają bogaci do domu. Wszyscy stają się sobie równi, wszyscy bajecznie bogaci. Inni poeci opisują stan ducha pijanych biesiadników, którzy czują się panami całej ziemi. Wstyd się przyznać, marzenia pijanych Greków niedaleko odbiegają od rojeń współczesnych.

Powinniśmy się teraz napić. Czy myśli Pan, że smakowałoby nam dzisiaj wino starożytnych Greków?

Muszę pana rozczarować. Grecy nie byli konieserami samego wina. Pili najczęściej lokalne wina patykami pisane, ujmując rzecz po naszymu. Zjednoczenie z Dionizosem i dobra zabawa przy winie były dla nich najważniejsze. A nasze cmokanie nad rocznikami, tonami i barwami – zapewne ubawiłoby ich do łez. ©

Rozmawiał MICHAŁ WÓJCİK



MARCIN MELLER

MAREK WĘCOWSKI

(ur. 1969) jest badaczem kultury antycznej i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego. Autor książek „Sympozjon,

czyli wspólne picie. Początki greckiej biesiady arystokratycznej (IX-VII wiek p.n.e.)”, (2011), „The Rise of the Greek Aristocratic Banquet”, (2014), „Dylemat więźnia. Ostracyzm ateński i jego pierwotne cele” (2018).

TP

WAKACJE

leż, czytaj!



BIEŃCZYK o autostopie ■ ROBIŃSKI o pszczołach ■ MILCZAREK o Arktyce
NAPIÓRKOWSKI o plaży ■ OLSZEWSKI o Mierzei Kurońskiej
KOZIŃSKA o koniach i o zaklinaczach roślin

Zbiór wszystkich tekstów z naszego wakacyjnego cyklu na

powszech.net/wakacje

weź, czytaj!

STANISŁAW

Mancewicz:

O snach



POŚRÓD WIELU SNÓW, KTÓRE DRĘCZĄ NAS z racji zszarzenia starczego, jeden – jak zauważyliśmy – powtarzający się dość często, stał się niespodziewanie dla nas udziałem mas i to całkowicie nie we snach, lecz na jawie. Dlatego też połączymy dziś tzw. refleksje o charakterze bardzo osobistym, umysłowym i zdrowotnym z naszymi stwardniałymi mniemaniem na tematy uniwersalne, w tym społeczne i polityczne.

Sen ów nosi roboczy, ale efektowny tytuł „Zjeść ciastko i mieć ciastko”. Dla Czytelnika mniej obeznanego z polskimi powiedzeniami, dla porządku, potrzebne jest tu krótkie objaśnienie. Oto treść owego snu oddana jest w stu procentach w jego tytule. Sen ten wypełnia zatem jedzenie ciastka, którego w ogóle ani na chwilę nie ubywa. Jest zatem – ów sen – dojmującym, by nie rzec: przerażającym, zaprzeczeniem fizyki, rozsądku, rzeczywistości, jest absurdalną wizualizacją możliwości jedzenia, zjedzenia i przy tym nieustannego mienia. Nie trzeba chyba dodawać, że jest to także gargantuiczna tortura o charakterze dietetycznym, niejako zemsta rozumu karmionego w dzień do przesytu treściami na temat zdrowia, który w ramach buntu niemal korsarskiego pokazuje w nocy, gdy może, gdzie w istocie ma te opowieści. I to by było tyle, jeśli idzie o kwestie prywatne, by nie rzec: ściśle intymne. Te krępujące zwierzenia postaramy się teraz wynieść na poziom wyższy ku – mamy nadzieję – zadowoleniu mas czytelniczych.

Zmagając się z własnymi oszołomieniami wynikającymi z jedzenia i równoczesnego niezjedzenia, wysłuchaliśmy prezydenta RP występującego akurat w Leżajsku i doznaliśmy olśnienia. Także, ku lekkiemu własnemu zdziwieniu, zorientowaliśmy się, że prezydent także zjadł ciastko i ma ciastko. Drobną, ale istotną różnicą polega na tym, że my zjadamy ciastko we

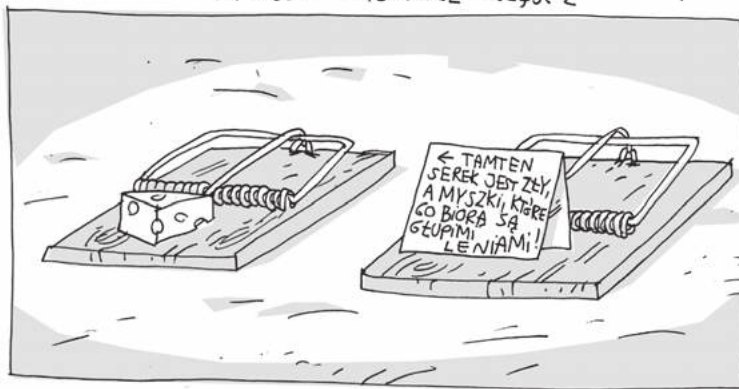
śnie, pod pierzyną, urzędnik ów zaś zjadając nie zjada na mównicach, wobec nieprzebranych, chciwie go słuchających rzesz. Oto – popatrzmy – wedle prezydenta RP żyjemy w „wymagowanej wspólnocie”, a ciała ową wspólnotą rządzące powinny się od nas odczepić.

Zacznijmy pierw od tej „wymagowanej wspólnoty”. Jest ona dla prezydenta producentem ciastek, które się zjada i które się ma, nic poza tym. Choćbyśmy bardzo chcieli, by było inaczej, prezydent tak uważa i ma niejako rację. Zaiste nikt tu – poczynawszy od niego – tak na serio słowa „wspólnota” nie rozumie, a jeżeli wydaje mu się, że rozumie – niewątpliwie jest to zawsze imaginacja. Imaginacyjne myślenie każe uznawać, że *de facto* wszędzie jest tak jak u nas, że żadnych prawdziwych wspólnot nie ma. Formacja, której – w sensie dosłownym – dzieckiem jest prezydent, specjalizuje się w imaginowaniu znaczeń wielu terminów, w tym oczywiście czegoś takiego jak Europa oraz europejskość, oraz w stuprocentowym fantazjowaniu na temat europejskich pieniędzy. Imaginacja ta w ciasnej rzeczywistości zawsze polega na ich braniu, skądkolwiek bowiem by pochodziły, zawsze są i zawsze się należą, również dlatego, że po prostu rosną na drzewach. Jest to rodzaj mniemania dzieciinnego żniwiarza, ładującego do stodoły zboże, który ani nie orze, ani nie sieje, czego nie zauważa, ani nie kojarzy. A więc pieniądze wymagowanej wspólnoty są realne, tak jak realna jest okoliczność, że nie trzeba na nie pracować. Co więcej, można się publicznie tym chwalić, można z tego zrobić cnotę, jak teraz ze wszystkiego, co jest bardzo niemoralne. To się – ku zapewne strapieniu moralistów – zdarza coraz częściej. W swym leżajskim przemówieniu prezydent RP wskoczył na wyższy poziom imaginacji, też polecając owej wspólnocie, by się nie mieszała w nasze polskie sprawy. Jest on zatem przekonany, że nawet odciepiona, wymaginowania, będzie mu owa dawać realne pieniądze, mimo absolutnie wszystkiego. Jest to bardzo dziwna koncepcja, niezdarzająca się nawet w biznesie ciastkarskim, ale jako się rzekło: we snach owszem. Zawsze uważaliśmy, że najważniejszymi umiejętnościami człowieka jest dogłębne i jak najwcześniejsze zrozumienie, skąd się biorą dzieci oraz pieniądze. Codziennie jednak spotykamy ludzi, którzy nie wiedzą ani jednego, ani drugiego. I to nas ogromnie smuci, zasób tematów do rozmów z takimi osobnikami kurczy się bowiem do jednego – do rozmów o chorobach.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ

STRATEGIE WYBORCZE - CZĘŚĆ 2



22–28.10.2018

pop

międzynarodowy
festiwal literacki

CONRAD FESTIVAL



www.conradfestival.com

znajdź nas: #conradfestival

partner strategiczny:

22. międzynarodowe

targi książki w krakowie

www.ksiazka.krakow.pl

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH



TYLKO DO 24 WRZEŚNIA

**OBCY
W DOMU**

**PRZYJDŹ POŻEGNAĆ
WYSTAWĘ CZASOWĄ
WOKÓŁ MARCA '68**

WWW.POLIN.PL



MECENAS



WSPÓŁORGANIZATOR



STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

WSPARCIE



WILLIAM K. BOWEN, JR.
FOUNDATION



SILS Family Foundation

David Goldson / Dublin; Bluma over Fellowship at Association for the Study of Professional Ethics / Miami; Agnieszka Nowakowska / Andria; Magdalena Rzepka / Jerry Warkel; i rodzina; / Paul Goldson / Sandy Soffer

SEANER FAMILY FOUNDATION

O B C Y
D O M U
WOKÓŁ MARCA '68

PATRONI MEDIALNI

radiopolska

sens

wyborcza

wyborcza.pl

cojestrane24

INC

ams

PARTNER INSTYTUCJONALNY

HISTORIA

TP230000
POLSKOŚĆ

naszemiasto

PAWELL
POLSKOŚĆ

KINOS

de
se

empik

VIVA!

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE